

ROK
1946

9. XI.

MS. 846.

USMIECZ

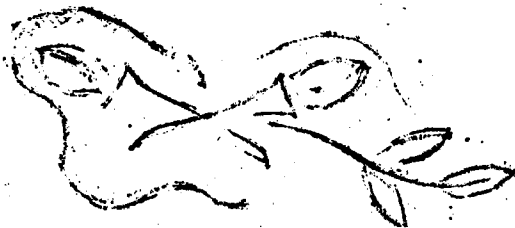
JEDNODNIÓWKA =
SZKÓŁ MŁODSZYCH
= OCHOTNICZEK



KOMENDANTKA S.M-O mjr T. Z. SYCHOWSKA

ZYWIOŁEM SZCZĘŚCIA
JEST ŚMIECH,
IM BARDZIEJ JEST PUSTYM I SZCZERYM,
IM BARDZIEJ NAZYWAMY GO DZIECINNYM,
TYM WIĘCEJ JEST W NIM SZCZĘŚCIA,
TYM WIĘCEJ JEST W NIM NIEBA NA ZIEMI.

J. Piłsudski



uśmiech

SMO

Fragment przemówienia Komen-
dantki SMO. Mjr. T. Sychowskiej
na rozpoczęcie roku szkolnego
dn. 16.VIII.1946.

"Jedno jest pewne i niesporne, że u nas -
w Nazarecie panuje niepodzielnie i promieniuje nazew-
nątrz ciągle żywy, ciągle pełen nowej treści: uśmiech.

Daremnie szukałyśmy tego uśmiechu na począt-
ku tworzenia się naszych szkół. Szukałyśmy go niestrud-
zenie, lecz tak trudno było go wywołać. Lecz uśmiech
ten był już nawet wtedy - był w sercach tych, którzy
służyli sobie wzajemnie. Czasem kładł się na oczach prze-
smutnych i ... uśmiechały się.

Widząc go - byłyśmy szczęśliwe.

Tak byłyśmy tego uśmiechu stęsknione i taką
siłę w nim widziałyśmy, że gdy w Pahlevi Dowódca A.P.W.
wypowiedział te słowa: "uśmiech to energia - energia to
czyn, a czyn - to Polska", choć były one przez wszystkich
żołnierzy A.P.W. słyszane, my jedne podjęłyśmy je jako
hasło i przyjęły za swoje. Słowa padły na właściwy, przy-
gotowany grunt. Przyjęły się.

Odtąd uśmiech mamy w naszym herbie tak, jak
słońce jest w herbie kadeckim, koło zębate w herbie me-
chaników, a morze u "błękitnych" chłopców z Jun. Gim. Kup.

Ale uśmiech jest własnością nie tylko naszą
i patentu na niego nie mamy, tak jak przepych i łaska
słońce nie jest wyłączną własnością kadetów. I dlatego
musimy go tak zrozumieć i pojąć, tak przerobić i zgłębić,
aby stał się on naszą odrębną wartością.

Należymy do wielkiej rodziny junackiej. Junak - znaczy bohater. Należymy do wielkiej rodziny junackiej - bądźmy bohaterkami. Bądźmy bohaterkami dnia codziennego.

Miejmy uśmiech stale w oczach, na ustach i w sercu.

Ten uśmiech w oczach ma być wyrazem walki z własnymi słabościami, z marnością naszej codzienności, z tragizmem dzisiejszej sytuacji życiowej.

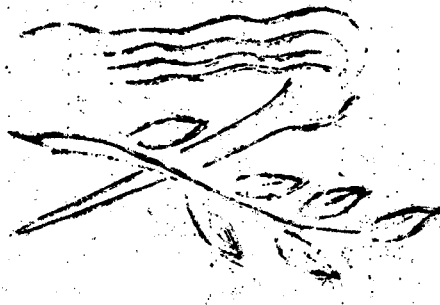
Ten uśmiech na ustach ma być symbolem zwycięstwa nad zmęczeniem fizycznym i nad przygnębieniem duchowym, nad własną małością, której się poddać nie możemy, nad własną niechęcią do nieustannej walki o moc charakteru.

A uśmiech w sercu? Jest on wyrazem stosunku człowieka do człowieka.

Ten uśmiech ma spowodować, że każdy kto się z nami spotka - nawet najbardziej zgnębiony - wyprostuje się.

Po tym uśmiechu w oczach, na ustach i w sercu, poznamy się wszędzie tak, jak poznamy się wszyscy po naszej pięknej, symbolicznej oznace junackiej.

Tego uśmiechu w nowym, tak trudnym dla nas roku szkolnym z całą świadomością od Was wymagam i z całego serca wszystkim - tak dorosłym jak i najmłodszym życzę".





KSIĘZNICZKA NAZARETU

baśka z dawnych czasów

.....Na koniec weszła w mury Nazaretu. Hufem swym głównym siadła w środku miasta i obsadziła potężne zamczysko. Lekkie chorągwie pchnęła nieco dalej, aby zajęły pomniejsze zameczki i były strażą dla głównego hufu. Na wieżach zamków wywiesić kazała chorągwie o barwach swojego narodu, ażeby świadczyły, że hufy jej mają własną swą odrębność wśród morza tubylców i aby mówiły, że udzielnie włada - Ona, Księżniczka miasta Nazaretu.

Skąd właściwie przyszła? Z północy ściągnęła, przyszła z dziwnych krajów, z ziemi przeklętej, gdzie ludzie musieli przechodzić przez piekło, z takiej przyszła ziemi, która - choć rodzajna - kazała mrzeć z głodu swym własnym oraczom. Niesamowita była to kraina, gdzie niewolnikami rządili inni - więksi niewolnicy.

Działo się to wszystko bardzo dawno temu. Było to w takich niepojętych czasach, kiedy to ludzie mieli wielkie mązgi, ale nie mieli w pustyńskich piersiach serca, ani honoru, ani uczciwości. W owych to czasach mógł ten, co silniejszy, wejść w dom słabszego i wszystko mu zabrać, mógł wyrwać dzieci z ich gniazd, od ich matek i gnać je w obce, nieznane krainy, aby już nigdy nie znalazły szczęścia. Całe narody można było pędzić do obcych krajów na niewolną pracę. I swych przyjaciół można było sprzedać i broń odebrać wiernym towarzyszom i długi swoje przyjaciółmi płacić. Wszystko na opak było w owe czasy: Słowo nie miało wcale wagi słowa, gwałt nie był gwałtem, ale dobrym prawem, kto zdradził swoich, zwan był patriotą, kto wiernie służył swemu narodowi był ogłaszany zdrajcą narodowym. Sędziami byli najwięksi zbrodniarze, a podsądnymi pokrzywdzeni ludzie.

W tych bardzo smutnych i zamierzchłych czasach lud wolny mieszkał nad Wisłą i Wartą i nad Bałtykiem, nad Bugiem i Niemnem i własną pracą szedł naprzód ku nocy i szedł ku pięknu i pełnej radości. Lecz przyszli

obcy z zachodu i wschodu i śmierć przynieśli, klęskę i zniszczenie. Niezmierne mnóstwo wspaniałego ludu pognane w jasyr ku zimnej północy i na bezkresy wrogiego im wschodu. Wśród rzesz wygnanych była także Ona - owa Księżniczka miasta Nazaretu.

Kim właściwie była, czy rzeczywiście księżniczką udzielną? Legendy o tym przeróżne krążyły. Jedne mówiły o królewskim rodzie, który rzuciwszy, poszła w lud wieśniaczy, by być wśród prostych i radą im służyć. Inne głosiły, że dziewczyna była taką, jak inne dziewczęta jej ludu, tylko, że miała junactwo w swej duszy, miała odwagę i myśli i czynu i woli tyle, by łamać trudności, i wiary tyle, ażeby nie zwątpić i serca tyle, aby swoim służyć i dar wkładania miała tak przedziwny, że jej życzenia brano za rozkazy, a każdy rozkaz za własne życzenia. Junaczką była, chociaż jej dotąd nikt tak nie nazywał. Takie to o niej krążyły legendy. I dziesiąt jeszcze starzy ludzie mówią, że Ona w owe czarne dni niewoli zaczęła zbierać pisklęta bezdomne. Dziewczynki małe z ojczyzny wyrwane gromadzić je była w drużyny i hufce i junaczkami wszystkie je nazwała, choć były słabe, kruche i bezsilne, bo wyniszczone głodem i zarazą. Chciała, by rosły właśnie, na junaczki, aby junactwo w sobie rozkrzewiły, by junaczkami wróciły do swoich.

Kiedy się miara występków przybrała i piorun kary w dziki wschód uderzył, rzesze wygnanców radością wezbrane krzyknęły: "wolność, wolność do nas wraca, uchodźmy szybko z tej ziemi przeklętej, choźm- na zachód, gdzie ojczyzna nasza, gdzie jest kraj święty, gdzie szczerliwość mieszka."

Ruszyły rzesze, ruszył huf junaczek a Ona na czele. Poszła komunikiem. Jednak nie prosto na zachód ciągnęła, musiała jakieś przeszkody omijać, musiała kluczyć po nieznanym drogach. Szła na południe i trochę na zachód, wreszcie stanęła nad brzegami morza - przeszkoda duża, jakże ją pokona? Mimo trudności jakoś pokonała. Nie jest dziś pewne czy tak ją przebyła, jak kiedyś Żydzi przez Morze Czerwone, czy też innego użyła sposobu. Pewne jest jedno, że nagle stanęła wśród starych Persów mocno zdziwionych tym, że tak piękne hufy że to junaczki o niebieskich oczach że obcy ludzie, a tacy przyjaźni Chcieli zatrzymać tych dziwnych

wędrowców, ale na próżno kusili gościnną i bogactwami i mirażem wschodu. Słyszeć nie chciała nawet o zostaniu i wnet ruszyła w dalszą swą wędrowkę ku południowi i trochę na zachód. Szła poprzez rzeki o zielonych brzegach i przez pustynie zasłane głazami i poprzez góry i płaskie równiny. Przyszła nareszcie do pięknego kraju, który dla jednych zwał się Ziemią Świętą, a znow dla drugich Ziemią Obiecaną.

Tutaj stanęła na przydługich leżach. Długo szukała właściwego miejsca, nim zawładnęła księstwem Nazaretu. Teraz dopiero księżniczką została. Kroniki milczą, jak się to odbyło, czy mitrę złotą drobnymi rączkami własną mocą na głowę włożyła, czy też junaczki przyniosły jej w darze, czy może ludy starej Galilei olśnione blaskiem, jaki roztaczała, księżące znaki zaofiarowały. Nie jest wiadomym. Jedno tylko pewne, że ją Księżniczką Nazaretu zwano i ona sama tak się nazywała, dodając przy tym - "udzielna księżniczka".

Z tą udzielnnością nie jest sprawa jasna, są bowiem ślady, wskazujące na to, że księstwo jednak było zhołdowane. Trudno dziś stwierdzić niewątpliwą prawdę, chociaż jest pewne, że różni szejcy i liczni władcy miejscowego ludu usiłowali lenno jej narzucić.

Nie jest to ważne. Tak, czy owak było, księżniczka rządy w rączkach swych dzierżyła, lubiła wolność i nieskrępowanie i samodzielność nad wszystko ceniła, wszelką zaś uległość znosiła z niechęcią. Czasami jednak musiała ulegać wobec sił wyższych, trudnych do zwalczania. Kroniki mówią, że na Ziemi Świętej cios w nią uderzył nieoczekiwany, bo po raz pierwszy musiała ustąpić. Hufce junaczek tak dumnie wiedzione buziły podziw i zaciekawienie, a równocześnie nieciły niepokój.

"Dlaczego one zwą się junaczkami?" - szeptały cicho zatrwożone tłumy. "Junactwo przecież znaczy bohaterstwo, znaczy odwagę i najwyższe męstwo, to poświęcenie i wytrwałość w pracy, to charakter w granicie wykute, to jest braterstwo na śmierć i na życie. Jakżeż możemy spokojnie zasypiać, kiedy junaczki wśród nas obozują. Kto wie, czy jutro nie zawładną nami".

Takie rozmowy szły między obcymi. W końcu posłowie przyszli do księżniczki, hołd jej złożyli i grzecznie prosili, aby jej hufce nazwę swą zmieniły. "Niech już nie będą więcej junaczkami, bo to niepokój rzuca na nasz naród. Bardzo prosimy, a nawet żądamy, bo lud się boi", mówili stanowczo.

Księżniczka gniewem spłoneża serdecznym, ale milczała przez parę pacierzy, walczyła z sobą, coś w myśli wazyła, jakąś decyzję ważną pobierała i wreszcie rzekła - "chcecie bym nazwę junaczek zmieniła, dobrze, niech się stanie, niech lud wasz sypia ufny i bezpieczny - ale jak mam nazwać te moje junaczki?" A oni na to - "wszystko nam jest jedno, lecz jeśli można wyrazić życzenie, może je nazwać młodsze ochotniczki", i tak się stało.

Księżniczka w bębny uderzyć kazała, gdy tylko posły zniknęły za wzgórzami. Zbiera swe hufce na walną odprawę i tak przemawia do zwartych szeregów:

"Nazwę junaczek dzisiaj wam zabrano, od-tąd będziecie młodsze ochotniczki. Tak was zwać będą. To będzie nazwa dla obcych, dla drugich, dla mnie będziecie zawsze junaczkami. Nazwę tę macie zamknąć w swoich sercach tak, by tam tkwiła wiecznie i niezmiennie. Junactwo macie codziennie rozwijać i pielęgnować wszystkie jego cnoty. Jesteście w drodze do swojej Ojczyzny, tam dojdźcie musicie jak młode orlice, nie jak kurczęta. O tym pamiętajcie".

Później mówiła o kraju dalekim, o jego rzekach i o krasnych łąkach, o żyznych niwach i licznych fabrykach i o zielonych falach na Bałtyku i o tych ludziach, którzy tam mieszkają i o tej pracy, jaka na nie czeka, o obowiązkach, jakie spełnić mają, i o dzielności, którą trza rozwijać, by tych nie zawieść, co jej wy-patrują.

Skończyła mówić, szeregi zaś stały dalej zasłuchane, oczy ich tylko błyszczały jak gwiazdy i skandowały jedno słubowanie: "my dotrzymamy". Wreszcie jak wichur powiał po zebranych, huczał się podniósł: niech żyje, niech żyje - Ona, Księżniczka miasta Nazaretu.....



U PROGU NOWYCH DROG

Komendantce T. Sychowskiej
poświęcam -

Ty nie wiesz nawet Ojczyzno moja
Jak nas to smuci i jak nas dręczy,
Ze żołnierz polski po tylu bojach
Nie może broni złożyć w Twe ręce.

Po trudach wojny, na własnej ziemi
Nie może zbierać zwycięstw swych plonów.
Nie może cieszyć się z najdroższymi
W wolnym swym Kraju - w rodzinnym domu.

Ty nawet nie wiesz - Ojczyzno moja -
Jak nas to gnębi i jak nas pali,

Ze nam, Twym dzieciom po tylu znojach
Trzeba iść w obcy świat by żyć dalej.

Trzeba wybierać nieznane kraje,
Bogate, wielkie, z pięknym obliczem.

Cóż? - Gdy ich wielkość w oczach mi staje,

To tak się kurczy, że aż jest niczym. -

To znowu - rośnie - rośnie w olbrzymia
Krzywdy, tułactwa i kar bez winy...

.....
Tak by się chciało sercem, oczyma

Przylgnąć do cudów Ziemi matczynej -

Tej, z złotym kłosem, z kwiecistą łąką -

Tonącej w śniegu - wonnej zielenią -

Zamiast po cudzych ziemiach się błąkać

Jak liść rozwiany chmurną jesienią.

Tak by się chciało - o Ziemi moja

Odwrócić świata haniebną kartę.

.....
Trzeba iść z wiarą w obce podwoje

I krzepić siły przed nowym startem.

Maria Bałandiuk

Nazaret, w sierpniu 1946.

KOMUNIKANTKA

o kronice

Zamiast wstępu DOBIEGU
Z DALEKA

Gdy w Karkin - Batasz wspólną decyzją niewielkiej grupki ludzi uradziłyśmy, że trzeba pisać kronikę - los padł bez wahania na "Panią Stenieczkę". Nie wiem, czy dlatego, że jako główna sekretarka Szkoły Junaczek posiadała pióro - i rzadkość w tym czasie trochę papieru, czy dlatego, że znane nam były jej barwne i wnikliwe opowiadania o swoim domu na Wileńszczyźnie, o Ułeczce - swej jedynaczce, o psach, kwiatkach i łakach Orwidowa, - dość, że los padł natychmiast i bez wahania na p. Stenię.

Dzień i noc, ranki i wieczory widzieć można było małą, drobną Panią siedzącą na progu kibitki, na przy- czy przy stole drewnianym - piszącą, piszącą, piszącą. Zmieniały się pióra, zmieniały się zeszyty, zmieniały się warunki, zmieniali się ludzie, a nasz obozowy dobry i mądry Koszałek - Opałek pozostawał zawsze ten sam. Gromadził materiał, obserwował ludzi, notował fakty i ewidencję przeplatał opisami krajobrazów, a długie meldunki do władz opisywał swoimi słowami w kronice.

Poznałyśmy się i bardzo przylgnęły do siebie w więzieniu starobielskim, a potem w uralskich karnych obozach pracy (Stupino II N K W D). Pani Stenieczka obdarowała mnie całym swoim gorącym sercem, którego nigdy nie skąpiła bliźniemu, a ja starałam się całą duszą odwzajemniać się jej największą troskliwością, na jaką mnie tylko było stać.

Największą dla mnie tajemnicą w osobie p. Steni jest Jej cudowny dar darzenia dużej ilości ludzi jednako gorącą miłością przy zachowaniu dla każdej osoby pełnej wyłączności. Duzo dając i dużo uczucia biorąc uzyskała miano "serca szkoły". I dlatego mimo granic

i przestrzeni " serce szkoły " nadal w S.M.O. bije
i jest zawsze z nami.

(Z kroniki S.M.O.)

T. Sychowska

GŁOS Z DALEKA

Dobiega rok jak opuściłam S.M.O., przenosząc się z jednego krańca świata na drugi: ze Wschodu na Zachód, ze słonecznej Palestyny - we mgły Londynu, z ciepłej rodzinnej atmosfery Szkoły Młodszych Ochotniczek - w środowisko zupełnie obce, gdzie trzeba dopiero na nowo torować sobie ścieżki, na co, nawiasem mówiąc, nie mam zupełnie ochoty, bo i siły już brak

Tysiąc kilometrów i szereg miesięcy, które mnie dzielią od Nazaretu, dopomogły uporządkować przeżycia i wrażenia, spojrzeć okiem bezstronnego widza, a nie jak dotąd jednego z aktorów wspólnie odgrywanego dramatu. Nie wiem czy mój " Głos z daleka " ktoś zechce posłuchać, czy też przebrzmi bez echa, względnie trafi do kogoś. Do pisania tej garstki wspomnień nie upoważnia mnie bowiem nic, prócz tego, że od pierwszego momentu istnienia Szkoły Młodszych Ochotniczek byłam jej kronikarką, zaś z Komendantką związana jestem węzłami prawdziwej, głębokiej przyjaźni. Trawestując utarte powiedzenie " braterstwo broni " możnaby powiedzieć, że łączy nas " braterstwo pryczy więzienne ". Kto wie, czy w pewnych okolicznościach nie ma to jeszcze większego znaczenia.
.....

Nie wiem co Tołę młoda, i pełną życia pociągnęło do mnie starszej, złamanej kobiety. Może wspomnienie matki Wiem jednak co ukształtowało moje uczucie dla niej: jej głęboka, niezłomna wiara, ukochanie Polski ponad wszystko i niezwykle przywiązanie do rodziny, dziecięce niemal uwielbienie dla matki.

Z 20-tu kobiet Polek byłam najstarszą, a więc najmniej nadająca się do ciężkiej pracy i ekwilibrystycznych sztuk, jakie zmuszano nas wyczyniać jak to: maszerowanie na codzienną pracę 12 do 16 klm. po kolejowych podkładach bez nasypu, przełożonych nad kilkumetrowymi przepaściami pełnymi wody, lub wskakiwanie i zeskakiwanie w ruchu pociągu z platformy, z której zsypywałam się twir przy reperacji toru i t.p. Tola zawsze znalazła się przy mnie, by mi pomóc, podtrzymać - zastąpić, gdy się już brakło.

Gdy w pierwszy dzień Bożego Narodzenia poszłam nie do szorowania podłogi w baraku jadalnym 100 metrów na 50, gdzie wylana woda natychmiast zamarzała, tworząc ślizgawkę, Tola dobrowolnie poszła ze mną, by mi pomóc.

Pewnego razu naznaczono mi za niewykonanie rozkazu trzy dni aresztu w t.zw. "izolatorze" ohydnej śmierdzącej dziurze, gdzie jedynym sprzętem była "parasza" pełna po brzegi, od tygodni nie uprzątnięta. Tola uparła się, że mnie samej nie puści, pójdzie ze mną. Dużo NKWD-istów mieli z nią kłopotu i ledwo ją uprosiłam, by zostawiła mnie samą, gdy stało się jasne, że i tak nas razem nie posadzą.

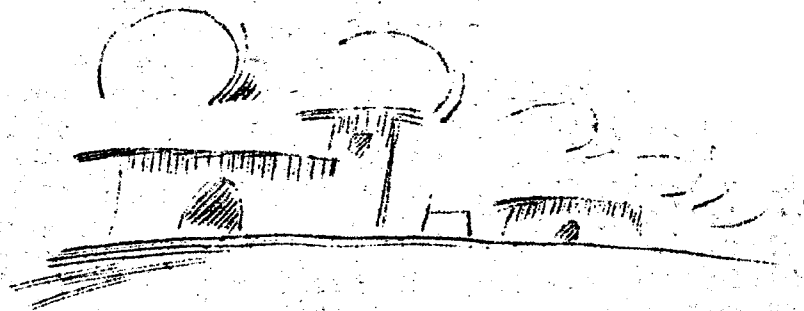
Tola nigdy nie opuszcza rąk, jest pełna inicjatywy i zdecydowania, nie boi się wziąć na siebie odpowiedzialności za powziętą decyzję, a każdą rzecz przed wykonaniem najdokładniej obmyśla i planuje.

Pamiętam któregoś baznadziejnego, grudniowego wieczora Tola po powrocie z pracy przypieczętowała do mnie na pryce i zaczęła szeptać: "musimy coś zrobić, bo zagubione jesteśmy w tym męskim lagrze wśród Estończyków, a przecież po zawarciu umowy polsko - sowieckiej (o której nas słuchy dochodziły), Polaków wypuszczają na wolność. (Wiedzieliśmy, że właśnie jest w lagrze prokurator z Moskwy ze swiątą, sądzi i wymierza kary Estończykom). "Musimy dostać się do niego i żądać uwolnienia". Ba! Łatwo powiedzieć, ale jak wykonać? Jesteśmy pilnie strzeżone, pod konwojem wyganiane na robotę, prokurator zaś urzęduje w małym domku już za "zoną". Tola przyszła z gotowym planem: Pójdziemy do ambulatorium. Chorzy zgłaszali się tam o 3-ciej w nocy, aby lekarz zdążył przed wypędzeniem na robotę zbadać i ewentualnie dać zwolnienie. Spróbujemy udać chore, poprosimy by nam tego dnia pozwolono zostać w obozie na lżejszej pracy. A nuż się uda? a wtedy spróbujemy dostać się do prokuratora. Szanse były minimalne, bo zwalniano tylko z temperaturą ponad 39 stopni, a w ogóle tylko

25% ze zgłaszających się chorych. A jednak do śmiałych świat należy! Udało się ponad spodziewanie, gdyż temperaturę na termometrze potrafiłyśmy podnieść do ..39.0. Wzięłyśmy szmaty, miotłę i dziurawe wiadro; na wartowni nas zatrzymano, pytając o rozkaz na piśmie, aleśmy się wykłamały, że musimy jak najspieszniej posprzątać u prokuratora, a wartownik niech sprawdzi rozkaz telefonicznie; nim ciężko myślący "Wańka" odwrócił się do telefonu, jużśmy się prześlizgnęły za kołowrót. Śmiało i bezczelnie wtargnęłyśmy do izby prokuratora. Wytrzeszczył na nas zdumione i przerażone oczy "Czewo wy zdiesz"? Wytłumaczyłyśmy mu pośpiesznie żeśmy Polki, a więc bezprawnie przetrzymywane nadal na ciężkich robotach w łagrze. Udawał, że nie wierzy. "Ależ wy jesteście Estonki!". Nie, Polki. "Ale chyba deportowane z Estonii?" Nie, z Polski, z Wilna. Widząc, że umowa polsko - sowiecka jest nam znana, dał słowo, że jeżeli to co mówimy okaże się prawdą - za miesiąc będziemy wolne. Słowa dotrzymał. Równo w miesiąc, 19.I.42r. 20 Polek odzyskało wolność

Z inicjatywy Toli powierzyłyśmy nasze losy błogosławionej Wandzie Malczewskiej, którą co wieczora - zbierając się wbrew zakazom i groźbom, na modlitwę, - prosiłyśmy o pomoc w odzyskaniu wolności, obiecując rozszerzyć nabożeństwo do Wandy; jeżeli wymodli nam powrót do Polski, oraz wszystkie 22 Polki uchronić od kalectwa, nieuleczalnej choroby lub śmierci. Udziały w tej akcji nie przyjęły tylko dwie Polki. Jedną ponieważ była zdecydowaną ateistką, ta już nie żyje - popełniła samobójstwo. Druga - miała optymistkę - twierdziła, że i tak lada dzień trwająca wojna przyniesie nam wolność, więc poco to wszystko? Biedactwo! gdysmy już rzeczywiście odzyskały wolność, a miała Ewa spotkała się z nade wszystko ukochanym mężem, zachorowała na tyfus plamisty i umarła. My - reszta - po uwolnieniu i wielu jeszcze przygodach, wstąpiłyśmy do wojska i oto już na Wielkanoc byłyśmy - wszystkie nie w Polsce jeszcze - lecz w Wojsku Polskim, w środowisku czysto polskim.





Nowina, dziwna nowina błyskawicznie obiegła kołchozy i pasiołki, docierając do każdego kąta, gdzie była jakaś polska dusza. Nowina nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa. Przechodziła z ust do ust, elektryzowała ludzi.

Oto z inicjatywy i pod egidą Armii Polskiej tworzyły się szkoły junackie dla chłopców i dziewcząt. Rodzice zdecydowali się szybko. Dzieci muszą iść do tej szkoły, muszą się znowu uczyć w polskiej szkole; trudno się z nimi rozstać i straszno, ale trzeba się na to zdobyć.

W umysłach dziecięcych, gdy i one zasłyszały o tej wieści, powstawały reminiscencje szkoły w Polsce: najpiękniejsza chata we wsi, obrośnięta fasolą i powojem, przed nią ogródek pełen malw, pachnącego groszku, mięty i ruty; - czysto wybielona izba z szeregiem ławek, a w nich płowe i ciemne główki schylone nad książką. I już o niczym innym niezdolne są myśleć i marzyć, tylko już żeby prędzej dostać się do tej szkoły.

Rzeczywistość jednak nie a nie jest podobna do marzeń.....

Bezkresny step wokoło szeroko rozrzuconej wsi uzbeckiej, składającej się z gliniastych, nawpół rozwalonych chałup, zamieszkałych przez dzikich Uzbeków, olbrzymie stada baranów, kilka osiołków, a w półkilometrowej odległości kilkanaście urukowych drzewek (dzikie morele). Czy tu ma być ta Polska Szkoła Junacka?

Wieś nazywa się Karkin - Batasz. Ze w tłumaczeniu to miało znaczyć "Dolina Śmierci" dowiedzieliśmy się dopiero później. Później też dopiero okazało się jak niefortunnym był wybór miejsca: w kraju tym bowiem nie tylko ludziom nie można ufać i wierzyć, również przyroda kryje pełno zasadzek i zdradliwych niespodzianek. Zresztą nie było wyboru. Trzeba było brać to, czego łaskawie udzielił raczyli świeżo upieczeni sprzymierzeńcy. Było to zaraz po porze deszczowej - step zieleni

się pięknie, słońce niezbyt paliło, przepływający niedaleko "arik" pełen był wody po brzegi, od widniejących na horyzoncie gór Pamiru płynął orzeźwiający powiew.

I zaczęły przybywać transporty jeden za drugim, wysyłane z punktów zbornych przez władze wojskowe pod opieką nauczycieli i wojskowego opiekuna - przewodnika. Zaczęło się od 4-ch dziewczynek, - nazajutrz było 33, wkrótce 100, - 200, - 900, 1036

Dziewczynki samotne, które nie miały rodziców i opiekunów wędrowały i przybywały na swoją rękę.

Pamiętam, przyszły, - nie - przywlekły się takie cztery: z małutkimi węzełeczkami w rękę, nawpół ubrane, zawszone, wychudłe jak szkielety, raczej do widm, niż do żywych dzieci podobne. Miały lat 15 - 16; nie posiadały żadnych dokumentów, ani żadnego skierowania.

Przyszły i słaniające się ze znużenia usiadły w skąpym cieniu kibitki, szumnie nazywanej kancelarią. "Kto was tu skierował, dziewczynki? Czy macie jakieś dokumenty osobiste, skierowujące papiery?" Nie miały nic. Usłyszały o Szkole Junackiej, więc postanowiły do niej dotrzeć, bo chcą się uczyć w polskiej szkole. Nie odejda stąd za nic, wszyscy bliscy pomarli, nie mają do kogo wracać, - tu zostaną.

Komendantka nie miała prawa przyjmować bez skierowania i dokumentów, lecz decyzję zawsze miała prędką i nigdy nie była się wziętą na siebie odpowiedzialności. Nie miała prawa przyjąć - to prawda, ale tymbardziej nie miała serca odegnąć. Za dokumenty musiało wystarczyć, że to polskie dzieci.

Osieroczone dzieci widziały w szkole ostatnią deskę ratunku. Śmiertelnie zmęczone już były tym, że miały być tak bardzo dorosłe; pragnęły by za nich postanowiono i myślano, pragnęły troskliwości i opieki tak należytą ich wiekowi. Każde z tych dzieci przeżyło tak wiele, każde miało swoją historię, tragiczną w swej codzienności i prostocie.

Nikt nie spodziewał się takiego olbrzymiego napływu dziewcząt, nie było ani pomieszczeń, ani dostatecznej ilości personelu wychowawczego i administracyjnego. Wiemy już jednak, że Komendantka nigdy nie należała do ludzi, którym wobec trudności opadają bezradnie ręce. Za jej przykładem my wszystkie zbierałyśmy siły i energię: każda pracowała za dwie, - trzy, dziesięć..... Najwyższym nakazem, naszym hasłem było ratować dzieci. A ratować, wydzierać śmierci, trzeba je było codzien -

co godzinę. W zagłodzonych, bladych, apatycznych istotach trzeba było obudzić na nowo chęć do życia i wiarę w lepsze jutro.

Wszystkieśmy zdawały sobie sprawę z tego, że przy takim napływie, wobec braku pomieszczeń, gdy nie można było przeprowadzić kwarantanny, groził wybuch epidemii. Już w maju rozpoczęły się nieprawdopodobne upały, ani w dzień, ani w nocy nie opadające poniżej 70 stopni Celsjusa. Step szybko zamienił się w piaszczystą pustynię, a woda w ariku i jedynej płytkiej studzińce wyschła niemal zupełnie. Cóż z tego, że teoretycznie każdy transport miał być natychmiast wykąpany, a włosy krótko ostrzyżone. Pierwszej części zarządzenia wykonać nie było można z powodu braku wody (mydło było rzadkością) a z braku pomieszczenia nie można było przeprowadzić kontumacji. W tych warunkach nieuchronnie musiały szerzyć się choroby. Wypadki tyfusu zawleczonego przez nowoprzybywające były dosyć liczne, nie oszczędziły i kadry, dwie nauczycielki zmarły na tyfus plamisty. Ale największe spustoszenie sprawiała czerwonka, która, jak się okazało, nawiedzała tę miejscowość epidemicznie co roku; dla kompletnie wycieńczonych organizmów była 50% śmiertelna; mnóstwo również dzieci dogorywało powoli z powodu pellagry i awitaminozy. Szpital w pobliskim miasteczku Guzar przyjmował na skutek przepełnienia tylko najgroźniejsze wypadki, więc chore przeważnie pozostawały w miejscowej Izbie Chorych, w warunkach w które trudno uwierzyć. Dzieci leżały ciasno na podłodze jedno koło drugiego, a że miejsca w Izbie wkrótce zabrakło, więc na piasku podwórza; nad chorymi unosiły się roje much roznosząc zarazę. Myśmy na to wszystko patrzyły nie mogąc temu zaradzić.

Niby zdrowe dzieci niewiele różniły się od umierających. Zdawało się że wysiłek woli na który musiały się zdobyć, by dotrzeć do Szkoły, tak je wyczerpał, że nastąpiła reakcja: kompletny upadek sił i energii. Śmiertelna cięsza panowała w obozie: nie słychać było piosenki, ani srebrzystego dziecięcego śmiechu. Apatyczne, blade, leżały dziewczynki w namiotach i kibitkach, jak gdyby oczekując już tylko śmierci. I przychodziła często zabierać nam dzieci

W tym okresie od połowy maja do początku lipca, a więc niespełne 2 miesiące zmarło 88 junaczek, nie licząc junaków, oraz dzieci małych w sierocińcu w Karkin - Batasz. Próbowaliśmy za wszelką cenę wyrwać zdrowsze dzieci ze stanu apatii. Wszakże miała to być szkoła, więc należa-

Ło jakoś zorganizować naukę. Przeegzaminowano dziewczęta z lekka, klasy i codzień od 7-mej rano do 10-tej odbywała się niby nauka w owym gaiku. Nauka bez książek, bez zeszytów, bez skrawka papieru nawet. Od 10-tej upał stawał się tak nieznośny, że zajęcia trzeba było przerywać.

A szkoła wciąż się rozrastała i ze wszystkich stron napływała do niej - jako do oazy polskości - młodzież. Przybywała zaś w stanie takiego wyczerpania, że każda choroba jej się czepiała i jedynie jak najlepsze warunki bytowania mogły ją uratować. Niestety Szkoła mogła dać tylko jak najtrocikliwszą epicką i dużo serca, lecz odpowiednich warunków nie była w możności stworzyć. Wszelkie borykanie się i walka ze śmiertelnością i chorobami była bezskuteczna.

Groza sytuacji narastała z każdym dniem.

Stawało się jasne, że tu młodzież pozostać nie może, bo śmierć wykosi wszystkich.

Komendantka najlepiej zdawała sobie z tego sprawę i postanowiła za wszelką cenę zmienić m.p. Nie było chwili do stracenia. Czas był najwyższy, - okazało się bowiem, że nawet miejscowi Uzbegy w lipcu opuszczali wieś, przenosząc się w niezbyt odległe, widniejące na horyzoncie góry, gdyż letnie miesiące w tej Dolinie Śmierci były nawet dla tubylców zabójcze.

Nie trudno było przekonać nasze władze o konieczności zmiany m.p. Wiele trudniejszym zadaniem było znalezienie jakiejś zdrowszej, odpowiedniejszej miejscowości.

Komendantka sama chora, z wysoką temperaturą, nie bacząc na swój stan zdrowia, wspólnie z D-cą Org. A.p.p/k. Kocem - jedździ, - szuka, bada

Nareszcie udaje się uzyskać miejsce na terenie zajmowanym przez Łączność w miasteczku Guzar, lecz - niestety - ze względu na szczupłość miejsca - zaledwie połowa Szkoły mogła tam być przeniesiona. Więc Komendantka wysyła co słabsze i więcej ratunku potrzebujące, a sama z resztą pozostaje na starym miejscu. General Tokarzewski - Dowódca 6 D.P. wyraża gotowość przyjęcia 150 dziewczynek na teren swojej Dywizji w rejonie Szachrizjabsm zapewniając im wyżywienie, opiekę i wszelką pomoc, nawet umundurowanie.

Ale i to nie rozwiązuje ostatecznie Karkin - Bataszu, gdzie pozostaje jeszcze 200 dzieci. Więc Komendantka w trosce o "swoje" dzieci, które już pokochała gorąco przypuszcza nowy szturm do generala. Szczęściem należy

on do ludzi o szybkiej decyzji, szczególnie w wypadkach, gdy chodzi o udzielenie komuś pomocy. Toteż starania Komendantki uwieńczone są pomyślnym rezultatem. Wychodzi od Generała z lekkim sercem: może być o "swoje dzieci" spokojna.

Zadna z nas, od najmłodszej do najstarszej, nigdy nie zapomni marszu ze stacji Kitab, do której przybyliśmy po 10-ciodniowej jeździe pociągiem, do odległego o 2 km. kołchozu Mołotow, przeznaczonego na nowe m.p. Zrozumieć to mógłby tylko ten, kto jak my po kilkumiesięcznym pobycie na szczerzej pustyni, wśród tumanów gliniastego pyłu, przysyłającego nawet błękit nieba, z ustami spieczonymi od ciągłej gorączki i niezaspokojonego pragnienia, nareszcie mógł odetchnąć pełną piersią.

Wielkie drzewa włoskich orzechów ze zwisającymi z nich festonami winorośli, bujne zielone krzewy, kwiaty, strumyczki, przepływające w poprzek drogi, wszystko to wprowadzało w zachwyt, a gdyśmy przy końcu drogi weszły na wąską grobelkę zarosniętą wierzbami i trzciną, a zachodzące słońce rzucało na nią czerwono-żółte promienie, obudziło się w sercach wspomnienie podobnych grobelek, a wyobraźnia dopełniła obraz, zmieniając obce drzewa w rodzime białe brzozy na kobiercu liliowych wrzosów. Zrobiło się na duszy błogo i rzewnie i jednocześnie odżywało na nowo utracona nadzieja Przetrywamy..... Wrócimy

Nam starszym wstępowała do serca otucha, że już nie będziemy musiały patrzeć bezradnie na zamykające się na zawsze oczy i cicho gasnące życie powierzonych nam dzieci.

Nazajutrz dziewczęta obudziły się w zupełnie innym nastroju. Za sobą pozostawiły grozę śmierci, choroby i beznadziejność jednostajnie płynących dni. Młodzieli tak prędko umie otrząsnąć się z przygnębienia! Erbdłem niewyczerpanych rozkoszy stała się bystra rzeczka Kaszka Daria o urwistych brzegach porośniętych drzewami i krzewami; po drugiej stronie rzeki błękitniały zarysy gbr.

I znowu trudno było się domyślić, że i tu kryje się siedlisko nowych cierpień i chorób. Po zachodzie słońca unosiły się w pobliżu rzeki chmury komarów, które niestety okazały się mniej niewinne niż nasze polskie. Tropikalne choroby, jak malaria, papatacz, sztytaczk, śpiączka nawet, przyszły na miejsce awitaminozy i pellagry, zaatakowały z taką siłą, że nieomal nikogo nie oszczędziły.

dziły, tylko że tutaj zawdzięczając 6 D.P. pewne zaopatrzenie w lekarstwa i bez porównania lepsze warunki życiowe, sprowadziły śmiertelność prawie do zera, jednak malaria, straszliwa ta choroba, nękała każdą, z nas przez kilka lat, wywołując w wielu wypadkach groźne następstwa.

Komendantka, mając stałe miejsce pobytu w Guzarze, przyjeżdżała do Mołotowa często, interesując się każdym szczegółem i troszcząc się o wszystko. Gdy zaświtała nadzieja wyjazdu z Z.S.S.R. Komendantkę ogarnęła nowa troska. Co będzie z chorymi, których było dużo. Przecie nie można ich tu zostawić na zatracenie, a zwłaszcza ciężko chore, gdyż władze wojskowe zapewne nie zgodzą się na transport.

Tymczasem przyjeżdża do obozu p. generał Anders. Po zwiedzeniu Szkoły, Pan Generał wydaje rozkaz, by wszystkie chore włączone zostały do transportu. W ten sposób pozostały w raju sowieckim tylko dwie nasze junaczki: chora na śpiączkę Irena Jazwińska i również w beznadziejnym stanie zdrowia będąca Paszko Genowefa. Obie dziewczynki zmarły w parę godzin po odejściu naszego transportu. Chore dzieci na rękach wnosiliśmy do wagonu. Z nich tylko jedna, Wanda Bogacz, umarła w drodze, a zwłoki musiały być pozostawione na stacji "Mari" pomiędzy Kitabem a Krasnowodzkiem. W Krasnowodzk w polskim szpitalu pozostało jeszcze 9.

Taka jest historia Szkoły Junaczek w Z.S.S.R.

Niezwykle to były dzieje, w historii narodów i wojen prawie niespotykane. Chybachyba za czasów Krzyżowców. Tak, to była Krucjata Polskich Dzieci. A świat za mało o niej wie, a raczej tak znikczemiał, że woli udawać, że nie wie, bo gdyby zastanowił się nad całą tą grozą nie mógłby spać spokojnie. Matki szczęśliwych narodów nie potrafiłyby ze spokojną, bezpieczną radością patrzeć na swoje syte, zdrowe dzieci, bo wizja wychudłych, schorowanych, skatowanych polskich dzieci przysłoniłaby im obraz szczęścia rodzinnego.



OD UZBEKISTANU DO NAZARETU



W Karkin Batasz



Dziś



Dziesięcioraczki z nieodłącznymi misiami



Lekcja przed kibitką



„Poznamy się po uśmiechu“



Zmiana miejsca postoju



Przez Iran i Irak dotarła Szkoła do Ziemi Świętej. Wraz z przyjazdem na teren Palestyny sytuacja S.M.O. przeobraziła się najzupełniej. Warunki stopniowo stawały się normalne, wobec czego Szkoła mogła stać się rzeczywistą szkołą, a praca stała się twórcza. Jednak okres organizacyjny również nie należał do łatwych. Niezbędna była niestrudzona energia i wytrwałość, umiejętność i inicjatywa, aby wywalczyć Szkole należyte prawa, odpowiednio ją zorganizować, zapewnić jak najlepsze warunki pracy, a młodzieży dać najwyższy poziom nauki i zastąpić dom rodzinny. Opatrzność błogosławiła tej Szkole, bo trzeba przyznać, że dobor personelu na wszystkich szczeblach był niezwykle szczęśliwy co pozwoliło wytworzyć doskonałą harmonię w pracy i kierunku wychowawczym. Nie wiem czy był to szczęśliwy traf, czy też atmosfera Szkoły była zaraźliwa, dosyć że tak jak kropla wody wpadająca do rzeki, porwana prądem musi dążyć do jednego celu - do morza - tak i tu rozpląwały się egoizmy, małostkowość, bierność, a pozostał jeden wielki cel dać Polsce jak najbardziej wykształconą, jak najlepiej do życia przygotowaną obywatelkę.

Trzeba podkreślić jeszcze jedną rzecz, może nie każdemu rzucającą się w oczy. Ta praca wymagała wielkiego samozaparcia. Była szara, codzienna, bez rozgłosu. A świat ciągnął i nęcił. Czynna natura Komentantki Sychowskiej nie znosi, by się działy jakieś wielkie rzeczy, wielkie wypadki, w których ona udziału nie bierze. Walka ze sobą samą bywała ciężka, lecz zawsze zwyciężało poczucie obowiązku i odpowiedzialności, ukochanie Szkoły. To też trwała na posterunku, dążąc do jasno wytkniętego celu.

W tym co tu o Szkole Młodszych Ochotniczek napisałam, nie ma ani słowa przesady, są fakty. Niech wypowiedzą się liczne rzesze wychowanek, rozsianych po świecie po opuszczeniu Szkoły ze świadectwem dojrzałości, lub małą maturą w kieszeni, a jednak dotąd nie przestając myśleć o tej Szkole jak o swoim drugim domu rodzinnym.

Stefania Dąmbrowska.

Londyn, 1 marca 1946.

WOLNOŚĆ

Wojsko i my - to wojsko i nasza szkoła. Chcąc uniknąć chociażby częściowo tylko w istotę tego zagadnienia, trzeba obejrzeć zewnętrzną i zgłębić wewnętrzną, w duszach naszych i dzieci nurtującą, treść szkoły. Trzeba wziąć pod uwagę przyczyny natury materialnej a następnie, przejść historię całej gamy uczuć, którymi nasiąkało serce polskie przeżywając gehennę od r. 1939 począwszy łącznie z uczuciami odziedziczonymi po dziadach i ojcach, których szlakami poprowadziła nas nowa wojna.

W Rosji tworzy się Armia polska a wiadomość o niej nabiera legendarnych cech wśród zesłańców. W dalekich kółchozach i pasiołkach opowiadanie o Buzułuku - Tockoje - o mundurach polskich żołnierzy, jest czymś tak wielkim, co się nie da sercem ni umysłem objąć. Z ust do ust krąży wieści - z iskry zapala się płomień. Wszyscy - mężczyźni i kobiety - dziewczęta i ~~warotki~~ i dzieci - wybierają się drogą długą i ciężką do wojska - do swoich. Bo Armia polska w Rosji to dla nas - zesłańców: Polska - to wolność - to powrót do kraju. - Bo Armia polska - to największe ukochanie nasze...

Z takimi uczuciami, przytępieniami nędzą, głodem i wyczerpaniem, wypełniały dzieci polskie Szkoły junackie w Tockoje a potem w Uzbekstanie. D-ca P.S. Bbr. w Z.S.R.R. gen. Anders, kierując się względami humanitarnymi, stworzył te szkoły, zapewniając im warunki istnienia i rozwoju. Ośrodkiem skupiającym młodzież żeńską była Szkoła Junaczek przy D-twie P.S. Zbr. z siedzibą w Karkin - Batasz pod Guzarem (O. Org. A.). - Nadto była w Kermine (przy VII D-zji) Szkoła Junaków i, później już zorganizowana we Wrewsku koedukacyjna szkoła dla młodszych dzieci. Szkoły te oparte były na organizacji wojsk: z komendą na czele i wszystkimi organami dowodzenia oraz z prawem do wojskowego wyżywienia, zakwaterowania i umundurowania.

Oprócz tych głównych środków skupiających młodzież polską, były przy niektórych oddziałach wojsk. organizacje młodzieżowe, zakładane przez d-ców danych

jednostek, których było zaopiekowanie się dziećmi swoich żołnierzy. Nie mając przyznanych racji żywnościowych dla swoich wychowanków, żywili je, dzieląc się z nimi chlebem i kotłem żołnierskim.

Do szkół junackich napływały dzieci ze wszystkich stron zesłania. Przyjeżdżały z matkami i same, pojedynczo i grupami. Dzieci przyjeżdżały wynędzniałe, chore, często w przededniu swojej śmierci - sieroty, półsieroty i mające rodziców gdzieś w wojsku, czy jeszcze w jakimś pasiołku.

Władze wojskowe dokładały wszelkich starań, ażeby Szkoły junackie, to najmłodsze dziecko armii, jak najlepszą otoczyć opieką. Starały się, ażeby jak najwięcej dzieci do szkół tych ściągnąć, ratować od głodu, nędzy i śmierci - ażeby jak najwięcej dzieci skupić i przygarnąć pod swoje opiekuńcze skrzydła.

Już w Guzarze i Karkin - Batasz w Rosji, pomimo bardzo ciężkich warunków rozpoczęła się w Szkole Junaczek nauka i wojskowe szkolenie dziewcząt. Komenda i cały personel nauczycielski, instruktorski i administracyjny Szkoły, składał się z ochotniczek P.S.K. już umundurowanych i wojskowo wyszkolonych. Junaczki zostały umundurowane później. Jakaż to uroczystość była, kiedy w miejsce podartych, cywilnych sukienek dziewczynki wkładały mundury wojskowe! Mundury te, niedopasowane, często wisiały prawie na ich wychudzonych postaciach - za duże czapki spadały na kołnierze - płaszcze sięgały do stóp. Wszystko to razem stwarzało sylwetkę wojskową bardzo niezgrabną, nie przeszkadzało jednak, ażeby mundur ten stał się największą dumą i radością każdej dziewczynki. Jeszcze dzielniej mundurowały się junaczki nasze w Szachriziabs przy 6 D.P. One, w braku mundurów P.S.K. otrzymały spodnie wełniane o rozmiarach niejednokrotnie tak wielkich, że zamiast do pasa, sięgały im po szyję. Nie krępowały się wcale nasze osiemnastoletnie "elegantki" nosić spodnie kilkakrotnie podwinięte u dołu a u pasa podwiązane w najlepszym razie paskiem.

Jeszcze nie przebrzmiała radość z otrzymanych mundurów a już nowy kroi się etap naszego żołnierskiego życia - wyjazd do Iranu.

Evakuacja z Rosji przewidziana była tylko dla osób wojsk. i ich rodzin. Każda nasza junaczka, traktowana jak żołnierz, miała prawo wywieźć swoją rodzinę, będącą jeszcze z różnych powodów (starość, choroba, drobne dzieci) w cywilu. Ten mały żołnierz rodzaju żeńskiego

staje się przez to głową rodziny i na swoje "wojskowe barki" bierze los kilku nieraz osób. Ilek tysiacy Polaków wywieziono z Rosji dzięki wojskowemu charakterowi naszej szkoły! Wagę tego momentu, dziś możemy najlepiej ocenić.

W jednolitych, wojskowych mundurach i zwartych szeregach wysiadaliśmy z okrętu w porcie w Pahlevi.

Sytuacja się zmienia. Już nie jest konieczna opieka armii nad dziećmi, po które zgłaszają się władze cywilne. Jeszcze padają ostatnie ofiary chorób i wycieńczenia wypełniając cmentarz w Pahlevi a już krząta pogłoski i wyraźnych nabiera zarysów wiadomości o możliwości rozwiązania wojskowej szkoły dziewczęcej. Potem powstaje koncepcja podziału szkoły na wojskową i cywilną.

W szalasach nad brzegiem morza Kaspijskiego odbywa się niema i niewidoczna walka w sercach dziewcząt. Zwyczajowe chronienie kobiet przed bezpośrednim zetknięciem się z wojną, usuwanie ich od huk armat czy widoku trupów, okazuje się przeżytkiem. Wojna dzisiejsza przecięć nie szczędziła ani kobiet ani dzieci.

"Dziewczynki stanowczo nie chcą iść do cywila". Nie rozstana się za nic ze Szkołą Junaczek, z mundurem, czapką z orzełkiem i musztrą.

Znana nam rysa na duszy polskiego dziecka, draśnięta tak mocno w tej wojnie - i owo uczucie kierujące wolę odwetu i to ukochanie Armii naszej, która nam tułaczom jest i Polską i Wolnością i Domem, teraz nabiera nowych barw i nowego życia. Czyż po to z podziwem i entuzjazmem słuchaliśmy o tej armii w Rosji i całym sercem rwałyśmy się do niej, ażeby zaznawszy jej opieki - od niej odejść?

Sprawa podziału szkoły naszej na wojskową i cywilną stała się aktualną w Teheranie. Junaczki młodsze miały przejść do szkoły cywilnej w Isfahanie, starsze mogły zostać w szkole wojskowej. Teraz już dziewczynki radzą sobie jak mogą. Już nie są dziećmi - same decydują o sobie. Lat życia mają tyle, ile potrzeba, ażeby być w szkole wojskowej. Działania Komendantki Szkoły poszły zupełnie po linii nastrojów junaczek. Dokłada ona wszelkich starań, ażeby Szkoła Junaczek mogła pozostać w takim charakterze w jakim powstawała.

K-da Szkoły, formułując cele i zadania szkoły w odniesieniu do nowych warunków, widziała między innymi szereg dodatnich stron, wpływających w wojskowego jej charakteru. Przed wszystkim szkoła stanowi jedyną "naturalną" rezerwę Pomocniczej Służby Kobiet, ochotniczek,

z których każda ukończyła albo uzupełniła wykształcenie w zakresie Szkoły powszechnej, czy szkoły średniej. Ponadto, ze względu na osiągnięte wyniki w zakresie wyszkolenia wojskowego, rozwoju fizycznego oraz zaprawę do życia obozowo - wojskowego, kandydatki te stanowią element specjalnie wartościowy.

Doświadczenie wykazało, że wojskowy charakter szkoły sprzyja procesowi nauczania oraz realizacji celów wychowawczych. Rygory dyscypliny wojskowej, stosowanej umiętnie i z umiarem, dobrowolnie przyjęte przez młodzież, stają się głównym czynnikiem ładu w pracy, w życiu internatowym, w zabawie czy odpoczynku.

D-ca A.P.W. gen. Anders w czasie inspekcji szkoły naszej powiedział: "Ład zewnętrzny, świadczy o ładzie wewnętrznym". Szkoła stara się go w coraz wyższym stopniu osiągać.

Rozumując też, że dziś cała nasza praca i każda nasza służba musi być jak najściślej związana z walką Narodu o wolność", wierzymy, że w takiej Szkole (wojskowej) najlepiej służy temu celowi. Idąc z armią, idziemy drogą może bardziej trudną i ofiarną ale właściwą i krótszą.

W Palestynie junaczki nabierają siły, uczą się z wielkim zapałem i zrozumieniem. Organizacja szkoły przybiera na sile i sprężystości wykazując z każdym dniem wielkie postępy w dziedzinie nauki, wychowania i wyszkolenia wojskowego. Duch nauki godzi się z regulaminami wojskowymi i razem odbywają swą tajemniczą wędrówkę od komendy i kierownictwa nauczania, poprzez personel nauczycielski, instruktorski do kompanii, klas, plutonów, do każdej młodszej ochotniczki.

Regulamin wojskowy przenika do głębi życia szkoły, zbiórki, zebrania, musztry i lekcje i pracę i odpoczynek, radość i troski; - wdziera się do świetlic, kwater i z dnia na dzień systematycznie przemienia wszystkich w żołnierzy nie tylko w zakresie form i oznak zewnętrznych, ale kształtuje coraz wyraźniej oblicze szkoły i duszę każdej pracującej w niej osoby.

Szkoła Junaczek przeobraziwszy się w Szkołę Młodszych Ochotniczek P.S.K., stała się jakby nowicjatem P.S.K. - "Nowicjat" ten przechodzi młodsza ochotniczka ucząc się w szkole do ukończenia 18 lat życia. Po przekroczeniu tego wieku, staje się ochotniczką, albo wedle swojej własnej woli, przechodzi do "cywila".

Często jednak uczennica nawet już będąc ochotniczką,

" ma możliwość" ukończenia rozpoczętej nauki ~~czysto~~ w Szkole powszechnej, gimnazjum czy liceum, gdyż Inspektorka Główna P.S.K. zgodziła się na odroczenie terminu odejścia ze Szkoły do P.S.K. aż do czasu złożenia egzaminu czy ukończenia roku szkolnego.

Nadto S.M.O. daje możliwość ukończenia gimnazjum czy liceum ochotniczkom, które służyć w wojsku od początku istnienia P.S.K. zostały odkomenderowane na zdanie małej czy dużej matury do S.M.O.



Kiedy armia nasza nie brała jeszcze czynnego udziału w wojnie, znikomy tylko procent ochotniczek przekazywała Szkoła Pomocniczej Służbie Kobiet. Natomiast duży odpływ ochotniczek ze szkoły, miał miejsce wtedy, kiedy armia wyruszyła na linię frontu.

Ukończywszy nauki czy to w szkole powszechnej, gimnazjum czy liceum odeszły one do wojska ze świetnym zasobem wiedzy i zapachem do pracy a nawet, jak pisze autorka artykułu " Pajęczne nici" w jednym z numerów.- " Ochotniczki ", z umysłem rozgimnastykowanym nauką w Szkole, co pomaga w opanowaniu nowych wiadomości na specjalnych kursach wojskowych.

Młodsze ochotniczki i ochotniczki odeszły z S.M.O. do wojska, ażeby zająć stanowisko przy telefonie, stacji radiowej - kierownicy, sanitariacie czy innym dziale pracy, i po żołniersku służyć Ojczyźnie.

Zaprawione w Szkole wojskowej do żołnierskiego trybu życia, pracy zbiorowej, do rygoru i dyscypliny, opuściły szkołę, jako jednostki samodzielne, zahartowane fizycznie i duchowo.

P.R.O. Maria Bałandiuk



28.VI.1943. *Gen. Sikorski w rozmowie z ml. ochotniczkami*

Z POBYTU NASZYCH DOWODCOW



Gen. Anders wśród ml. ochotniczek



19.XI.1943. *Gen. Sosnkowski z gen. Andersem w Jeninie*



Plk. Ostrowski w towarzystwie ppl. Bobrowskiego



Gen. Wiatr w obozie Athlit

Z DZIENNIKA

JUNACZKI

Październik 1941 r.

Jednego razu tatuś przychodzi i ma łzy w oczach, mnie to zadziwiło i pytam się czego tatuś smutny? Po dłuższej chwili dowiedziałam się, że Marysia jest bardzo chora i jeżeli nie damy jej dostatecznie mleka, to może umrzeć.

Uradziłam z tatusiem, że trzeba kupić kozę. Długo nie namyślając się pożyczyłam pieniądze i parę łachmanów na plecy i poszłam szukać kozy. Na moje szczęście jechał tatuś z znajomy z kołchozu i zawiązał mnie do Spółnicy, tam przemocowałam i rano udałam się na inne kołchozy. Na szczęście idzie jakiś wieśniak i pyta się czy nie chcę kupić kozy i tak jakoś Pan Bóg sam mi kupił. Wróciłam do tego gospodarza co nocowałam tam, pokarmiłam kozę i ruszyłam w drogę. Droga była niebliska, bo trzydzieści klm. Kozą w drodze mi przystawała ze zmęczenia, ja ją popędzałam, bo bałam się iść przez las sama, ona pada ze zmęczenia, ja ją biorę na ręce, chociaż była bardzo ciężka. Rozpłakałam się aż przy niej, ale jakoś dotarłam do bazy tam gdzie był tatuś. Wieczorem podciliśmy kozę i przyniosłam jej liscia na noc. Marysia była już w domu i z niecierpliwością czekała na mnie. Ucieszyła się bardzo, gdy zobaczyła mnie zdrową, bo droga była bardzo niebezpieczna.

Z kozy byłam bardzo zadowolona, bo była taka wierna, że nie ruszyła się bezemnie, cieszyło mnie moje gospodarstwo.

Październik 1942 r.

W Teheranie zaznałam rygoru wojskowego i musztry. Całe popołudnie byliśmy na musztrach i codziennie kazano nam salutować swoim przełożonym i od gwiazdki, to było nam niewygodne, bo gdy chodziliśmy na przepustkę, to ręką od czapki nie odejmowaliśmy.

Pewnego dnia zapisywano nas do szkoły wojskowej, ja byłam pierwsza. Przeszłam komisję lekarską,

która przyznała mi zdrową.

Ustawiono nas na podwórku i jeszcze raz dano chwilę do namysłu, szeregi rozsypały się, lecz ja nie odeszłam. Pani Komendantka pytała się tych pozostałych, dlaczego chcą iść do szkoły wojskowej. Padły i na mnie te słowa, "ile masz lat", ja zadrżałam, lecz rezolutnie odpowiedziałam 14. Pani Sychowska kazała mi wystąpić i odejść, bo jestem zamłoda. Ja rozplakałam się, pocieszona słowami Komendantki, uspokoiłam się i odeszłam. Ale nie dałam za wygrane, poszłam do kancelarii i po raz drugi prosiłam o przyjęcie. Pani Sychowska dopytywała się kogo mam w wojsku, dowiedziała się, że Wiśka jest tu więc kazała, żeby przyszła. Ja chcąc żeby ta sprawa załatwiła się już powtarzałam "Tataś walczy i będzie walczył, siostry też, a ja nie gorsza?". Ale nic nie pomogło to przekonywanie.

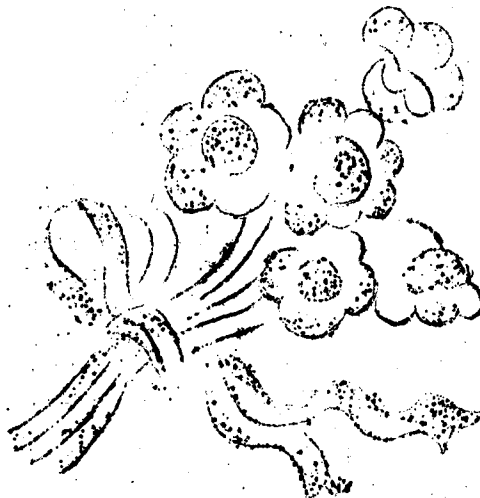
Na drugi dzień poszłam po Wiškę. Pani Komendantka przekonała Wiškę, więc musiałam zostać w szkole cywilnej.

Po kilku dniach nasza kochana Komendantka musiała się z nami rozłączyć, bo odjeżdżała ze szkołą wojskową do Palestyny. Straszna była to rozłąka. Przywrócić namyśliłyśmy do rodziny, której matka z połową rodzeństwa wyjeżdża.

Było to 26 października z bukietami i ze łzami w oczach żegnałyśmy naszą matkę.

Długo jeszcze tałowałam wojska, lecz Wiśka dla mego uspokojenia przychodziła do mnie na kolację.

K.B.



ROZCZNIKA KAPITULACJI

Wiesz, dziś rocznica.....
Tak wzniosłe o nas mówią,
O naszym poświęceniu.
A ja, jak wtedy czuję
Krew Twoją na ramieniu,
Gorącą, młodą, czerwoną.....

I dzisiaj dla mnie niczym,
Niczym są czyjeś słowa
Ale to jedno wspomnienie,
Twoja stygnąca głowa
Wsparta na moim ramieniu.
To wszystko.....

I błagam dziś, nie mówcie
O krwi, o poświęceniu.
Bo łatwo rzec ofiara,
Łatwo też rzec, że trzeba,
Ze tym co poginęli
Otwarte wrota nieba.

I łatwo mówić wzniosłe,
I rozejść się w milczeniu,
Ale nie żyć wspomnieniem
Krwii drogiej na ramieniu.

Teresa Marszałek
kl.II.lic.Hum.

Imię wychowanki S. M. O

Utarł się zwyczaj w Szkołach Mł. Ochotniczek wydawania jednostronki szkolnej. Tegoroczna jednostronka będzie ostatnią ich Gazetką na Śr. Wschodzie. Główna redaktorka zwróciła się do mnie, jako Dyrektora Nauk, bym w Jednostce, która przed wyjazdem Szkoł do Anglii stanowi pewne zamknięcie dłuższego etapu dziejów szkolnictwa Młodszych Ochotniczek, zabrał głos, gdyż - jak mi mówiono - takie zamknięcie nie powinno się obyć bez głosu tego, który od początku istnienia tych Szkoł na Śr. Wschodzie w wewnętrznej ich pracy mniej lub więcej uczestniczył.

Tematem najważniejszym wydał mi się zarówno ze względów pedagogicznych jak i historycznych, temat o " Imieniu " Młodszej Ochotniczki.

Jest bowiem tak, że na zewnątrz, dla świata, ważne jest nazwisko ucznia, czy wychowanka szkoły; dla świata; dla dokumentów, ważna jest nazwa szkoły. Jednym i drugim pieczętują się wszystkie świadectwa wydawane przez szkołę swoim elewom, jako te dokumenty, które otwierają uczniom formalne bramy kroczenia w przód, najpierw wewnątrz w samej szkole, następnie - już po za nią - w samodzielnym życiu jednostki.

Jeśli jednak chodzi nie o nazwę, lecz o imię szkoły, o to wewnętrzne impoderabile szkoły jako tywego organizmu, godzi się wspomnieć o tym, że szkoła polska bardzo często w wewnętrznym, codziennym swym życiu tworzyła to własne imię sięgając między innymi do imion swych wychowanków.

Było to częste zjawisko w Polsce przedwojennej, że w szkole nauczyciele zwracali się do swych wychowanków po imieniu. " Janek " czy " Irenka " brzmiało dla dziecka daleko żywiej i bardziej bezpośrednio, niż nazwisko; pomagało to kształtować szczerą, nacechowaną zaufaniem do przełożonych i do szkoły postawę uczuciową wychowanka, wiązało go mocniej ze szkołą, ułatwiało dziecku borykanie się z trudnościami nauki, ułatwiało szkole wychowanie dziecka, w ostatecznej zaś konsekwencji pomagało tworzeniu się tego bardzo cennego czynnika pedagogicznego, polegającego na tworzeniu się ogólnego imienia, to jest sylwety duchowej wychowanka danej szkoły. Rzecz leży w imieniu, to znaczy nie w formalnym, oficjalnym tytule, czy nazwie, lecz w niewidocznym dla oka, obfitym zespole wartości niematerialnych, które szkoła

w osobowości każdego swego ucznia wyrobiła, wyplełęgnowała i rozwinęła, którymi go obdarzyła, rozwijając i bogącąc umysł, kształtując serce i ducha młodej jednostki. Cała działalność nauki reprezentowanej przez nauczycieli danej szkoły, cała suma ich wartości i zdolności wychowawczych, tudzież odpowiedniki tego po stronie młodzieży, słowem cała kultura szkoły, działała na kształtowanie się wewnętrznego imienia szkoły.

Żadna szkoła, bez takiego wewnętrznego, wypracowanego własnego imienia, nie była i nie jest w stanie podjąć w pełni wszystkim ciężącym na niej zadaniom.

Dokładnie pamiętam pierwszy dzień tworzenia się imienia młodszych ochotniczek na Śr. Wschodzie.

Pewnego dnia, w początku zimy 1942 r., w obozie wojskowym w Rehovodzie, w niewielkim położonym wśród zieleni i kwiatów obozie P. W. S. K. zaznaczyły się ostre kontury kilku oddziałów młodych ochotniczek, idących na nabożeństwo do Kaplicy obozowej. Oddziały te, nie różniące się wzrostem i mundurami od tłumy innych kobiet wypełniających obóz, uderzyły wszystkich odmiennym wyrazem, nie wiedzący o istnieniu szkół junaczek, odgadywali ... "to musi być szkoła".

Ale Szkoła Mł. Ochotniczek nie miała swego precedensu w przedwojennym szkolnictwie w kraju. Mieli taki precedens junacy A.P.W. - w przedwojennych hufcach junackich, całe lata działających w Polsce przed wybuchem wojny; nie miały go młodsze ochotniczki, nie miały go w ogóle PWSK.

Postawę duchową tego nowego szkolnego wojska cechowało na samym początku przede wszystkim bardzo silne i bezpośrednie ich z w i ę z a n i e d u c h o w e z e s w o i m i n a u c z y c i e l k a m i , k o m e n d a n t k a m i i d y r e k t o r k a m i . Była to wartość tak zasadnicza, że wszelkie trudności początków szkolnictwa młodszych ochotniczek: brak nauczycieli, brak lokali, brak podręczników, książek, pomocy naukowych itd. nie tylko nie powstrzymały rozwoju szkół, lecz przeciwnie dodawały bodźca do skupionego wytężenia sił. Ukoronowaniem tego wysiłku było pokuszenie się wspólne uczennic z wychowawczyniami o najwyższy stopień organizacyjny dla szkół, co więcej - zdobycie, już w pierwszym roku ich istnienia, praw szkół państwowych i pierwszej matury licealnej, przy zewnętrznym przewodniczącym

i z wynikiem, specjalnie dodatnio przez niego podkreślonym.

Cnotą więc d z i e l n o ś c i i p r a c y, oraz imponującej s o l i d a r n o ś c i w działaniu, zawiązały młodsze ochotniczki pierwsze zgłoski swego imienia szkolnego.

Po tej pierwszej maturze szły dalsze lata nauki i dalsze matury. Do szkół zjeżdżały licznie odkomenderowane ochotniczki z wojska, dla kończenia wykształcenia w zakresie gimnazjum i liceum. Postawa uczennic do pracy nie spadała. Grupy nowo przybywających uczennic z wojska stapały się szybko z całością szkół; młodsze ochotniczki miały zawsze taką s i ł ę a s y m i l a c y j n ą, dzięki której nowo przybyłe, nieraz opornie do porządku życia i pracy w szkole ustosunkowujące się grupy, zgrywały się z całością w krótszym, czy dłuższym czasie i osiągały zupełnie zadowalające postępy w nauce, a przy tym związywały się silnie uczuciowo ze szkołą. Grupy odchodzących kolejno w świat maturzystek całymi latami utrzymują kontakt korespondencyjny ze swymi wychowawczyniami i wychowawcami, nawet z dyrektorem i dowódcą szkół. Te w i ą z a d ł a u c z u c i o w e byłych uczennic ze szkołą - to następne zgłoski imienia szkół młodszych ochotniczek.

Dalszą cechą charakterystyczną tego imienia, zaznaczającą się przez szereg lat szkolnych, była własna twórczość S.M.O., która nadawała im swoiste odrębne oblicze.

Młodsze Ochotniczki mają mianowicie własne pomysły natury organizacyjnej, własne pomysły różnych imprez naukowych, kulturalnych i towarzyskich. Ich wieczory mickiewiczowskie, przedstawienia, tańce i chóry, sztuki teatralne własnego układu nauczycielek i uczennic, nawet własne wystawy szkolne i wiele innych imprez oryginalnych, - mają stale prócz wyrazu wdzięku i uśmiechu, wysoki poziom wykonania, dzięki czemu zdobywają jak najlepsze imię dla szkół wśród publiczności cywilnej i wojskowej, własnej i obcej, oraz u władz oświatowych i rządowych, zarówno polskich, jak i obcych.

Znamienną właściwością tego własnego oblicza i wyrazu wewnętrznego Młodszych Ochotniczek jest fakt, iż słowa uznania, czy pochwał za pracę i osiągnięcia - nie psują ich. Działa u nich zawsze bardzo ochronnie zdrowy instynkt własnego imienia, nie pozwalający na kempromitowanie szerokiego zasobu wartości własnych, przez jedno choćby uczucie pychy, czy zarozumiałstwa. To ostatnie,

NAUKA I PRACA



Wieża kościoła św. Rodziny w Nazarecie



W jadalni



Egzamin maturalny



W pracowni robót ręcznych



W Świetlicy Y.M.C.A.



*Lekcja w szkole powszechnej
Z dala widoczny kościół OO. Salezjanów*

gromnie - groźno i dość częste w życiu zjawisko, jest obecne imieniu Młodszych Ochotniczek. Leży w tym pewien naturalny akcent imienia S.M.O.: łączy się k r o m n o s c i o z d z i e l n o s c i a i o s i a g n i e c i a m i.

Lecz może szczególnie, próbą wartości imienia Młodszych Ochotniczek było jedno zjawisko zgoła rzadkie i osobliwe w szkole. Było to przybycie do Szkół Młodszych Ochotniczek dziewcząt z Armii Krajowej. Grupa ta u zdecydowanym obliczu moralno - narodowym mogła dawać silne zgrzyty w zetknięciu z masą koleżanek zupełnie im dotychczas nieznanych. Było kwestią, wydaje mi się, przede wszystkim d u c h o w e g o p o t e n c j o n a x u moralno - patriotycznego uczennic S.M.O., czy nowoprzybyłe, podziwiane koleżanki z A.K. odnajdą w nich siostrzane myśli i serca i rzeczywiste koleżeństwo, czy też nie.

Większość znaków wskazuje, że przenikanie dziewcząt - żołnierzy A.K. w zbiorowość młodszych ochotniczek będzie zupełne. Trudno tę sprawę przesądzić, trudno choćby dlatego, że wśród dorosłych jest wiele wypadków raczej egoistycznego zachowania się w kryzysowych momentach obecnej chwili i porzucania posterunku żołnierskiego dla powodów uczuciowych czy to z miłości do najbliższych, czy to z miłości własnej. O popędy zaś uczuciowe u młodzieży łatwiej niż u dorosłych. Jak dotychczas, znakomita większość młodzieży, w kryzysach wykazuje instynkt zdrowy, za którym właśnie niezdecydowani powinni iść.

Jedno jest pewne, gdy nawet będą odpryski spośród młodzieży od rodziny junackiej, to istotnymi motywami będą czynniki natury egoistycznej, osobistej, nie zaś natury ogólnej - narodowej; u odwiejących się spośród młodzieży, nigdy nie był ujawniany motyw ogólnie - narodowy, przeciwnie - był ujawniany względnie ukrywany, motyw egoistyczny.

Młodsze Ochotniczki, po odpadnięciu słabych i nieorientujących się, wyjdą jako całość jeszcze bardziej mocne i zwarte.

I tu na tej moralno - patriotycznej zgłoszę imię młodszych ochotniczek leży główny akcent ich imienia szkolnego.

Młodsza Ochotniczka ma przytem g ł ę b o k i e u k o c h e n i e w o j s k a i silne związanie z nim; ma nadto p o c z u c i e s w o j e j w n i m r o l i, ona rozumie doskonale, że teoretyzowanie na temat, czy służba wojskowa kobiet jest, względnie czy

będzie potrzebne, jest zasadniczo już nie celowe, życie, ostatnia wojna - dały już na to odpowiedź; młodsza ochotniczka rozumie, że naród w walce, to jednocześnie i jej wybitna rola w tej walce; rozumie, że walka obecna i nadchodząca, to sprawa bardzo trudna i skomplikowana, wymagająca od jednostek wykształcenia już nie tylko ściśle wojskowego, ale solidnego wykształcenia ogólnego, wykształcenia uczuć i charakteru, wykształcenia dzielności duchowej, dużej zaradności i praktyczności; sięga więc również po wszystkie umiejętności jakie zapewnić jej mogą samoistne zarobkowanie, bez oglądania się na niczyją pomoc i w każdych warunkach. Stąd b. chętny udział uczennic S.M.O., w różnych kursach zawodowych.

Takimi głównymi liniami zarysowuje się imię szkolne młodszej ochotniczki.

Nie znaczy to, że nie brak jest jej i pewnych cech o znamionach wad, ma one swoje słabości, wypadki wybujałej indywidualności, czasem nadmiernego fantazjowania czy nieposłuszeństwa. Lecz cechy te nie dotyczą całości i są wybitnie głuszone przez większość cech dobrych i bardzo dobrych ogółu uczennic. Nie każą one dobrego imienia szkół, a przestają być niebezpieczne, gdy same uczennice zdają sobie z nich sprawę. Jedno jest tu konieczne do zauważenia: młodsze ochotniczki same z walczą z własną słabością; ich własna opinia społeczna jest na tyle dojrzała i dynamiczna, że żadna z wad indywidualnych, czy grupowych, nie urosła nigdy do formy rażącej. Umieją przewycięzać siebie samych.

- o o e -

Młodsze ochotniczki stoją obecnie przed wyjazdem do Anglii, który dla nich jest nowym etapem życia.

Na powstający dylemat, czy podążają one wszystkim trudnościom oczekującego ich życia w nowych warunkach, czy wejdą w dłuższy - być może - a napewno trudny, etap życia za granicami Kraju Rodzinnego, z taką dzielnością duchową, która wszystkie kryzysy pozwoli im nie tylko przetrwać, ale i przewyciężyć, a więc ukształtować swą przyszłość w sposób godny Polki, wytwarzający wszędzie i zawsze wśród swoich i obcych dobre imię Polce, czy zachowa w samodzielnym życiu w każdych warunkach myśl i serce polskie, czy dziś - jako uczennica, jutro - jako samodzielny człowiek, żona i matka, pozostanie wierną córką Narodu i wiernym żołnierzem idei niepodległości Państwa polskiego - na ten dylemat da odpowiedź próba nadchodzącego życia.

Młodsza Ochotniczka posiada na pewno silną wolę zwycięskiego utrzymania się na tych wszystkich pozycjach walki życiowej, własnej i swojego narodu. Zarliwie do tej walki szykuje się i uzbraja w szkole i w a l k e t e - wierzę głęboko - w y g r a .

Mjr. Pożniak Tadeusz

Klimat S.M.O.

Z zagadnień wychowawczych

W ramach S.M.O. spotkały się dwie grupy: młodzież-wychowankowie i dorośli - wychowawcy. Współzycie układać się zaczęło bardzo szybko na jednej kierunkowej i wywierało wpływ na obie grupy. Zastanawiającym jest gdy się spogląda na okres od 1942 r. (maj) po przez lata 43, 44, 45 i 46 jak szybko zarysowały się pewne drogi i elementy " klimatu " wychowawczego. Dlaczego tak prędko powstały? dlaczego właśnie takie a nie inne? Może analiza wyjaśni częściowo.

Z czym przyszła młodzież do S.M.O.?

Pozytywnie - z głębokim, gorącym umiłowaniem Kraju, domu, rodziny; z wielkim pragnieniem i silnym dążeniem do zdobycia wiedzy.

Negatywnie - przynosząc nędzę fizyczną schorowanych organizmów, wyspanych sił przez urągające wszelkim ludzkim ocenom warunki " umierania " w Z.S.S.R.; przynosząc zadatki kompleksów w psychice dziecięcej, spaczenia charakterów, zachwiania moralności i obyczajowości.

Druga grupa: wychowawczynie (gdyż w Rosji i początkowo w Palestynie personel szkolny i kadra oddziału były wyłącznie żeńskie), wychowawczynie to była cała kadra bez wyjątku: nie tylko nauczycielki, lecz i pracownice administracyjne i personel kuchni. Wszystkie ochotniczki przeszły przez obozy karne lub zesłania w ZSSR, dużo z nich potraciło dzieci własne w Rosji lub rozłączone z rodziną zostawiły je w kraju, wszystkie z serdeczną troską, niezmordowanie zabrały się do ratowania dzieci przybywających do szkoły. Mówiły: " gdy tu będę pracować dla tych dziewcząt, może tam ktoś ztroszczy się podobnie o moje", albo: " straciłam swoje, niechże tym dzieciom zastąpię kogoś bliskiego". Nie szczędziły więc trudu ni serca.

Taki był start. Początkowo warunki istnienia " Szkoły Junaczek " w Rosji, w Iranie, nawet w Palestynie - były trudne, braki materialne, brak pomocy naukowych, brak ludzi do pracy szarej, mozolnej, bez zaszczytnego nimbu współdziałania bezpośredniego w walce

na froncie. Jednakże Szkoły (już wtedy Szkoły Młodszych Ochotniczek) od początku zyskują w pracy wychowawczej " sprzymierzeńców" dających pomoc. Przede wszystkim jest to opieka wojska i mundur, poza tym - postawa zespołu wychowawczego, ofiarna służba ochotniczek PSK na tym odcinku i zasadniczy czynnik - wpływ kierowniczej jednostki, która wykazała wyjątkowy dar nie uronienia niczego z pozytywów wnoszonych przez dwie grupy (młodzież i dorosłych) a talent wzmocnienia, związania i skierowania prętnych sił przez nową jeszcze nie utomowaną drogę - szkoły wojskowej, do pracy twórczej, do walki o Polskę. Komendantka Szkoły doceniła doniosłość placówki, potrafiła wywalczyć najlepsze warunki rozwojowe, jakie można było zdobyć w danych okolicznościach. Po raz pierwszy zjawia się typ szkoły wojskowej żeńskiej. Zapewne miał będzie swych wyznawców i krytyków koncepcja realizowana w S. M. O. Możliwe, że przy innych warunkach w innym klimacie wewnętrznym nie osiągnąłby ten typ szkoły nic więcej poza przejściową formą bytu na czas specjalnych warunków wojennych. Pod wpływem twórczej myśli kierownictwa w nastawieniu młodzieży i Kadry rozwinął się organizm żywy, o zdecydowanym obliczu i bardzo swoistym za Sprawą klimatu.

Pierwszym czynnikiem klimatu S.M.O. stał się mundur - symbol - tak, jak uczy go pojmować Komendantka - zaszczytne dziedzictwo ale wkładające twarde obowiązki.

Drugim elementem staje się ujęcie charakteru szkoły wojskowej - w sposób dający wychowawcom szereg czynników kształcących. Wpływ ducha regulaminu wojskowego na życie internatowe umiejętnie skierowany przez nadanie karności i dyscyplinie wewnętrznej i zewnętrznej - głębokiej treści moralnej, ideowej w oparciu o treść emocjonalną. Wpływ na urobienie charakterów przez - dodatnie " postawy " psychiczne naturalne i właściwe wiekowi młodzieńczemu, dla których szkoła typu wojskowego może dać zrbdło i materiał. Podnieta do wyrobienia takich cech charakteru jak: rycerskość, właściwa dumna, godność osobista, honor, zdyscyplinowanie, hart, odwaga, ofiarność, koleżeństwo i t.d.

Trzecim elementem klimatycznym staje się wykorzystanie charakteru szkoły dla uzyskania możliwości zdrowej integracji osobowości młodzieży przez urealnienie dążeń do wcielenia ideałów, dążeń do zdobywania uznania, znaczenia, wykazania sprawności.

Najważniejszym jednak czynnikiem jest myśl przewodnia spajająca poszczególne ogniwa, kierująca wpływami wychowawczymi - jest "hierarchia" wpływu wychowawczego. Przykład szedł z góry, budzone były myśli a energia i uczucia rozpalane energią i uczuciem. Kierownictwo, które z autorytetem stanowiska łączy autorytet uznany dobrowolnie i siłą tego uznania pozwala przyjąć za własne a nie narzucone zasady i pojęcia, stwarza istotną hierarchję duchową. Komendantka pierwszej szkoły wojskowej żeńskiej potrafiła natchnąć własnym zapalem do pracy personel i młodzież; walorami swego charakteru umiała wzbudzić szacunek, uznanie i głębokie przywiązanie; logicznym, jasnym umysłem potrafiła przekonywać o prawdziwości swych zasad - tymi drogami szedł jej wpływ i wywierał silną, kształtującą piętna. Stałość i konsekwencja w każdej akcji, przenikliwość i przewidywanie trafne i dalekosiężne, niezmordowany wysiłek dnia codziennego ale z punktu widzenia zawsze szerokiego horyzontu, głębokiego oddechu przemyślanych spraw - siłą energii wewnętrznej promieniują w hierarchii wpływów na coraz szersze koła przez kadrę do młodzieży.

Stosunek wychowawców do młodzieży nosi na sobie piętno klimatu i na klimat wpływa - jest serdeczny, życzliwy, aktywny w pomocy, bliski. Życie się wszystkich w Szkole Junaczek nastąpiło szybko. Na terenie Palestyny i w Gederze, Rehovotcie była szkoła już jedną wielką rodziną, gdzie radości i troski stały się wspólne i razem radzono w trudnych chwilach, gdyż los początkowo piętrzył różne trudności na drodze rozwoju szkoły. Charakteryzuje ogólne życie się i wspólność odczuwań nawet taki drobiazg: ze sposobu zdejmowania furatki przez Komendantkę, gdy powracała z jakichś trudnych debat, wnioskoważy wszystkie ochotniczki (Kadra) czy "wszystko dobrze", czy też "jest zmartwienie" i gwałtownie czekały na powrót i wszystkie oczy śledziły gest ręki zdejmującej furatkę.

W takim klimacie rosła młodzież w S.M.O., nabierała wyrazu, który, według słów ludzi obcych, wyróżniał nasze wychowanki wśród innych ochotniczek. Z atmosfery szkoły wyniosły one pogodę i uśmiech, uśmiech znak rozpoznawczy S.M.O. W trudnych chwilach powstawania Szkoły, na samym początku jej istnienia, nadała Komendantka szkole "w herbie" - uśmiech - wyraz wiary w siłę, w czyn obraz harmonii wewnętrznej i zewnętrznej,

gotowość do braterskiej współpracy.

Dziewczęta z S.M.O. charakteryzuje ukochanie Kraju i Armii, pragnienie wiedzy, duma i śmiały spojrzenie, krytyczna myśl, szczerzy i ufny stosunek do przełożonych, uprzejmość, dbałość o estetykę i schludność ubioru i otoczenia, zaradność, dużo indywidualizmu i może zbyt wielkie zaufanie we własne siły, ale to przywilej młodości. Młodsze ochotniczki - chętnie śpiewają wraz ze swą Komendantką:

" Jak dobrze nam zdobywać góry

" I młodą pierśią chłonąć wiatr !

" Prężnymi stopy deptać chmury.....

.....
Zrzuciły ze siebie ciężar Doliny Śmierci - Karkin -
Batasz - do czego dojrzały w klimacie S.M.O. ? - -
- przyszłość odpowie.

dr. T. Z d z i a r s k a

WOJSKOWY

INTERNAT DZIEWCZĄT

Stoimy w przededniu wyjazdu do Anglii, a co zatem idzie w przededniu niewątpliwie radykalnych zmian organizacyjnych.

Mimo woli myśl sięga ku pierwszym stadium organizowania szkół, wspomina ich rozwój i rozkwit, zmudną pracę dnia codziennego na wszystkich ich odcinkach, a wyczułone samienie dowódców, pedagogów i wychowawców skłania ich do refleksji, czy też zadanie spełnione zostało całkowicie, czy ofiarny ich trud wydał lub wyda w przyszłości spodziewane owoce.

Najwięcej może refleksji budzi sprawa internatowego wychowania dziewcząt w szkołach wojskowych, gdyż było ono jednym wielkim eksperymentem dokonywanym na przestrzeni kilku lat.

Typ bowiem internatów wojskowych dla dziewcząt,

stworzony równocześnie z powstaniem szkół wojskowych był nowością. Szkoły internatowe chłopięce typu wojskowego miały bogatą tradycję od Rycerskiej Szkoły Stanisława Augusta począwszy poprzez świetnie postawione w Polsce Korpusy Kadetów - szkoły żeńskie tego typu musiały szukać dla siebie dopiero wzorów, a sięgały po nie także do organizacji Harcerstwa Polskiego, może do doświadczeń popularnej przed wojną Organizacji Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju, a może oparły się poprostu na formach organizacyjnych, przyjętych w szeregach P.W.S.K. w czasie ostatniej wojny.

Formy te były bezwzględnie najbardziej godnymi przyjęcia, jeśli zważy się ogromną ilość młodzieży różnego wieku, pochodzenia o różnych stanach rodzinnych przy bardzo niedostatecznej ilości sił fachowych i do pracy gotowych. Trudności nastroczały konieczność połączenia szkoły i internatu w jedną zwartą organizacyjnie całość, ostatecznie postanowiono dokonać podziału młodzieży na kompanie i plutony tak by pierwsze obejmowały ogólnie młodzież danej szkoły, drugie jej klasy. Ten stan rzeczy utrzymuje się po dziś dzień w S.M.C. jako własna i specyficzna forma organizacyjna.

Kilkuletnie istnienie wojskowych internatowych szkół żeńskich dało bogaty materiał doświadczalny i przekonało dostatecznie, że wojskowe internaty dziewcząt nie gorzej niż cywilne, a w niektórych wypadkach nawet lepiej spełniały swoje zadanie.

Trudności z jakimi borykać się musiano były najrozmaitsze, największą z nich stanowił chyba bardzo różnorodny element ludzki, składający się z młodzieży, która w przeważnej ilości przeżyła więcej niż normalnie młodzież w tym wieku przeżyć może młodzieży często zgorzkniałej, nieufnej i do prowadzenia trudnej. Stan ten ilustruje wymownie własne wypowiedzi dziewcząt w ankietach czy zadaniach szkolnych.

" Z dawnej, patrzącej na świat przez różowe szkielec-ka optymizmu dziewczyny - pisze jedna z licealistek - zrodziła się istota nowa, przedwcześnie dojrzała, o pesymistycznym podejściu do świata i ludzi. Z powodu licznych nieszczęść, wywołanych utratą tego co było dla mnie najdroższym i z powodu licznych zawodów stałam się w stosunku do ludzi nieufna, podejrzliwa, skryta i zamknięta w sobie."

Młodzież ta przez lat parę, zwłaszcza na zesłaniu, pozostawała w stadium przymusowego zastoju duchowego, w ciągłym zmaganiu się z nędzą, głodem i chorobami.

" Wszystkie myśli moje - pisze we wspomnieniach z tamtych czasów inna uczennica - zajęła sprawa nie tego " jak żyć", ale " żeby żyć". Wiedziałam, że chcę żyć. Ceniłam to tym silniej, że znajdowałam się pod opieką osoby prawie obcej, że byłam nieznośnie głodna i trawiła wysoką gorączką".

Bolesne przeżycia doprowadzały młodzież do pełnych wątpliwości rozpaczliwych krzyków duszy, jak wołanie " Gdzie jest Bóg, jeżeli cały świat jest tak zły, brudny i podły ?"

Wszystkie te dziewczęta paliła i do dziś boli wiecznie krwawiąca rana tęsknoty do najbliższych żywych lub zmarłych i nieusmierzona niczym, niesłabnąca tęsknota do Ojczyzny, Kraju i rodzinnego, przedwcześnie im wydartego domu. Trzeba więc było, skupiwszy tę młodzież, leczyć chore dusze, dzwigać je z upadku, wynajdywać mocniejsze i tworzyć z nich przodowniczkę, stworzyć im odpowiednie warunki nauki i atmosferę domu.

W pracy tej trzeba było nieraz eksperymentować, uciekać się do własnych środków i półśrodków, czerpać z zasobu własnych doświadczeń, szukać najlepszych i najskuteczniejszych dróg, bacząc równocześnie, by wprowadzenie form wojskowych do codziennego życia dziewcząt nie wypaczyło pracy w samym jej założeniu.

Jako podstawowy czynnik w pracy internatowej, mający umożliwić wszelką dalszą pracę wychowawczą wprowadzono dyscyplinę, rozumnie jednak, nie rygorystycznie pojętą.

Uregulowanie porządku dnia rozkazami wojskowymi, wyznaczenie z góry czasu i jakości zbiorów, ścisłe przestrzeganie wykonania rozkazów, nigdy przypadkowych, lecz dobrze wpięrow obmyślanych, poddało zbyt może nieraz wybujałą wolę młodzieży pod kierownictwo woli dowódców i zapobiegało właściwemu w tym wieku nadmiernemu krytycyzmowi. Oczywiście, że wysiłek starszych szedł w kierunku wyrobienia u młodzieży dyscypliny wewnętrznej, jako jednej z podstawowych cnót nie tylko żołnierskich, ale i obywatelskich.

Wdrażanie młodzieży do obowiązków było zawsze stanowcze i nieustępliwe.

Komenda liczyła się z ciężkimi warunkami, na jakie los mógł skazać Polaków, dlatego życie w dziewczęcym internacie wojskowym było i jest raczej twarde, ma bowiem stanowić zaprawę życiową na lata przyszłej żołnierskiej, tułaczki, czy też pracy w zrujnowanym wojną Kraju po szczęśliwym do niego powrocie.

Młodzież szkoły wojskowej jest zaradna i przedsiębiorcza. Wojskowe formy nie zabijają w niej inicjatywy, umie sobie dać zawsze radę w kłopotach i przygodach szkolnych i poza szkolnych. Nikt tak jak ona nie umie przebywać dalekich nawet przestrzeni na autostopach i nikt jak ona nie umie organizować uroczystości, imprez czy przyjęć, dla najbardziej nawet dobiegłych gości. Nadmiar młodego temperamentu wyładowuje na obozach letnich, a w roku szkolnym w częstych eskapadach do pobliskiego jeziora Tyberiadzkiego, które nawet jedna z nich zdołała przepłynąć choć szerokość wynosi około 10 km.

Młodzież wojskowych szkół jest realna, bez fałszywego pojęcia o świecie. Realizmu w niej nie tępiemy, byle nie przeradzał się on w cynizm i ponizanie rzeczy świętych i byle szedł w parze z dążeniem do ideału. " Był romantykiem w zamierzeniach, a realistą w ich wykonaniu " - oto przyjęte od Dowódcy Szkół Junaków hasło, któremu hołdują w S.M.O. starsi i młodzi.

Młodzież internatu wojskowego ma poczucie obowiązku i odpowiedzialności tak indywidualnych jak i zbiorowych za swoje czyny. Pełnienie przez młodsze (~~kompanie~~ - ~~ni~~) dziewczęta służby łącznika, przez starsze służby podoficerów służbowych wyrabia w nich nie tylko pewną samodzielność i przedsiębiorczość, ale też daje zrozumienie ważności obowiązku wojskowego.

U młodzieży wyrabia się również poszanowanie pracy fizycznej i samowystarczalność w życiu codziennym. Dyżury w kuchni i jadalni od których wolne są tylko dziewczęta zupełnie fizycznie słabe, sprzątanie swych pokoi mieszkalnych, staranie w własnym zakresie o ich higienę i higienę osobistą przygotowuje młodzież do najtrudniejszych warunków życia i nakazuje zarazem szanować trud innych.

Młodzież ma się nauczyć rządzić sama, wzajemnym oddziaływaniem ma leczyć zło, prostować charaktery i prowadzić serca do sublimacji duchowej. Ważną rolę odgrywa w tej pracy Kadra młodzieżowa: Komendantki kompanii, Komendantki plutonów i drużynowe, które pomagają Kadrze dorosłych w kierowaniu samymi sobą i swymi koleżankami. U tych wybranych, na powyższe funkcje wyznaczonych dziewcząt staramy się wyrobić jak największe poczucie ważności ich pracy, a prowadzą do tego nie tylko dyrektywy, udzielane im przez Komendantki oddzielnych kompanij, ale także tygodniowe, planowo i systematycznie przeprowadzane odprawy z Komendantką Szkół, która poprzez rozmowy ze swą najmłodszą kadrą oddziałuje wychowawczo na ogół

młodzieży.

Wychowanie internatu wojskowego stawia przed sobą cele zasadnicze. Na plan naczelną wysuwa się naturalnie służba Bogu i Ojczyźnie.

Z Bogiem zaczyna się i kończy dzień codziennej pracy, Bogu oddaje się hołd przed każdorazowym posiłkiem i do Niego idzie wraz z młodzieżą w każdą niedzielę i święto. Każdy uczynek dobry i chrześcijański znajduje uznanie. Nie o dewocje nam chodzi, ale o prawdziwą, głęboką miłość Boga i religii naszych przodków i o szlachetne życie na jej zasadach oparte.

O Ojczyźnie mówi się i myśli zawsze, ciągle i wszędzie przy każdej sposobności i w rozmaitych okolicznościach. W młodzieży wszczepia się bowiem patriotyzm dnia codziennego, nie od święta tylko, ale taki, któryby przenikał każdy czyn i każde zamierzenie nawet najpowszejdniejsze i najprostsze. Młodzież kocha Polskę całym sercem, miłuje Jej przeszłość potężną i chlubną, boleje nad Jej rozdarciem i nad wszelką względem Niej niesprawiedliwością. Kocha również Wodzów i wojsko polskie, czuje się z nim silnie zespolona wspólnotą ideałów i dążeń, a te ktbre odeszły i zasiliły szeregi PWSK zdały dobrze egzamin ze swej wiernej żołnierskiej służby.

W młodzieży wpaja się zarazem ideały społeczne i przygotowuje się je do służby obywatelskiej, przyczem wszelka praca w tym kierunku na terenie Kompanij zazębia się ściśle o pracę, podejmowaną przez Samorząd szkolny.

Do życia zespołowego i towarzyskiego zaprawia się młodzież przez zaprzyjaźnienie wzajemne szkół żeńskich z męskimi, przez organizowanie imprez na szerszą skalę, wspólnych wycieczek np. harcerskich, oraz przez uczenie kultury dnia codziennego w jadalni, w ustosunkowaniu się do starszych i we wzajemnym stosunku dziewcząt do siebie. Ten ostatni jest pełen zażyłości, odczucie czyjejs niedoli i chęć niesienia pomocy drugim są głębokie, a koleżeństwo jest bodajże jedną z najsilniej zakorzenionych cech u naszej młodzieży.

W młodzieży szkół wojskowych, pozbawionych w wielu wypadkach zupełnie najbliższych, wyrabia się kult domu i rodziny.

Pokoje mieszkalne dziewcząt otoczone są przez nie szczególną troską, często pieczołowitością.

Z pobłażaniem, a nawet wzruszeniem patrzymy, jak młodzież łątką swoje żołnierskim sposobem w kostkę ścielone i jednakowymi, szarymi kocami zasłane przyozdabia własnoręcznie haftowanymi, barwnymi poduszkami, na

których często figurują ich ulubione maskotki; lalki, misie, pieski lub małe "bamby", jak ściany przyozdabia maskotkami, własnymi akwarelami lub wprost z czasopism wystrzyżonymi widoczkami ulubionych okolic czy miast dalekiej Ojczyzny. Tak, nie brak swoistej estetyki w pokojach naszych dziewcząt, choć tak trudno o nią przecieć przy tych wyliczonych kilku metrach kwadratowych przestrzeni na głowę. Przy każdym też łóżku stoją lub wiszą fotografie najbliższych członków rodziny danej dziewczynki żywych lub zmarłych.

Dziewczeta lubią te swoje "apartamenty" i spędzają w nich lwia część wolnego czasu. Rozbrzmiewają one wtedy dyskusjami, gwarem weselnym i śpiewami, a szczerzy, młody śmiech głośnym echem rozlega się po miłujących niegdyś poklasztornych budynkach szkoły.

Nie bronimy im śmiechu, uważamy go bowiem za oznakę zdrowia duszy i wierzymy, że pomaga w pokonaniu niejednej trudności i przeciwności życiowej.

Tego uczy je także Komendantka Szkół, której jasne i pogodne oczy dodają im wiary w wartość życia i pracy i ideałów.

Najtrudniejszym może zadaniem Kadry Kompanijnej jest stworzyć młodzieży atmosferę, zbliżoną do atmosfery rodzinnego domu.

My starsi, którzy przeżyliśmy normalnie nasze dzieciństwo i dla którego pozostało ono tródkiem niewyczerpanym wspomnień, a dom świętą Krynica mocy twórczych i ożywczych na całe życie, zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że domu rodzinnego i miłości rodziców nie zastąpić nie potrafi. Równocześnie jednak stwierdzić musimy, że S.M.O. stwarza rodzinną atmosferę przyjaźni i zaufania wielkiego, wspólnego domu, gdzie jeden drugiemu nie jest obojętny, gdzie starsi służą doświadczeniem, a młodzi są sobie rodzeństwem. Młodzież czuje, że się ją kocha i łączy do tych, którzy jej serce okazują, chętnie dzieli się swymi przeżyciami, spowiada się z win, prosi o rady i wskazówki najbardziej nieraz osobistych i najłatotniejszych dla niej sprawach.

Młodzież wie, że może liczyć zawsze na opiekę, wyrozumiałość i uczucie. To też malkontentki tylko czują się obco w atmosferze wojskowego internatu. Gdy dziewczęta grawituje ku niemu mocno, zwłaszcza, gdy znajdzie się chwilowo poza oddziałem, a nawet, gdy oddział ten opuści; nie brak również i głosów entuzjastycznych dla tego typu szkoły jak np. głos niedawno przybyłej ochotniczki z Armii Krajowej, która nazwała szkołę wraz

z internatem " cudną, najcudniejszą i najlepszą pod słońcem".

Nam starszym warsztatu naszej pracy tak nazwać nie wypada, kochamy go jednak do bólu, po swojemu, uważając go za najwdzięczniejsze pole dla naszego trudu; czując się dobrze w pogodnej atmosferze zgodnego wysiłku, przepełnionej idea i wiarą, że młodzież nad którą pracujemy, stanie się kiedyś podwaliną tej umiłowanej, z myślą o której trud nasz podjęliśmy.

Janina H o b l e r ppor.

RUŻNIA młodych

Droga do Nazaretu wije się serpentyną śmiałą i smęłą jak młodość. Dookoła niej ciągną się pasma Gór Judzkich, z których mówią do nas wieki historii splecionej z legendą żyjącą w nazwach miejsc, ruinach, świątyniach i szlakach wędrownych ludów, co przemierzali je od starowieku do dziś znacząc drogi swego życia i dziejów znojem, zawodem, powodzeniem i miłością.

Pojeżdżamy do Nazaretu. Miasteczko arabskie leży w wąskiej kotlinie i na stromych zboczach okalających ją gór. Aż tu dotarła w swej wędrówce po świecie Młoda Polska. Przybycie tych obcych jasnowłosych dziewcząt w mundurkach przyniosło temu miastu wieść o narodzie, co z dalekiej ojezyny wojną wygnany, umie nawet w wędrownym trybie życia budować trwałe formy istnienia.

Dziwili się z początku, że dziewczęta uczennice i grono nauczycieli w żołnierskim mundurze szkolne życie pędzą, potem oswoili się, poznali ich sprawy i obyczaj i ugodzili się z nimi po sąsiedzku.

Szkoła Młodszych Ochotniczek jest "autonomicznym okręgiem" tego miasta. Ma swoje całe gospodarstwo i zorganizowane ośrodki pracy.

Wielkiego czasu wojny poczęła się w domu niewoli w warunkach najgorszych z wiary i uporu nauczycieli i gromady garnącej się z zsyłek i więzień dzieci - pierwsza w historii szkoła dziewcząt żołnierzy.

Mówię o tej szkole patrząc na nią z dwu krańcowych momentów czasu i dlatego jej rozwój rysuje mi się jasno i wyraźnie. Widziałam ją w r. 1943 w Rehowocie, gdy po przybyciu z Rosji zaczęła budować swe fundamenty w wolnym już kraju i oglądam ją dziś po trzyletniej pracy u końca naszego wschodniego etapu drogi. Zbudowana została w ciągu tego czasu gorącym sercem i światłą myślą "Kuznia młodych".

Szkoła ma wygląd normalny. Jest wyposażona, jak każda szkoła nowoczesna w pomoce naukowe, pracownie, laboratoria i bibliotekę liczącą 13.000 tomów. Jest zorganizowana według programu i wytycznych wychowawczych M. G. i W. R. Rzeczypospolitej polskiej. W ramach wojska nie tylko zmieściła się ze swym odrębnym życiem, ale stworzyła nowy styl domu - szkoły, którą kształtowały warunki tej wojny. Wartość jej leży w tym, że wśród płynności i zmienności naszych kolei, ma cel wytknięty - wychowuje młode kadry w humanistycznej kulturze polskiej, gdy w kraju rozwój jej został przerwany. Może to zwykle w normalnym toku życia, że pozwala ona dziewczynkom "prosto jak sosna wyrosnąć". Ale w czasie burzy, gdy łamie się dęby, jest to postulat wychowania chyba najważniejszy. W życiu codziennym towarzyszy im uśmiech - który jest znakiem ich siły - bo skądże go wziąć, jak nie z siebie? Przeciwności mają przecież dość, co najmniej tyle co my wszyscy.

Gdy patrzę na Komendantkę szkoły, myślę o tym skąd czerpie energię do kształtowania i organizowania codziennego dnia szkoły, jaki jest psychiczny jej nastrój, który pozwala jej komponować zbiorowe szkoły w takiej harmonii z sobą i otoczeniem? Jak pokonuje znużenie, które musi przyjąć w jej trudnym, nieustannym wiązaniu wszystkiego w potoczną całość? Sądzę, że ma w sobie pogodę, która wypływa z jej słonecznego stosunku do świata i że sama pokonała "jądro ciemności" które musi człowiek dojrzeć i poznać choć raz w życiu. Szkoła kocha mocno i wiernie. Umie o nią walczyć i dla niej żyć.

Dziwnymi ścieżkami chodzą ludzie, by spotkać się w tym punkcie życia, ~~gdzie~~ od którego idą razem drogą oznaczoną świadomością swoją wolą. I tak towarzyszy Komendantce w jej pracy dyrektorka K. - surowe dla siebie naprawdę, a dla drugich pozornie, pełna tkliwej miłości dla swej szkoły, wyłączna tak w swoim uczuciu, że najistotniejsze swoje sprawy tłumaczy językiem szkoły.

Dziewczynki w mundurach są inne niż dawne uczennice. Uderza w nich postawie sprawność i rytm szcegobiny w rękach. - Gdy ktoś obcy wejdzie do szkoły nie są

skrępowane, i nie robią się naraz niezgrabne, przeciwnie są swobodne ale powściągliwe, bo nie wiedzą po co je znów ktoś ogląda. - Mają swe wielkie i małe troski i radości dziecinne lub młodzieńcze - tak samo ważne jak starsi. Nie ma bowiem w tej szkole linii podziału między pokoleniami - atmosfera szkoły wypływa stąd, że dla wszystkich jest ona jednocześnie rodzinnym domem wędrującym szlakiem Armii polskiej na różne nowe m.p.

W szkole powszechnej jest już tylko mała grupa dziewczynek. Inne dorosły w ciągu sześciu lat wojny i przeszły do "średniej". W kraju ich lat dziecinnych została jeszcze beztroska radość zielonej łaki na wiosnę. Zaszłam do nich, gdy siedziały pod cyprysem w ogrodzie, opowiadając sobie jakąś słodką tajemnicę. Małe sztubaczki odnalazły szczęśliwie kotka przywiezionego z Tyberiadu. Choć to zdechłak - szczerze pieścą go i strzegą, zazdrośnie, by nie odebrała "Siostra Generał"...

Starsze w gimnazjum, liceum humanistycznym i adm-handl. - są poważniejsze, choć ich sprawy układają się według należącego ~~na~~ prawa młodości. Uczą się z pasją i obowiązku, która wypływa z przeświadczenia, że szkoła daje im start w przyszłości. Pęd do nauki jest u tych dziewcząt objawem ich zdrowego, aktywnego stosunku do życia, który nakazuje im liczyć w życiu na własne siły i opierać się na sobie. Widziałam dziewczęta z A.K. W ten dzień obchodziły one swoje święto "Kapitulacji Warszawy". Na podwórzu klasztoru franciszkanów tłumy młodozieży polskiej i arabskiej ujrzały obrazki a właściwie fragmenty ich przeżyć z obrony stolicy. I to dziwne i znamienne, że z tragicznego momentu upadku powstania przyniosły tu wiarę w wielkość bohaterstwa i dumę z walki z przemocą. Afirmowały swój czyn w wizji niedalekich wspomnień tak silnie, że wydawało się, że gdyby drugi raz musiały stanąć na placówce - spełniłyby swe zadanie tak jak wtedy.

W szkole nazaretabskiej spotkały się dwa młode strumienia, spływające tu z dwu stron świata. Jedną dużą falą dziewcząt przybyła z Armią polską z Rosji, druga napłynęła później z Kraju.

Złączył je znak nadziei symbol Polski Walczącej - popłyną z nim dalej w świat szeroki "nie straszny dla nich burzy czas" bo przyjdzie kres ich "Wielkiej Podróży" wtedy okręt wiozący naszą uratowaną Młodość dopłynie do brzegów Bałtyku, a ich silna dłoń zarzuci kotwicę w portach Zwycięskiej Wolnej Ojczyzny.

dr. Janina Pilatowa.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY



Powitanie generała Andersa.



Na jeziorze Genezaret



Wśród zieleni Nazaretu.



„Jagódka“.

WNIEMZIANIE z celem określonym

Gdy powstały szkoły młodszych ochotniczek, ani kierownictwu tych szkół ani młodzieży szkolnej nie były znane nawet najbliższe losy. Pewnym się zdawał powrót do wolnej Polski, pewnym - zwycięskie zakończenie wojny. Lecz termin, droga, różnorodność przeszkód, które pokonać jeszcze trzeba będzie, wszystko to zostawało poi znakiem tajemnicy. Wiadomo tylko było, że gdy się do kraju powróci; zastanie się go w ruinie materialnej oraz kulturalnej, kawał suchego chleba wobec ogólnej nędzy trzeba będzie zdobywać wysiłkiem rąk własnych, choćby najcięższym trudem fizycznym nie gardząc, a jednocześnie na gruzach perfidnie zniszczonego przez wroga dorobku duchowego wznosić od nowa zręby cywilizacji łączącej nas z zachodem.

Logika więc myślenia i ścisłość przewidywań kazały studia szkolne, dla ciągłości nauki o programy krajowe oparte, rozbudowywać w dwóch kierunkach: w kierunku ich upraktycznienia i przepojenia wiedzą zawodową a jednocześnie w kierunku utrzymania na należytych poziomie wiedzy humanistycznej, w Polsce na ogół wysoko stojącej, obecnie zaś przez nieprzyjaciela z całkowitą świadomością doszczętnie zniszczonej.

Zależnie od rozwoju bieżącej sytuacji, od sugestii ze strony konkretnych wydarzeń większy się nacisk kładło to na pierwszy, to na drugi moment. Nigdy jednakże sobie nie pozwalano na jednostronność wykształcenia, chyba w tych czasach w których jeszcze zbyt szczupłe były zasoby finansowe, by różnorodność studiów planować.

Po paruletnich wysiłkach wzmiankowane nastawienie dało w swym wyniku powstanie oraz rozwój uczelni zawodowych, jak liceum pedagogicznego i administracyjno-handlowego czy gimnazjum kupieckiego, zorganizowanie szeregu kursów praktycznych dla abiturientek, a nawet wprowadzenie przedmiotów zawodowych do szkół o charakterze ogólnokształcącym, z drugiej jednak strony utrzymanie poziomu wiedzy humanistycznej we wszystkich uczelniach, specjalnie zaś w gimnazjum ogólnokształcącym i liceum humanistycznym.

I nie tylko utrzymanie, bowiem w ostatnich miesią-

cach wobec niemożności wysyłania w tym roku na uniwersytety abiturientek i powrót z Beyrutu tutejszych uczennic dawniejszych zrodził się na terenie S.M.O. niedoszły, niestety, do skutku projekt powołania do życia wyższych studiów humanistycznych z profesorem uniwersytetu polskiego na czele i doktorami filozofii, jako wykładowcami, co dawało nadzieję na późniejsze powiązanie tych studiów z którymiś z uniwersytetów zachodnich, czyli nadanie im charakteru trwałości.

Rzecz charakterystyczna, że projekt ten wykonał się w momencie, kiedy stał się pewnością nasz wyjazd do Anglii, i przeszedł w parze z rozwojem studiów zawodowych, ze względu na ów wyjazd wybitnie wzmożonych. Tak się bowiem szczęśliwie złożyło (zresztą, wskutek od razu wziętej dwukierunkowości inaczej złożyć się nie mogło), że co miało być i będzie pożyteczne w momencie powrotu do kraju, oddanie ocenione usługi również na wygnaniu. Znajomość bowiem pracy zarobkowej pozwoli młodzieży naszej w okresie wygnanym nie oglądać się na pomoc innych, nie zebrać ni zabiegać o nią, lecz z podniesionym czołem i słuszną dumą w oku zarabiać na swe utrzymanie, studia zaś humanistyczne, w szczególności filozoficzne nie dopuszczą do zatracenia polskiego ducha w środowiskach obcych, a raczej poprzez kontakty z obcymi doprowadzą do jego wzbogacenia oraz pogłębienia.

Już na kilka lat przed wojną na terenie kraju dawały się słyszeć głosy domagające się zmian i w zakresie szkolnictwa i w zakresie rozwoju kultury ogólnej. W szkolnictwie domagano się uprzątnięcia studiów, wraz z tym pomnożenia liczby uczelni zawodowych. Brak środków stał częściowo na przeszkodzie pełnej realizacji tego postulatu, lecz pierwsze kroki zostały już zrobione. Dokonano też pierwszego kroku w zakresie rozwoju kultury ogólnej przez rozluźnienie związków kulturalnych z długowiecznym pod tym względem sprzymierzeńcem naszym Francją, a to wobec zbyt silnego przepojenia się Francji wschodem. Kontakty jednak z kulturą anglosaską, skutkiem przede wszystkim słabej u nas znajomości języka angielskiego, były stanowczo zbyt szczupłe, choć pokrewieństwo Dickensa i Prusa, łatwość zaklimatyzowania się w Anglii Polaka Conrada Korzeniowskiego, dawne tradycje z epoki Łaskich i Komenskich, historyczne pokrewieństwo ustrojów i wiele innych zjawisk wskazywało na możliwość pożytecznych duchowych kontaktów. Czego w epoce wolnej Polski nie dało się dokonać, to - w dużym stopniu - zbiegiem okoliczności - dokonuje się w obecnej chwili. Obecnie w szczególności

przygotowywanie się nasze na wyjazd do Anglii, stąd pogadanki i wykłady angloznawcze i wzmożone zainteresowanie się tym krajem ze strony naszej młodości rokuje więcej niż nadzieje na to, że dla rozwoju kultury polskiej w kontakcie z angielską rozpoczynają się czasy dogodne.

Młódzież docenia bowiem powagę sytuacji i potrzebę dni dzisiejszych pojmując w sposób dostateczny. Zapach, w jakim ostatnio uczennice liceum humanistycznego zabrały się do nadprogramowego przedmiotu - krawiectwa, świadczy o rozumieniu przez nie znaczenia pracy zarobkowej. Ruch biblioteczny dowodzi z drugiej strony pędu do książki, czyli zrozumienia konieczności przechowania w stanie niezniszczonym kultury polskiej, niszczonej dziś w kraju bezlitośniej i gruntowniej nawet, niż za dni niemieckiej okupacji. Zasadnicze różnice między dojrzałym a wchodzącym w życie pokoleniem leżą bynajmniej nie w zakresie celów albo zadań, lecz na płaszczyźnie uczuciowej do zadań tych podejścia. Czując w sobie pełnię sił życiowych młódzież daleka jest od roztkliwiania się nad własnym czy nad kraju losem, od apoteozowania bohaterkich wysiłków jednostek i całego społeczeństwa, od otaczania się nimbem męczeństwa i ofiary. Ta sama twarz, która zaleje się łzami na widok przejechanego przez samochód psiaka czy rozłączonej przez bezlitosny los kochającej się pary na ekranie w kinie, kamienny spokój potrafi zachować, kiedy się mówi o Monte Cassino czy o powstaniu warszawskim. Czas mają, bo są młodzi, zwycięstwa są pewni, wszelkie ofiary dla osiągnięcia celu są dla nich tylko prostym obowiązkiem.

Kiedy w lutym numerze (Nr.3) zeszłorocznego Junaka, w zakończeniu noweli o ostatnim emisariuszu wielkiej emigracji, rozstrzelanym w Wilnie przez Rosjan Szymonie Konarskim, pisano: " Nie przewidzieć wydarzeń przyszłości. Wierzmy: wojna skończy się triumfem prawdy. Ale jeżeki..? I kto z was nie potrafi, kto z was nie zechce wówczas w pracę nad przyszłością włożyć tyle zapachu, co Szymon Konarski?", wywołało to ostre i pisemne i ustne sprzeciwy ze strony starszych, bowiem uważano zdanie powyższe za jakieś złowieszcze krakanie, za sianie pesymizmu i depresji, za osłabienie energii i wytrzymałości. Przyszłość dowiodła jako prawdziwości osądu zbliżających się ku nam wypadków, młódzież zaś nasza nie tylko w przyszłości potrafi owym Szymonom Konarskim dorównać, lecz już i dziś zdaje się być na takie ewentualności dość przygotowana.

I nie znaczy to wcale, byśmy się mieli znaleźć w gronie samych tylko ponurych Roz Wened, przekonanych, iż "nie czas żałować rób, gdy płoną lasy". Jużemy przytaczali dowody, że tak nie jest. Siłą młodziety i fundamentem nadziei na jej wytrwanie, nie jest bynajmniej jej majestatyczność czy posągowość, lecz jej pogoda ducha, szukanie w każdej sytuacji odwrotnej, lepszej więc strony medalu.

I znów przykładem może być tenże sam numer Junaka. Notatka bowiem w nim, wzmiankująca o tym, że "już ponad 1000 lat istnieje Polska, a jeszcze żadne z pokoleń nie dostąpiło, jak nasze, możliwości odbycia tak rozległych i choć może przykrych, uciążliwych, lecz ciekawych podróży, co stało się źródłem poważnych i ostrych zarzutów starszego społeczeństwa o bagatelizowaniu przez redakcję cierpień narodowych i krzywd doznanych, o wypaczaniu postawy ideowej młodziety i deprawacji ich charakterów, a w zdaniu, stanowiącym wpatwienie się w przyszłość i brzmiącym, iż "kiedy dojdziecie do tak sędziwych lat, że włos siwy obielei wam głowy, skronie pokryje wam sieć gęstych zmarszczek, a grzbiety się pochyką pod brzemieniem wieku, kiedy będziecie babkami i dziadkami, dla nowego pokolenia w Polsce staniecie się wówczas źródłem szeregu miłych i pamiętnych wrażeń", - nie dopatrzono się również ani cienia nawet optymizmu, a tylko naigrawanie się z tragedii narodowej.

Tymczasem młodzieta nasza rwie się np. dziś do Anglii. Czy znaczy to, że w stosunku do kraju stała się już obojętna? Nie, tylko widząc bezowocność tymczasową marzeń o takim powrocie, w złem szuka dobrej strony i z przymusowego wygnania swojego chce jak najwięcej skorzystać.

Główną różnicę między dawnym a nowym pokoleniem polskim Józef Piłsudski podpatrzył już przed laty, gdy w znanym swym przemówieniu radiowym mówił, o witanii przez jego współczesność odrodzonej Polski grymasem śledzienników i przestrzegał przed niweczeniem beztrąskiego śmiechu dziecięcego.

Kierownictwo i młodzieta S.M.O. idą w zwartym rytmie, drogą w nieznaną, ku znanemu i ściśle określone-
mu celowi, z kultem pracy fizycznej i ideałów ducha, z zamiarem nie tylko dojścia, ale i doniesienia nowych zasobów wiedzy technicznej i wzbogaconej przez kontakty z obcymi kultury. Skąd ta zgodność współpracy, to zrozumienie wzajemne, ta dalekość od wszelkich narzucania i przymusu? Odpowiedź tkwi w tytule dzisiejszej Jednodniówki,

we wzięciu przez kierownictwo za fundament porozumienia się z młodymi znanego hasła gen. Andersa: "uśmiech - to energia, energia - to czyn".
Ku znanym celom, choć drogą w nieznane, idzie się tutaj z uśmiechem, więc dojdzie, bo przecie tylko "smutek to bezczynność" (Kasprowicz).

Dr. Walerian Kwiatkowski.

Dlaczego wybrałam liceum pedagogiczne a nie inne

W życiu młodzieży S.M.C. są chwile poważne, czasem nawet dla niej przełomowe i będące zarazem sprawdzianem osiągniętego przez nią stopnia dojrzałości duchowej, jej zdolności samodzielnego myślenia i umiejętności decydowania o sobie. Mam tu na myśli sytuację, w których młodzież musi powziąć po głębszej rozwadze decyzje mające doniosły wpływ na przyszłe jej życie i stanowisko w społeczeństwie. Sytuacja takie przeżywa prawdopodobnie większość młodzieży klas czwartych gimnazjalnych, gdy po ukończeniu gimnazjum, a niekiedy jeszcze wcześniej, musi znaleźć odpowiedź na pytanie - co dalej - dokąd pójść - jaki kierunek kształcenia obrać? Oczywiście w tak ważnej potrzebie będąc, młodzież nie jest pozostawiona swemu losowi. Przeciwnie - korzysta w tym względzie z pomocy swych przełożonych i wychowawców, z rad i wskazówek rodziców, koleżanek i tp., - nie mniej jednak musi o wyborze szkoły zdecydować sama.

Aby wybór był świadomym aktem woli uczennicy, nie zaś skutkiem gry impulsów, winna uczennica obliczyć się z własnymi siłami, ocenić dotychczasowe wyniki pracy, wziąć pod uwagę swoje zdolności i kierunek zainteresowań, usposobienie i charakter, potrafić jasno zdać sobie sprawę ze swych rzeczywistych chęci i dążeń, skłonności i upodobań, wiedzieć, jakie rysy charakterystyczne dla danego rodzaju pracy musi posiadać jednostka, i jakie szczególnie obowiązkami nakłada na nią dany typ pracy. Znajomość tych specyficznych cech i obowiązków odgrywa ważną rolę w akcie wyboru. Biorąc je w rachubę uczennica bardziej trzeźwo i krytycznie ocenia wtedy swe zamiary, potrafi lepiej dążeń swojodostosować do swych sił.

i dzięki temu zabezpieczyć siebie od przykrych następstw, wynikających z powzięcia zbyt pośpiesznej i nieprzemysłanej decyzji.

Decyzja rozważnie powzięta w tak doniosłej sprawie, jaką jest wybór zawodu, posiada dużą wartość wychowawczą dla uczennicy: daje jej odczucie aktywności i wysiłku wewnętrznego, wykazuje konieczność i znaczenie walki z sobą, daje jasne wyobrażenie celu i środków działania, wzmacnia samopoczucie moralne i energię woli, podnosi poczucie odpowiedzialności osobistej za własną decyzję i zobowiązania z niej wypływające, potęguje wiarę we własne siły i zaufanie do siebie, wzmacnia odwagę pokonywania przewidywanych trudności i wolę wytrwania na raz obranej drodze, ułatwia poznanie samej siebie.

Z ukończoną klasą czwartą gimnazjalną zgłosiło się do liceum pedagogicznego: na początku r.szk.1944/45 - 28 kandydatek, zaś w r.szk.1945/46 - 20 kandydatek, co stanowi - w pierwszym wypadku 30% ogółu t.j.w. małych matur, w drugim - 22%. Wszystkie te kandydatki są obecnie uczennicami liceum pedagogicznego.

Jakimi motywami kierowały się uczennice w wyborze dalszego kierunku kształcenia? Dlaczego wybrały liceum pedagogiczne a nie inne? Odpowiedź na to pytanie daje nam analiza ich własnych na ten temat wypowiedzi. Należy tu podkreślić, że propozycje wypowiedzenia się przyjęły chętnie i że wypowiedziały się szczerze i otwarcie. Fakt ten nie jest bez znaczenia, jeśli chodzi o wartość wniosków, które z zebranego materiału dadzą się wyprowadzić.

- Pobieżny przegląd prac nasuwa następujące wnioski:
- warunki szkolne z góry już ograniczały możliwości wyboru w wypadkach, gdy droga do liceum humanistycznego nie mogła być z tych czy innych względów brana pod uwagę, uczennica miała do wyboru jedną z dwu alternatyw: pójść do lic.adm.-handlowego, albo do liceum pedagogicznego.
 - wybór lic.pedagogicznego dla pewnej grupy uczennic był niejako już z góry przesądzony,
 - wybór był następstwem poważnego namysłu uczennicy,
 - o wyborze Szkoły zdecydował mniej lub więcej szczęśliwy przypadek,
 - nie zawsze wybór lic.pedagog. przesądzał tym samym o wyborze zawodu nauczycielskiego.

Śród licealistek wyodrębnia się dość liczna grupa dziewcząt (ok.45%), która nie miała żadnego kłopotu z wyborem liceum. Uważały one siebie za predystynowane

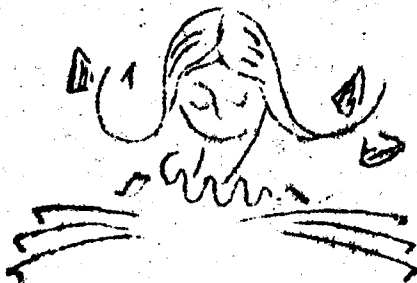
do zawodu nauczycielskiego i dlatego wybór liceum był tylko naturalną i logiczną tego faktu konsekwencją. Ilały już od dawna wytyczną drogę, zdążyły prosto do celu, obce im były stany rozterki duchowej, nie przeżywały charakterystycznego dla innych dziewcząt momentu wahania. Mimo to nie można powiedzieć, aby dążenia ich były pozbawione refleksji. Podkreślają często, że zdają sobie dobrze sprawę z oczekujących je trudności, wiedzą, że praca nauczycielska jest "ciężka, odpowiedzialna i w oczach wielu niewdzięczna", ale to je ani nie zniechęca, ani nie przeraża. W wyborze zawodu kierowały się zamiłowaniem i powołaniem. Utworzenie lic. pedagog. było dla tych uczennic radosną niespodzianką, mogły bowiem "zrealizować" swoje dążenia z lat jeszcze dziecińczych".

Do lat tych powraca myślą większość uczennic - i nic w tym dziwnego. We wspomnieniach znajduje potwierdzenie słusność obranej drogi, widzi jasno i umacnia się w przekonaniu, że "nawet zmienne koleje życia - ciężkie warunki materialne - wysiedlenie - walka o zdobycie kawałka chleba - świadomość niewoli" mogą przytłumić na pewien czas, ale nie potrafią "zabić tego, co się chowa głęboko w sercu - nie zdradzi pragnień i marzeń lat poprzednich".

Przytaczam charakterystyczne dla dziewcząt tej grupy niektóre ich wypowiedzenia: - zamiłowanie do zawodu nauczycielskiego tkwiło już od dawna w mojej duszy i dlatego b. się ucieszyłam, gdy zostało utworzone liceum pedagog. - lubię dzieci i dlatego to wśród nich chciałabym pracować - jeszcze będąc w kl. piątej szk. powsz. z zadością patrzyłam na nauczycielkę i marzyłam o tym tylko, aby nią kiedyś zostać, - z przyjemnością przyglądałam się pracy nauczycielskiej i gdy byłam w niższych klasach postanowiłam bez wahania zostać nauczycielką - stwierdziłam, że późniejsze zainteresowania i zamiłowania jednostki oparte są na pewnych upodobaniach wieku dziecięcego; gdy cofnę się myślą do pierwszych zabaw dziecięcych przypomina mi się b. wyraźnie że najulubieńszą moją rozrywką była zabawa w szkołę - chętnie brałam udział w zabawach, w których występowali uczniowie i nauczyciel; będąc starszą porzuciłam tę zabawę, ale zapragnęłam być prawdziwą nauczycielką i nieraz siedząc na lekcji nie myślałam o toczącej się lekcji, ale wyobrażałam sobie już jako nauczycielkę taką, jaką ta oto przede mną - marzenia o sobie jako nauczycielce chowałam głęboko w sercu i nikomu z nich się nie zwierzałam - w Rosji myślałam tylko, aby utrzymać się przy życiu; dopiero tu w Palestynie,

gdy zdawałam egzamin do gimnazjum odżyła myśl dawna we mnie, że przecież będę mogła pójść do lic. pedagog.; na pytanie - jakie wybieram? - odpowiedziałam: nie inne, tylko pedagogiczne". A oto słowa tych z P.W.S.K., dla których "zaświtała nadzieja powrotu do Szkoły": "Nie zwlekam, składam podanie za podaniem, jadę do liceum, o którym marzyłam od lat dziecięcych, lat najmłodszych; radość moja nie ma granic, bo wierzę, że muszę zdać, że muszę zostać uczennicą lic. pedagog., muszę dobić do celu pomimo złośliwego losu, który b. często krzyżuje mi plany". - "Wiadomość, że zostałam przyjęta do lic. ped. zrobiła na mnie niesłychane wrażenie; była to ważna chwila w moim życiu, bo pomimo przeszkód wszystko poszło po mej myśli, długoletnie dążenie tkwiące, początkowo w podświadomości, a później całkiem świadome, poczęło się realizować!"

Do tej grupy dziewcząt należy też zaliczyć kilka takich, które w pewnych znanych im dobrze postaciach nauczycielek, znalazły dla siebie wzór godny naśladowania i za nim pragną iść! Rozpisują się szeroko o tym, jakie wartości etyczne i społeczne widzą i cenią w tych kobietach i jakie same w przyszłości chciałyby urzeczywistnić. Ideałem jednej jest "pani Wanda", drugiej - "pani Krystyna". Obie kobiety, jak wynika z opisu, to typ nauczycielek cichych, dobrych, rozumnych, wytrwałych, pracujących z całkowitym samozaparciem się, gdzieś w zapadłych wioskach kresowych, oddanych szkole i wsi, zdolnych do poświęceń, - nauczycielek, które w uszlachetnieniu duszy dziecka widziały najwyższy cel swojego życia. U innej znów uczennicy obudziło się dotąd skryte leżące gdzieś głęboko w sercu dążenie do "poświęceń" "Siłaczki", która jest jej ideałem kobiety - bohaterki społecznej i dlatego postanowiła zostać nauczycielką szk. powszechnej na Kresach. "Kocham dzieci - oświadczam - i wiem, że potrafiłabym z powodzeniem sprostać zadaniu".



Następną z kolei grupę (ok. 47%) stanowią dziewczęta, których decyzja wyboru Szkoły była rezultatem namysłu, nierzadko długiej i ciężkiej walki wewnętrznej, ścierania się sprzecznych tendencji, poglądów, uczuć i pragnień. Potwierdzają to wypowiedzenia uczennic, przy czym podkreślić należy, że młodzież zdaje sobie sprawę z tego, że wyboru lekceważyć nie wolno, że to nie drobnostka, ale rzecz poważna.

"Wybór zawodu jest ważną chwilą w życiu". - "Wybierając zawód każdy musi przedtem głęboko zastanowić się, aby później zawód który sobie obrał, nie był dla niego ciężarem". "Często zastanawiałam się nad słyszczanymi opiniami o różnych zawodach; analizowałam zadania, cele, korzyści, brałam pod uwagę różne możliwości, porównywałam jeden zawód z drugim". - "Wybór nie jest rzeczą łatwą, szczególnie wtedy, gdy zaczyna działać tysiące różnych względów i polepszeń pro i contra danemu zawodowi i w końcu po długiej walce, któryś z nich zwycięża". - "Przez cały rok nie mogłam zdecydować się, zawsze odnajdywałam stale jakieś niedociągnięcia".

Stosunkowo łagodnym z jednym wyjątkiem, miała przebieg walka, gdy chodziło o rozstrzygnięcie: liceum humanistyczne czy inne? Uczennice przeważnie nie ubiegały się o przyjęcie do lic. humanistycznego. Były tego różne powody, a przede wszystkim ten, że odpowiadał im raczej typ szkoły zawodowej.

Swoje negatywne stanowisko wobec lic. humanistycznego motywują tak: "Lic. hum., jako nie kształcące w żadnym zawodzie, od razu przekreśliłam - na dalsze studia nie mogłam liczyć - chodziło mi o to, abym wychodząc ze szkoły miała, jak to się mówi, jakiś fach w ręku, abym mogła sama sobie dać w życiu radę, by w przyszłości móc ewentualnie pracować nie tylko na siebie, ale i na mamusię i siostrę - do lic. hum. nie miałam zamiaru pójść, bo ono nic mnie nie dawało oprócz matury, a ja na życie zapatrywałam się bardziej realnie i dlatego oprócz matury chciałam mieć coś więcej - l. hum. nie pociągało mnie, a zwłaszcza łacina, z którą postanowiłam skończyć razem z końcem IV. kl."

Wynikałoby z powyższego, że chęć zdobycia zawodu, i dążenie do rychłego usamodzielnienia się były głównymi pobudkami wyboru jednego z dwóch liceów: admin.-handlowego względnie pedagogicznego. Dokładniejsza analiza treści motywów wykazuje, iż młodzież chodziło nie tylko o zdobycie zawodu.

Lic. adm.-handlowe, podobnie jak humanistyczne -

- wielu uczniom nie odpowiadało". Niektóre mówią wprost: "zawodu kupieckiego nie lubię i nie odpowiada mi - nie lubię mieć do czynienia z takim handlem - nie mam do tego zawodu przekonania - nie zawsze i nie każdy kupiec kieruje się prawdą i sprawiedliwością, a b. często chęcią zysku i własnymi interesami". Ciekawy był przebieg procesu psychologicznego u jednej z uczennic, która znalazła się wobec konieczności powzięcia ostatecznej decyzji. "Zawahałam się wtedy, radząc się wielu ludzi. (Trzymywałam różne odpowiedzi i rady i zawsze lic.-adm.-handl. miało najwięcej zalet. Nie mogłam w żaden sposób zdecydować się się, raczej skłaniałam się ku l.admin. Wreszcie wybrałam administr. Gdy przyszło do ostatecznej decyzji, stwierdziłam, że postanowienie, które powzięłam, uczyniłam wbrew mojej woli, i że należy to postanowienie zmienić. Tak też uczyniłam". Inne uczennice w podobnej sytuacji będąc, powiedziały: że poszły za głosem serca, że "wyciężyło uczucie". Są, i takie, które pojdą za głosem rozsądku".

Ten konflikt między rozsądkiem a sercem wystąpił u niektórych uczennic w dość ostrej formie. Większość jednakże uczennic w wyborze liceum pedagog. poszła raczej "za głosem serca", nie lekceważąc przy tym racji dyktowanych przez rozsądek, czego dowodem u pewnych uczennic dążenie do pogodzenia nakazów serca z wyganianiami rozsądku. Wydaje mi się, że znajomość elementów konfliktu i jego przebiegu są interesujące i pouczające dla tego, kto chciałby wnikać głębiej w dtsze przeżycia tej młodzieży i lepiej poznać jej psychikę.

Przytoczę wyniki z wypracowania licealistki, która konflikt taki w całej jego pełni i dynamice przeżyła. Charakterystycznym rysem jej przeżycia jest dążenie do pogodzenia za wszelką cenę woli własnej z wolą ojca, którego zdanie i rada były dla niej wyrocznią i który chciałby widzieć swoją córkę w lic.humanist., a potem na wydziale filozoficznym. Wprawdzie o ojcu nie wie, co się z nim stało po wywiezieniu do Rosji, ale gdyby go znalazła, nie postąpiłaby w żadnym wypadku wbrew jego woli. Z tą myślą zresztą żyła już w domu, że ukończy lic.humanist. Z drugiej znowu strony przyznaje, że języków obcych nie znosi i nie ma do nich specjalnych zdolności, a "zainteresowanie ogromne budzą właśnie przedmioty pedagogiczne". "Jak tam (do l.hum.) ist, kiedy lic.pedagog. odpowiada mi pod tyłoma względami? Przecież rauczycielką, chociaż nie myślałam o tym realnie, chciałybym być od najmłodszych lat, praca zaś wérba dzieci i w

szkole najbardziej mnie pociąga, jako zawód, nie mogę nawet wyobrazić sobie w przyszłości inaczey w innym zawodzie jak nauczycielki. Wiem dobrze, ile trudności piętrzy się na tej drodze i jak ciężka jest ta praca, ale zdając sobie doskonale sprawę z tego, że piękne zadanie nauczyciela, cel nauczania i pomysłne wyniki w pracy nie tylko trud ten nagradzają, ale dają pełne zadowolenie wewnętrzne i zachęcają do dalszych starań i wysiłków - czuję, że mnie to właśnie odpowiada. Mówi się, że praca ta nie daje żadnych korzyści materialnych. Ale czyż mnie to potrzebne? Wziąłem i to pod uwagę, ale przecież szczęścia mi nie da dobrobyt wielki czy bogactwo. Materialistką nie jestem do tego stopnia, aby pod kątem widzenia przyszłego pożytku wybierać sobie zawód. Chodzi mi raczej o to, bym pracowała z przyjemnością i chęcią, z poczuciem wewnętrznego zadowolenia, jakie daje ci praca bliska, praca, którą lubisz i cenisz, jaka cię interesuje i pochłania. Chodzi mi o ideę, która by mojej pracy przyswiecała, z której czerpałabym siły, która by dodawała bodźców do ciągłego, aktywnego działania, wyrabiała zdolność do ofiar i poświęceń, która byłaby źródłem ciągłej radości życia. To wszystko widzę w mojej przyszłej pracy nauczycielskiej, ale niezależnie od tego zwróciłem się do trzech znanych mi osób z prośbą o radę. Pomoc okazana mi ze strony dwóch osób nie wiele mi pomogła (właściwie nie chciały brać odpowiedzialności mego wyboru na swoje barki) trzecia - matka (w Rosji) radziła lic.humanist., w najgorszym wypadku administracyjne, ale w żadnym wypadku pedagogiczne. Po otrzymaniu takiej rady byłam zrozpaczona. Wprawdzie przeważnie chodziłam swoimi drogami, ale w tym wypadku jakoś dziwnie nie wiedziałam co robić i byłam niezdecydowana, co mi naprawdę rzadko się zdarzało. I jak: lic.humanist. czy pedagogiczne? - oto problem trudny do rozwiązania niczym węzeł gordyjski".

Z tej ciężkiej i poniekąd tragicznej sytuacji znalazła jednak wyjście. Dowiedziawszy się, że ukończenie lic.pedagog. nie zamyka drogi na wyższe studia i upewniwszy się co do tego już nie zastanawiała się dłużej, ale poszła " za g ł o s e m s e r c a ". " I tak oto jestem w lic.pedagogicznym, z czego jestem niezmiernie zadowolona, tym bardziej, że i matka mnie w zupełności zrozumiała i chociaż poszłam do lic.pedagog. mimo jej woli i planów jej całkowite do mnie zaufanie na jotę się nie zmniejszyło". Przytoczone fragmenty wypowiedzi stanowią piękny obrazek refleksji dziewczęcej, w której przebija samodzielna, rozważna i trafna myśl uczennicy, z pełną świadomością

cia obierającej zawód nauczycielki.

Były też uczennice, które w wyborze liceum pedagogicznego za głosy rozstrząsały. Oto wypowiedzenie jednej z nich: "Pracowałam już samodzielnie. Byłam wtedy wychowawczynią internatu. Praca dawała mi ogromne zadowolenie. Zdawało mi się wprost, że właśnie tylko praca człowieka nad człowiekiem dać może prawdziwą radość i zadowolenie. Chciałam iść naprzód, aby do tego, co już miałam (skończyła w Polsce lic.hum.), dobudować coś nowego. Było więc to coś w rodzaju samoobrony przed niewiedzą. Wybrałam ten typ szkoły. Da mi wiele nowych wiadomości, podsunie zagadnienia, nad którymi dotąd nie zastanawiałam się, da rozwiązanie wielu problemów, które stawały przede mną wtedy, gdy intuicją musiałam nadrobić braki wykształcenia pedagogicznego w pracy wychowawczej. Jeśli nawet nie będę pracować jako nauczycielka, zrozumieć dobrze, zrozumieć lepiej, jak dzieci wychowywać należy".

Inne dziewczęta widzą w zawodzie nauczycielskim "szerokie pole do działania", "albo pociąga ich chęć pracy wśród młodzieży", "chęć opiekania się dziećmi", "chęć pracy w środowisku takim, jak kiedyś widziałam, nie zaś brak łaciny w programie", "chęć pracy na polu społecznym" itp.

Charakterystycznym dla pewnej grupy uczennic jest następujące wypowiedzenie: "Niektóre mówią, że już od kołyski pragnęły być nauczycielkami, inne dlatego, że bardzo lubią dzieci. Ja przeciwnie, wybrałam zawód nauczycielki z innych powodów, bo ani od kołyski nie miałam pociągu do tego stanu, ani też nie przepadam za dziećmi. Zastanawiałam się długo, bo, jak wiadomo, nie urodziła się ze mnie gotowa nauczycielka". Jako powody wybrania liceum podaje: "odpadała łacina - ciekawiły nowe przedmioty i nowi profesorowie - pociągały hospitacje i lekcje praktyczne - kierowałam się zdaniem siostry - obawiałam się, że mogę być ścięta przy ewent. konkursowym egzaminie do lic.adm. - chęć pójścia za przykładem rodziców, cioci i babci, którzy pracowali w zawodzie nauczycielskim - chęć udzielenia pomocy materialnej - bo nie miałam co z sobą zrobić - że gdy ostatecznie trzeba było zgłosić wybór samo mi się powiedziało, że lic.pedagog. - że po wojnie brak będzie nauczycieli - pragnieniem moim jest skończyć akademię Szk. Pięknych, a posiadając lic.pedagog., będę mogła w przyszłości mieć jako nauczycielka warunki kontynuowania dalszej pracy w zakresie malarskim" itp.

Do nielicznych wyjątków należą uczennice w wy-

powiedzeniach których nie można doszukać się wyraźnych motywów. W swoim rodzaju jest stanowisko uczennicy, mówiącej o sobie: "Ja nie należę do tych, którzy od dzieciństwa marzą o takim lub innym zawodzie i przez całe życie dążą do raz wytkniętego celu. Gdy zaistniały warunki zacząłem znów uczęszczać do gimnazjum bez planów na przyszłość. Prosto zadowolona byłam z tego, że mogę uczęszczać do szkoły, nie myśląc o tym czy innym liceum".

Interesującą jest kwestia, jak dziś zapatrują się na pracę nauczycielską te uczennice, które nie kierowały się w wyborze szkoły ani powołaniem, ani zamiłowaniem. Z wypowiedzi wynika, że poglądy ich uległy wyraźnej przemianie w zetknięciu się z życiem, nauką i praktyką pedagogiczną w szkole tak dalece, że nawet uczennica, która przedtem nie uważała siebie za "urodzoną nauczycielkę", która miała poważne obawy czy podoba jej lekcje praktycznym i i przyznawała, że "nie obeszło się, bez zimnego dreszczu, gdy charakteryzowano mi marsowe twarze mych przyszłych profesorów", - teraz z zadowoleniem stwierdza: "Dzisiaj jestem już doświadczoną uczennicą lic.pedagog. i jestem zdania, że ze mnie także może być nauczycielka, a czy dobra, to przyszłość okaże". A oto głosy innych: "Nie żałuję nigdy, że nie poszłam do lic. handlowego. Dzisiaj nie zamieniłabym lic.pedagog. na żadne inne". "Już w kl.I. polubiłam liceum. Mam nadzieję, że, mimo braku zamiłowania do zawodu nauczycielskiego, potrafię podjąć jego zadania. Myślę, że z biegiem czasu naprawdę polubię pracę nauczycielską". "Ze tu jestem nie czuję do siebie żalu, a - przeciwnie - jestem b. zadowolona ze wszystkiego, ciekawia i interesują mnie przedmioty pedagogiczne i jestem dumna z tego, że w przyszłości będę mogła podjąć pracę tak zaszczytną jak nauczycielska". "Trochę inaczej jest dzisiaj, gdyż po przyjsciu do liceum pokochałam je naprawdę. i teraz chciałabym być nauczycielką i tylko nauczycielką w warunkach nawet bardzo ciężkich".

Zestawiając motywy, którymi kierowały się dziewczęta w wyborze liceum pedagogicznego można stwierdzić, że zdecydowały w większości wypadkach (ok. 80%) motywy natury idealnej. Zamiłowanie i powołanie, zamiłowanie i chęć zdobycia stanowiska samodzielnego, pociąg do pracy społecznej, pragnienie nabycia wiedzy - to najczęściej podawane motywy. Jeżeli niektóre uczennice przyznawały, że chodziło im o "nabycie fachu", to, jak już poprzednio wykazano, nie należy tego rozumieć w ten sposób,

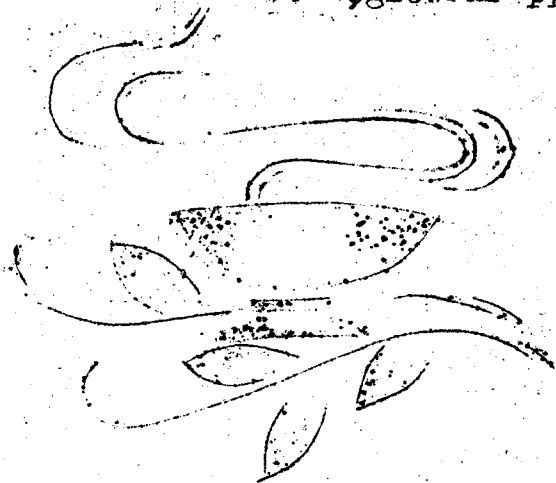
że przyszedły do liceum pedagogicznego, jako jednej ze szkół zawodowych, ale w szczególności dlatego, że typ pracy nauczycielskiej im najbardziej odpowiada i że doszły do tego przekonania w wyniku swoich rozmyślań i rozważań.

Pozostałe dziewczęta (ok. 20%) kierowały się pobudkami o cechach bądź utylitarnych, w mniejszym stopniu materialnych, bądź też poszły za przykładem rodziców względnie z powodów wyraźnie nie określonych. Motywów natury egoistycznej nie dopatrzyłem się. Pragnę jeszcze na jedno zwrócić uwagę. Wybierając zawód nauczycielki dużo dziewcząt wybrało łączyło z myślą o Kraju i jego przyszłości. Iludzień jest pełna optymizmu. Ze słów jej bije wiara w przyszłość Polski, wiara we własne siły i jest przekonana, że jeszcze przyda się Polsce.

" Pytano mnie ze zdziwieniem - jedna z dziewcząt - Mówi dlaczego wybrałaś zawód nauczycielki? Gdzie będziesz pracowała po ukończeniu szkoły? - kogo będziesz uczyć? - A czy zawsze będę na obczyźnie, czy mogę nadzieję tracić w to, że przyjdzie taki czas, że wrócę do Wolnej i Niepodległej Ojczyzny. Nasza wiara nie może się załamać i wierzymy w to mocno, że wrócimy do Kraju, wtedy mój zawód będzie potrzebny i w to mocno wierzę".

I kiedyś, mówi inna, gdy zostanę prawdziwą nauczycielką i stanę do pracy wyrzeknę się wszelkiego rodzaju przyjemności po to tylko, aby dać z siebie jak najwięcej korzyści Ojczyźnie, która tyle przecierpiała i która wolności prawdziwej jeszcze nie odzyskała .-

P. Teglewski ppor.



ŚCIANY MOWIĄ

... Gdyby ściany mogły mówić!! Tak, gdyby ściany mogły, toby dużo opowiedziały ciekawych rzeczy, bo dużo widziały i dużo słyszały .-

Ale czy ściany są tylko bierne? czy czasem same nie oddziałują na to co się w przestrzeni, którą one ograniczają dzieje ?

Czy nie wpływają na " bieg spraw " ?

.....
W czasach gdy nad S.M.O. panowała mgławica i tworczy chaos - była sobie kibitka.

Kibitka składająca się z dwóch części A i B. - Ściany były glinobitne, popękane, ze śladami bielienia, oznaki dawnej świetności.-

W szparach gnieździły się jaszczurki, pająki i skorpiony.- Kibitka nie różniła się niczym od innych, tak samo małe okienko bez futryny i szyb, tak samo dach z suchych pustynnych badyli.-

Pod każdą ścianą w kibitce A (tej na prawo) stały cztery barłogi, Była to kancelaria Komendantki Szkoły Junaków, tu się mieściło: wola, rozum i serce Szkoły.

Gdyby te nędzne ściany mogły mówić, toby opowiedziały, ile godzin we dnie, a często w nocy radziły zamieszkuje kibitkę cztery postacie. Jakie trudne rozwiązywały problemy, jak ciągle padały te same słowa: dzieci....młodzież..... ratować od śmierci od chorbb..... wychowywać..... uczyć.....

I schylały się przytłoczone ogromnym ciężarem głowy i te młode:czarna i jasnozłocista i te przyproszone siwizną. I zawsze pierwsza podnosiła się złocista, otrząsała się z chwilowego przygnębienia, już pełna energii, gotowa do walki ze złym losem o życie dzieci, już uśmiechnięta pociągająca wszystkich do współpracy, do zjednoczenia wysiłku

..... Gdyby ściany mogły mówić, toby powiedziały jak musiały się rozszerzać, aby pomieścić wszystkich, całą Kadre, na odprawę.

Jaka panowała wówczas jedność i wzajemne zaufanie. Jak, pomimo niebywale ciężkich warunków, praca wydawała się lekka, przyjemna, tak bardzo pożyteczna. I powiedziałyby o tych latach żalu płynących z jasnych oczu w upalną, duszną noc, gdy kronika notowała: "..... i znowu zmarła Junaczka....." I pomimo, że było nam bardzo źle, w kibitce A. - było nam bardzo dobrze.

.....
A potem wszystko się zmieniło. Była sobie chatka - chatka - namiot z płótna, na niej napis "Komenda Szkół Junaczek". Stała nad morzem, które choć obce, - przypominało nasze, bo jak nasze było symbolem wolności i swobody. - Fale szumiały tak, jak w dalekiej Gdyni. Chatka stała na ziemi wolnej choć cudzej i budziła w sercach szaloną radość i nadzieję, że już wkrótce już niedługo

.....
Nawet gdyby ściany mogły mówić to te okalające ogromną sypialnię w budynku N.1 w Teheranie nie byłyby w stanie cokolwiek opowiedzieć. Prosto nie wiedziały kogo słuchać z 50 osób zamieszkujących salę. Był to drugi okres życia Szkoły, okres "demokratyczny". - Zgromadzone były wszystkie warstwy społeczne, wszystkie funkcje w Szkole Junaczek. -

W prawym rogu sali, pod oknem było "mieszkanie i kancelaria" Komendantki - siennik na betonowej podłodze, walizeczka jako jedyne umeblowanie i puszysty biały Miś krblujący na kocu.

Obok taki sam "pokój" kronikarki, dalej nauczycielki, lekarza, kancelistki, kucharki, pluton roboty, a na końcu Ciapus z czerwoną wstążeczką.

W tym to okresie Komendantka utraciła władzę na rzecz... największego swego umiłowania - geografii.

Rozkaz ewakuacyjny tak brzmi:

Rozkaz 21.

Pahlevi 30.9.42.

Jutro jedziemy na "wycieczkę krajoznawczą" do Teheranu. Serdecznie współczuję wszystkim zwolennikom morza, że już muszą je opuścić.

T. Sychowska
Komendantka Szkół Junaczek.

Niepodzielnie zapanowała nad nimi geografia regionalna.

.....
Nigdy chyba ściany nie były tak wytapetowane, dobrymi myślami i serdecznymi uczuciami, jak te w Gedrze, które strojne w kwiaty pomarańczowe czekały na przyjazd Komendantki - czekały z ufnością - czy dlatego, że nie wiedziały o zdradzie, które knuły niebieskie oczy? Czy dlatego, że były pewne siły i mocy przyciągającej licznych małych serduszek? Dość, że obchodziły zwycięstwo Szkoły nad Inspektorem, zwycięstwo serca nad rozumem.

I choć później rzadko były świadkami "urzędowania" (był to okres szukania innego obozu, współpraca z nowym Dowództwem, uplasowanie Szkoły naszej w hierarchii samodzielnych jednostek) były zawsze tym domem, o którym się myślało chętnie i do którego się wracało z przyjemnością "z szerokiej drogi".

Duża gałąz mimosy pachnąca słońcem zagląda do małego pokoiku i dziwi się, że ściany mogą pomieścić tyle, tyle spraw tu załatwianych i tych służbowych i tych osobistych, i tych najbardziej tajnych zwierzeń i tych dziewczęcym głosem szeptanych "czy mogą przyjść dziś wieczorem?".

A do pokoiku wiodą cztery schodki, na nich siedzą koty czarne, szare i rude - koty syte, zadowolone, mruczą głośno. Schodki dla niejednej nie są łatwe do przebycia, czasem bardzo, bardzo trudno je przekroczyć. Istny Rubikon. A potem za progiem wszystko się jakoś układa i znów jest dobrze. Mimosza się nie domyśla, sama jasna, jak słońce, że przyjmowanie obozu, samodzielność szkoły pod względem gospodarczym, niesie ze sobą dużo kłopotów, przykrości, zmartwień, skrzętnie ukrywanych, aby niczym nie zmącić pogodnego nastroju, który panuje w szkole, aby nie zaćmić radości pracy twórczej - aby we wspomnieniach Rehovoth pozostał jako okres najmiłszej pracy, i najlepszych koleżeńskich stosunków.

.....
Trzeszcza coraz głośniej, trzeszcza zniecierpliwione ściany baraku w Quastinie - lecz nie mogą przerwać "długich nocnych rodaków rozmów".-

Już i kury pieją, a na przyzbie siedzi Dowódca Szkoły.

Junaków p/łk. Bobrowski z Komendantką i gwarzą, gwarzą...
O czym? O wszystkim. O dzieciach powierzonych ich opie-
ce o tych pozostających w Szkole i tych odchodzących na
front i o tych dalekich pozostawionych w Kraju, o Agacie
miłej i Lidce słodkiej, o żywej, wesołej Kryśce i małym,
malutkim Janeczku.

.....

Czy można siedzieć w czterech ścianach kance-
larii, gdy drzewa pieprzowe wabią swoją krasą, gdy po-
ciąga i zaciekawia świat arabski - dziwny, egzotyczny,
niezrozumiały a jednak sympatyczny?

Nad obozem przelatują polscy lotnicy z 318 Dy-
wizjonu, tak nisko, niziutko i zrzucają na małych
spadochronikach listy. - Wieczorem obóz "niebiescieje"
od ich mundurów; tak dobrze wśród swoich - radośnie.

Zjeżdża z manewrów Armia nasza, Armia, która
wkrótce wyruszy na front, - na bój o wolność.

Szeroki świat wabi i nęci...

A w sercu walka: iść... czy zostać.

.....

Grube mury nazaretńskiego klasztornego bu-
dynku nie są bierne. O nie! One odrazu powagą swoją,
majestatem zmieniły skromne dotychczas kancelarie na
"gabinet Komendantki S.M.O."

One domagały się adiutantki; one ustaliły godziny przy-
jęć; one nadały cechę ministerstwa z całym szeregiem
podległych sekretariatów stanu; Bo Szkoły duże, zasobne,
rozsiadłe w gmachach pięknych, wymagają godnej reprezen-
tacji.

Gdy po długim oczekiwaniu otworzą się drzwi
i ściany gabinetu Komendantki gościnnie przyjmą do swe-
go wnętrza - gdy czas, który tak się dłużył i ciągnął
jak guma do żucia, zaczyna naraz pędzić jak koń wysci-
gowy, wtedy z pomocą interesantowi przychodzi zdobięce
pokój "Pieta", "Nike" i "Mysł".

Z rzeźby Rodin'a ulata Mysł wolna i niezależna, szeroka
jak przestrzeń, lotna jak błysk. Subtelna, kobieca, de-
likatna. Mysł niematerialna a uchwytna, realna, która
"jest".

Mysł, która decyduje jako pierwsza - najlepsza, lub ja-
ko ostatnia - najbardziej ważka.

Nike pełna siły, rozmachu, czynu napawa wiarą - w zwycięstwo - zwycięstwo słusznej sprawy.

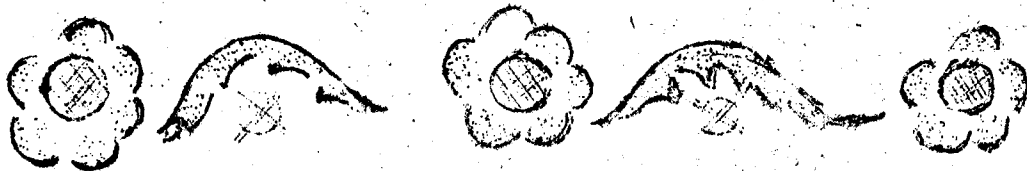
Nad biurkiem piękna reprodukcja Piety - symbolu miłości i uczucia aż do najgłębszego odczucia: cierpienia. Pieta o wyrazie twarzy tak bardzo bolesnym i tak pełnym miłości zaręcza, że tu kręluje serce.

Na biurku " pod ręką " leży młotek- taki sobie zwykły młotek, wykonany w Junackiej Szkole Mechanicznej. Jest to dar Dowódcy Szkół płk. Ryzińskiego, ofiarowany Komendantce, aby sobie wybiła z głowy niemożliwe projekty. Komendantka - jak to kobieta - dar przyjęła, ale " sens " zmieniła. Nie jej, lecz ona innym chce wybijać owym młotkiem niefortunne pomysły.

Z nad kałamarza wychyla się ptak Ba o rozpostartych skrzydłach, dzierżący w szponach symbol wieczności. Staroegipski Ba - symbol duszy skłania do szukania we wszystkim duszy czyli głębi, sensu nie zaś zewnętrznej formy.

Portret Wandy Malczewskiej - patronki Szkoły - zdobi jedną ze ścian. Jej skupione, rozmodlone oczy są zamknięte, niewidzące a czuwające. Jakże często pomaga wprzstrzyganiu zawiłych spraw, jak często z Jej twarzy uduchowionej spływa natchnienie i siła i zdolność wytrwania i łaska dobrej decyzji. Ona czuje się tu Panią, bo Szkoła do Niej należy, Jej została oddana w opiekę. Ona czuwa we dnie i w nocy, broni od złej przygody i prosi Boga by błogosławił tym którzy pracują i tym którzy się uczą i tym wszystkim, którzy zostali w Kraju.

M a r i a K o ś c i a ł k o w s k a .





O przyjacielskich stosunkach zawartych przez SMO z ludnością arabską świadczy poniższy utwór napisany w czasie Festynu w Tygwiz-dowie, który był pożegnaniem SMO z mieszkańcami Nazaretu.

Dear Madame,

Following my promise to you in the Garden-Fete I give here the Poem made by me on Poland.

ON POLAND.

Daughters of Poland, Daughters of the West,
Poland is great, Poland is the best,
A Country of Heroes, a Country of grief,
A symbol of liberty, of Christian belief.

You came to us, you came as guests,
Our sympathy with you it always rests,
Nazareth will be, Nazareth will stay,
A home for you, a home to pray.

We have been friends in body in soul,
Until you go and to Poland you return,
We wish you to know we want you to learn,
That we liked your Nation, we liked you all.

We wish to GOD to save us all,
Your Country our Nation, to reach their goal,
To live in peace, in freedom for ever,
Poland Arabia will never die, nor never.

John L. Tannous.

Nazareth
14.10.1946.



**OBECNE MIEJSCE
POSTOJU**

Na sklepach w Nazarecie widnieją polskie napisy

Polska „Parada“ i gazety.



S.M.O. w Nazarecie podczas święta szkoły 20.V.1944.

WYWIÓD Anglików

Chcąc dać pełny obraz działalności Komendantki S.M.O. i dodać do niego świeżych barw, specjalnie obecnie, w chwili spodziewanego przeniesienia do Anglii, pominąć nie można Jej działalności, na polu poznania i opanowania jęz. ang. oraz stosunków z Anglikami. Jak gdyby wiedzioma przezeczciem, że los nasz na dłużej zostanie złączony z losem Anglików, Komendantka S.M.O. dokładała i dokłada starań, ażeby stworzyć jak najlepsze warunki życia dla swego oddziału wśród Anglików, przez poznanie tak ich samych, jako też ich języka i zwyczajów. Dąży do tego celu różnymi drogami, które, oprócz obowiązkowej czy dobrowolnej nauki jęz. ang. na lekcjach, uważa za celowe i skuteczne.

Wydawać by się mogło, że Komendantka S.M.O. zmuszona będąc rozkazami i planami nauczania jęz. ang. jako jednego z przedmiotów obowiązkowych, do tego się ograniczy, ażeby zadość uczynić wymaganiom służby. Nie tak się jednak sprawa przedstawia, jeśli idzie o naukę jęz. ang. Komendantka nie zadawała się tylko przepisany programem i ilością godzin nauczania, lecz stara się, aby do tych obowiązkowych lekcji dodać lekcje, które, będąc jakoby uzupełnieniem godzin obowiązkowych, dawałyby pogłębienie materiału i doświadczenia. Czyni więc starania, ażeby pozyskać osoby spoza grona nauczycielskiego, które, nieskrępowane programami szkolnymi, mogłyby uczestnikom ich lekcji dać coś więcej niż wymaga program. Udaje się uzyskać fachowe siły nauczycielskie Brytyjskiego Education Office, dzięki czemu korzystać mogą z ich uprzejmości i dobrej woli nie tylko uczennice, ale również i członkowie czy to grona nauczycielskiego, czy też kadry, i w ten sposób uzupełniać swe wiadomości. Skutki tego dają się też naocznie spostrzec w formie uzyskanych świadectw ze zdania różnego rodzaju egzaminów z jęz. ang. tak przez uczennice, jak również przez członków grona i kadry.

Troska Jej w tej dziedzinie sięga tak daleko, że stara się nie tylko o to, aby członkowie Jej oddziału uczyli się jęz. ang., ale żeby byli również w stanie nauczyć tego języka. I oto dzięki takiemu postawieniu sprawy powstaje w S.M.O. latem 1945 kurs mający na celu wykształcenie przyszłych nauczycielek jęz. ang., który osiągnę-

nał pełny sukces. Kandydatki tego kursu zdały wymagane egzaminy i stały się nauczycielkami tego języka nie tylko na terenie S.M.O., lecz również na terenie innych oddziałów odczuwających brak nauczycieli jęz. ang. W ten sposób można było dopomóc poszczególnym jednostkom do urzeczywistnienia ich zamierzeń, a oddziałom do wykonania ich zadań. Komendantka S.M.O. czuwa pieczołowicie nad tym, żeby nie tylko uczennice mogły poznać jęz. ang., lecz również i członkowie kadry. Zachęca ich przeto do korzystania z utworzonych specjalnie w tym celu kursów dla dorosłych. Ponieważ każdy początek jest trudny, więc i tutaj sprawa idzie z początku opornie, dzięki jednak wytrwałości, opiece i stanowisku Komendantki, kursy te znajdują dziś uznanie uczestników. Nie jeden z tych, którzy z początku uważali, " że to już za późno", przekonują się, że dla chcącego nie jest jednak za późno i dziwią się, że jednak potrafili się czegoś nauczyć.

Wiedząc o tym, że wzajemne poznanie się i szacunek w dużej mierze zależne są od kontaktu człowieka z człowiekiem, ustosunkowuje się ona przychylnie do wszystkich imprez, urządzanych przez społeczeństwo angielskie, czy to będą wojskowe oddziały angielskie, czy też cywilne władze, celem umożliwienia spotkania się ludzi ze sobą. Naturalnie, że najpowszechniejszą formą utrzymywania obustronnych stosunków są zabawy, szczególnie dla młodzieży, której naturalną potrzebą wyzycia się jest właśnie zabawa. Komendantka przychylnie ustosunkowuje się do zaproszeń na tego rodzaju imprezy, bacząc na to, aby uczestnicy ich odnieść mogli rzeczywiste korzyści. To też wawarłszy raz znajomość z jakimś oddziałem wojskowym - stara się ją utrzymać, zacieśnić, aby członkowie S.M.O. i danego oddziału nie spotkali się jako przygodni znajomi, którzy sobie nie mają nic do powiedzenia, lecz jako starzy znajomi, a nieraz przyjaciele, którzy mogą się szczerze podzielić swymi myślami, i uczuciami. Ponieważ w czasie spotkań takich poruszane bywają różne tematy, wiecie to nieuniknienie do poznania nie tylko danych osób wzajemnie, lecz do poznania ich Kraju, zwyczajów, języka i historii danego narodu. O tym przekonać się mogła osobiście Komendantka S.M.O. kiedy z rozmowy z pewnym Anglikiem dowiedziała się, że zna on działalność Marszałka Piłsudskiego lepiej, niż historię niejednego z własnych królów. Zapytany skąd zna dobrze osobę Wielkiego Marszałka przyznał się, że ze znajomości z uczennicami S.M.O. Widac z tego, jak wielkie znaczenie odegrać może taki osobisty kontakt,

i jak dobrymi ambasadorkami sprawy Polskiej w tej więz-
kiej dla naszego Narodu chwili mogą się okazać Polki.

Ta strona działalności nie kończy się na samych
li tylko zabawach, lecz rozciąga się również na urząda-
nie odczytów wzgl. pogadań przez Anglików dla członków
S.M.O. Korzyść z tego ta, że słuchacze nie tylko dowiada-
ją od żywego człowieka, najczęściej niedawno przybyłego
z Anglii, najświeższych wiadomości z kraju i o kraju, do
którego w najbliższej przyszłości zawędrujemy, lecz rów-
nież przyzwyczajają się do sposobu mówienia rodowitych
Anglików. Po za odczytami odbywają się pokazy filmowe,
urządzone staraniem British Institutu. Wyświetlane bywa-
ją filmy obrazujące życie narodu angielskiego czy to w
dziedzinie zdobyczy naukowych, czy też z dziedziny prze-
mysłu i rolnictwa.

Robiąc więc bilans rachunku z tej dziedziny,
stwierdzić musimy duże saldo po stronie "Credit", saldo
aktywne, wydające owoce obfite w postaci szacunku, jakim
się obecnie cieszy Komendantka S.M.O. wśród społeczeństwa
angielskiego i Jej Szkoła.

T. Kozusznik kpt.

POMNIK SMO

Przed chwilą napisałam ten tytuł, a teraz
przyglądam mu się z pewnym niepokojem. Brzmi jak gdyby
trochę patetycznie, gdy bardzo nie lubię patosu, a przy-
tem każe myśli mimo woli odpływać w przeszłość - bo
jako: pomnik - ślad minionej sprawy. Pomniki stawiają
ludziom i zdarzeniom, których wartość wyrasta nad czasem.
I tylko ludzie uciemiężeni grożą swemu światu pomnikami
żyjących władców. Zeby z cokołów rośli przypomnieniem
siły, kontroli i kary.

Ale pomniki wzniesione z miłości, głoszą triumf
nad czasem i symbolizują trwałość. Coś, co nie przemija,
czego nie rozmiecie wiatr historii, nie zetrze kurz
spraw codziennych, bardzo absorbujących wrażeń, tracąca-

nych niepokojem napięte struny losów jednostek i pokoleń. Dlatego myśląc dzisiaj o S.M.O., postanowiłem tę szkołę przenieść w przyszłość. Jak ciekawy czytelnik przerzuca parę kartek książki, by zobaczyć, jak bieżąca intryga wpłynie na dalsze losy bohaterów - tak samo przebiegam lata, strzelające w przyszłość, by z oddalenia spojrzeć na dzisiejsze sprawy i starać się ocenić ich ślad w tamtym czasie.

I z tego właśnie zamiaru urosła perspektywa, z której dojrzałem Pomnik S.M.O. i zanotowałem w tytule. Dla obecnego każdego zjawiska potrzebny jest dys-tans. Miły jest szelest zieleni na zboczach i zwawy trzepot wody w górskich potokach, ale perspektywę szczytów dostrzega się z odległości. I kiedy wartość środowiska lub cechy pokolenia przyjdzie rozważać, tam ważniejsze pamiętać, że nie splendor i radość dzisiejszego dnia, ale to, co ostoi się w przyszłości, jest znamieniem sukcesu pracy.

Gdy spoglądamy w przeszłości - miarą zasługi środowiska są obyczaje jednostek. Te właśnie, które bohaterowi, kreowanemu przez wielkiego pisarza, każą odpowiedzieć dumnie w obronie swego czynu "bo takie są moje obyczaje".

W tym właśnie tkwi ślad najgłębszy. Nie pomnik spiżowy, ani romantyczny stempel na sercu, ale trwałość i siła obyczajów - które nadają codziennemu życiu kształt szlachetny lub blały, które są siłą wewnętrzną jednostki, codzienną i mocną, właściwą każdemu człowiekowi, - ale tylko w doskonałej postaci wynoszącą go ponad stado, krępującą bezmyślność i łatwą poziomego życia.

S.M.O. to wielka gromada. Dzisiaj sprężona ze sobą, jednolita i mocna. Ale już od szeregu lat odrywają się od tej całości klasy najstarsze, żeby je życie rozmiotło po świecie. Za nimi na fali czasu szkoła odpływa, a w nich jest ślad kultury środowiska. Ślad głęboki i niezatarty - ich obyczaje Człowieka. Przez duże C.

Kiedy myślę o tych obyczajach, krystalizujących się w charakterach dziewcząt, co dorastają w gromadzie S.M.O. - wydaje mi się, że jeden jest najbardziej wyraźny. Sądzę, że to obyczaj czynu. Ktokolwiek od szeregu lat mówił mi o S.M.O., nie ominął nigdy podkreślenia, jak dziewczęta pracują. Dla tych wszystkich ludzi S.M.O. żyje czynem. Bo powstało pracą tym cenniejszą, że nie zawijaną w fatalaszkę rozgłosu, i ten obyczaj trwa. I młode szeregi rozpraszających się w świecie dziewcząt poniosą go wśród swoich obyczajów, jako znamie dumne i śmiałe.

Poniosą w mrok naszych czasów, wbrew naszym czasom,
z wiarą w jasną przyszłość.

Wbrew niebezpieczeństwom, o których inny świetny
pisarz mówi gorzko, że "im trudniejsze czasy, tem pu-
ściejsze żerują na nich słowa". I gdy patrzymy dzisiaj
w chmurne niebo, widzimy jak zły wiatr historii niesie
nad światem pstre confetti pustych słów. I jak kolorową
szarłatą znosi drogi myśli ludzkiej. Aż przed wyznawca-
mi zasad stoją ich głosiciele. I to samo mówią, barwnymi
słowami zasypują pustkę lub obłudę czynów. I z tymi sa-
mymi słowami na sztandarach wyznawcy zasad i głosiciele
zasad stoją pozornie razem, a rzeczywiście naprzeciw
siebie. Tragiczny konflikt naszych trudnych czasów.

Ale na tym tle tym mocniejszą, pozycję stanowi war-
tość jednostki. Jej wewnętrzna postawa, ukształtowana
w środowisku, które ma tradycje i obyczaje, jakie trwać
będą w jednostce.

Jeden z angielskich pisarzy wkłada w usta swego
bohatera, który za chwilę ma zginąć z rąk Niemców, śmia-
ły i wazki sąd: "wy nie wygracie tej wojny. Nigdy woj-
ny nie wygrało stado - wojnę wygrał człowiek. Bo stado
jest mocne tylko w napaści, w natarciu - gdy idzie na-
przód krwiożercze i dzikie. Ale z pierwszą porażką roz-
proszy się - i przyjdzie mu tylko już zginąć! Bo ludzie
ze stada nie umieją przegrywać, przetrwać i nieustąpić.
Przegrać i nie załamać się potrafi tylko społeczeństwo,
złożone z jednostek z których każda sama reprezentuje
społeczeństwo. I do takich narodów należy zwycięstwo
ostateczne".

Jednakże takie jednostki nie powstają same. Ani
je rzeźbi misternie skrzydlaty geniusz młodości. Tworzy
je społeczeństwo ich rozkwitających lat. Stosunek społec-
zeństwa do młodych, duch ich społecznej gromady, jest
rzeczywistym źródłem ich obyczajów na całe życie.

I kiedy minie bardzo wiele lat znechęnych czyna-
mi ludzi - nie wątpię, że łatwo będzie dojrzeć z tej od-
dali trwały ślad obyczajów jednego jasnego społeczeństwa
- Żywy Pomnik S.M.O.

Dr. Szyryński Wiktor.

Z PAMIĘTNIKA

16 czerwiec 1944.

starego nauczyciela

Dziś przyjechałem z Egiptu. Czterdzieści wieków i jeszcze ileś tam lat. Ale już stary. Przyjeżdżam z głową wyładowaną widokami żywcem wziętymi z pocztówek i z jeszcze jedną skórzaną walizką. Po drodze "widoków" bez zmiany i dużo monotonnego piasku. Nie ma nawet turystycznego podniecenia. Starość nie radość. No, nareszcie Barbara. Moja klasa. Jeszcze z tymi urwiszami człowiek się przekomarza. Ciekawe u nich wszystko: i niezdarne dojrzwowanie i niechęć do Jaciny i walka o "być" w ja-dalni i o "niebyć" na nieprzygotowanej lekcji.

A tu jak piorun z nieba - rozkaz. Przeniesiony do S.M.C. jako wykładowca. Ledwo człowiek przylgnął serdecznie do tej hałastry. Jakoś się umeblował, rozgospodarował... a tu jedź do Nazaretu. No, więc wywiad z kolegami. Jak tam w tym S.M.C. ? - Ot tak, owak - wiesz kobiety, same kobiety, no i dużo dziewcząt. Zastanowiłem się nad tym i machnąłem ręką.

30 październik.

Nauczycielska rutyna już przetarła sobie Łożysko przez Nazaret. Chodziłem w swoim życiu do gimnazjum przez śpiące ulice małego polskiego miasteczka, przez gwarne ulice Warszawy, ścieżkami polnymi w Barbarze, a teraz przez wąskie uliczki z minaretami w Nazarecie. Awantury geograficzne. Może będę jeszcze chodził do pracy przez Saharę, Antarktydę, Hyde Park. Waale się nie zdziwię ...

Nawet zdaje mi się, że właśnie S.M.C. to jest ta szkoła, którą mógłbym sobie wyobrazić na złość wszelkie rzeczywistości, 15 lat temu.

Idzie lekcja ... Mówimy o przyrodzie miejscowej, ale punkt widzenia gdzieś daleko. Poznają uczennice. Te małe, najmniejsze, co to przychodzą do klasy z kanapkami lub niedojedzoną czekoladą.

Te średnie, co to najmniej mają do powiedzenia, tym więcej krzyczą i co to są bardzo ociężałe, gdy trzeba pobiegać i ruszają się jak szalone, kiedy trzeba cicho siedzieć. Te najstarsze, które przychodzą do klasy pojedynczo, do których się mówi "pani", które się przekonywuje zaczynając od słów: w zasadzie ... lub wychodząc z założenia ...

Maj 1945r.

Troski wojenne i powojenne. Z daleka dochodzą wieści o najsmutniejszych zwycięstwach wojny. "Ludzkość ma kły hieny i głos szakala". Czuje się bardzo starym.

Jest jednak ucieczka od tego. Jedna z najfantastyczniejszych rzeczywistości. Trzeba tylko wyjść z rana na dziedzińiec S.M.O. przywitać się z młodzieżą. Trzeba wyjść koniecznie i każdej napotkanej młodej twarzy zająrzeć w oczy, usłyszeć "dzieńdobry" i odpowiedzieć na miły przyjacielski uśmiech. A będzie tego dużo, bardzo dużo.

Potem lekcje. Rzeczowe, pogodne, niezdarne często rozważania młodych rzeczoznawców. Trochę rewelacji, trochę śmiechu. Zwyczajna dialektyka lekcyjna. A jednak tu w tej małej komóreczce kultura przedziera się znów przez gąszcz dziecinnej czy młodzieńczej niewiedzy...

Od młodzieży wychodzi nauczycielstwu na spotkanie "coś ? Coś czego się często szuka u starszych bez skutku!

Może z tego pokolenia zrodzi się ... ?

Może już nie jestem taki stary ?

SZKOŁA POWSZECHNA
MŁODSZYCH OCHOTNICZEK

Nr 846

Październik 1945r.

Już drugi rok w S.M.O. Znamy się już dobrze. Nie ma między nami "muru nieufności".

Wyzyskuję tę znajomość bardzo intensywnie. Nie jesteśmy bogaci, ale robić, robić możemy wszystko. Wszystko potrafimy. Jak zechcemy to potrafimy. Jest to może na początek "Pluralis majestatis". Ale później robimy wszyscy. Komendantka S.M.O. tylko szuka pretekstu, aby pomóc, a młodzież robi. Robi wszystko. Trochę nie ma czasu, trochę się boi, ale jak zacznie to robi.

Porywamy się na różne hece.

Rysowanie, malowanie, fotografowanie, odlewanie z gipsu i t.d. Początkowo adeptka chce tak jak ja chcę, ale później już ja "chcę" tak jak ona.

Zaczyna się to tak:

Wojła Komendantka i mówi z uśmiechem "Możemy tak zrobić ...".

Ja układowie odpowiadam: "Tak możnaby ...".

Później wychodzę i myślę, że wcale nie jestem pewny, że zrobimy, bo nigdy tego nie robiłem.

Ale jest coś takiego w uśmiechu Komendantki, że
zapominam czy powiedziałem: że możnaby... czy że zrobię...
Potym, po długiej rozmowie; mam już pewność cał-
kowitą, że zrobimy....

Elementy pewne:

1) Krycha; Zdzisze; Leika; Irena; Hala i t.d.

2) Kartka od Komendantki do ... różnych funduszy.

Elementy niepewne:

Moja skleroza.

Pa trzech - czterech tygodniach "dzieła" skończone.

Może nie mam wcale sklerozy?

Październik 1946r.

Wyjeżdżamy do Anglii. Napewno. Materialne podsta-
wy Szkół Młodszych Ochotniczek ulegają upłynnieniu.

Może trochę smutno. Nie wiemy jak tam będzie.
S.M.C. na okręcie.

Fluctuat nec mergitur.

R. Jarząbek ppor.



ABSOLWENTKI SMO

EL-KANTARA

Godzina 24.00. Cały szpital pogrążony w głębokim śnie. Od czasu do czasu błyszczą posuwające się światła. To siostra dyżurna obchodzi swoje sale. Na internii dyżuruje dzisiaj Krysia, na chirurgii - Danusia.

Jak nas tutaj jednak jest dużo! Dziewczeta nasze pracują na najróżnorodniejszych placówkach. Jedne na centrali telefonicznej, inne w sklepikach, jeszcze inne w studio obozowym. Największy procent - w sanitariacie w charakterze sióstr i sanitariuszek. Spotykamy się często idąc do pracy i pozdrawiamy naszym uśmiechem z S.M.O. Nawet te dziewczynki, które w szkole znałam tylko z widzenia, są mi jakieś bliskie, jakieś swoje.

Najczęściej tematem naszych rozmów, są wspomnienia z lat szkolnych, lecz choć mało mamy czasu na towarzyskie pogawędki, przecież czujemy, że jesteśmy sobie bliskie, że mamy coś wspólnego, coś, po czym nas poznają inni.

Jeden z chorych kiedyś powiedział mi: "siostrzyczka jest "nazaretanką", a kiedy zrobiłam zdziwioną minę, dodał: - tak ... napewno, bo siostrzyczka ma "nazaretański" uśmiech.

Zastanowiłam się nad tym, czy naprawdę istnieje ten "nazaretański" uśmiech. Stwierdziłam że tak, bo przecież kiedy przyszłam do szpitala na kurs, zastraszona, nie wiedząca jak zacząć swoją pracę, to ten uśmiech koleżanek z Nazaretu dodał mi otuchy.

Dzisiaj jestem już siostrą. Na mojej sali leżą dziewczynki z S.M.O. Różnicę między nimi a innymi chorymi widzi się już po starannym posłaniu łóżka, po lalce, małpce, czy misiu siedzącym na poduszce, po porządku na szafce. To wszystko są zwyczaje nazaretańskie, od których uczennice nawet w szpitalu nie chcą odstąpić.

Pewnego razu, pamiętam była to niedziela. Na sali już o godz. 6.30 ruch i krzątanie. Zdziwiona wchodzę zobaczyć co się stało, okazuje się, że to "nazaretanki" wybierają się jak zwykle na nabożeństwo. Dziwna rzecz, że żadna z pozostałych chorych nie denerwowała się, nie żaliła, na zbyt może głośne przygotowanie, a przeciwnie, wszystkie były w dobrych humorach, jakieś rańniejsze, weselsze.

Młodsze ochotniczki wniosły ze sobą dużo uśmiechu, pogody i życia. Lecz mają one również swoje zamartwienia. Największą ich troską jest to, że tracą lekcje, tracą rok szkolny. Długo trzeba perswadować takiej małej Krysi, że jak będzie zdrowa, to wszystko nadrobi. Ona chce jechać do szkoły koniecznie.

Ale czy tylko ta Krysia, która jeszcze ma się uczyć, chce jechać do szkoły? Chyba nie. Przecież i ja jadę tam na każdy urlop. Kiedy byłam na Boże Narodzenie, to w szkole był istny zjazd absolwentek. Spotkałam prawie wszystkie swoje koleżanki, które przyjechały, aby to rodzinne święto spędzić w starych murach, w starym gronie. Dziwna rzecz, że przecież nie umawiałyśmy się na ten przyjazd, a było nas tak bardzo wiele. Witano nas wszędzie serdecznie, jak kogoś bliskiego, na kogo się czeka.

W szkole nic się nie zmieniło. Ten sam gwar, te same śmiechy, te same krzyki, takie same życie jak za "naszych czasów".

Szybko mijały dni urlopowe i trzeba było wracać do pracy.

Wiemy jednak, że za parę miesięcy znowu spotkamy się wszystkie na świętach, czy przy innej okazji w starym gronie. Czyż więc można się dziwić małej Krysi, że koniecznie chce tam jechać? Co nas ciągnie do tej szkoły? Jaki magnes działa? Czemu szkołę uważamy za nasz dom? Przecież czasem siedząc w klasie narzekaliśmy, - dziś jednak zdajemy sobie sprawę, że to czym jesteśmy, w dużej mierze zawdzięczamy szkole.

Ja osobiście znalazłam w niej najcenniejszy dar - przyjaźń.

Basia Pstrokońska
siostra Salowa

Po ukończeniu w S.M.O. kursu sióstr P.C.K., zostałam odkomenderowana na 3-miesięczną praktykę do szpitala w El-Kantarze. W czasie odbywania stage'u, trzy tygodnie przeleżałam jako chora w tymże szpitalu. Na sali panował nastrój nudy i przygnębienia. Chore zajęte były swoimi tylko dolegliwościami. Stały temat rozmów stanowiły wyłącznie choroby. Nawet rekonwalescentki snuły się z kąta w kąt, jakoś "ospale i gnuśnie".

Po trzech tygodniach wyzdrowiałam, lecz się ze salą swą nie pożegnałam, gdyż zostałam przydzielona do niej jako siostra. Po kilku dniach szpitalnej mojej pracy, przybyło kilka dziewcząt z Nazaretu i zostały przydzielone do mnie. Nie mogłam poznać swojej własnej sali. Wygląd jej i nastrój na niej nagle się zmienił, jak gdyby w jakiś czarodziejski sposób. Dziewczęta wniosły ze sobą ruch, gwar, uśmiech, młodość i zaraziły zespół chorych tymi swoimi cechami.

Ustały jęki i utyskiwania. Nie było przecie teraz na nie czasu. Zamiast dotychczasowej beznadziejnej ciszy, z sali wyrwał się niekiedy nawet hałas, ale to jakoś chorym nie przeszkadzało wcale i żadnych narzekań nie było.

Za to zaszedł nagle fakt nie do przewidzenia; starsze chore poddały się "despotyzmowi" młodych. Dziewczęta mianowicie zdecydowały, że "żeby nie zachorować, trzeba coś przecie robić" i zainicjowały warsztat trykotarski. Inicjatywę przyjęto z zapałem i nie było osoby, która by na drutach nie robiła swetra lub szalika, nie było łózka bez włóczki i drutów. Nawet lalki, które wiernie towarzyszą dziewczętom, doczekały się odświeżenia przynieszonej nieco garderoby.

Z wychowankami S.M.O. spotkałam się zresztą nie tylko na sali szpitalnej. Wśród już zweryfikowanych sióstr szpitala w El-Kantarze jest sporo absolwentek ze szkół nazaretańskich. Przyjęły one mnie, swoją dawną instruktorkę, nad wyraz serdecznie. Jako na tym terenie "starsze" i bardziej doświadczone, pomagały mi życzliwie, stawiać pierwsze kroki nowicjuszek w szpitalnym zawodzie.

Odwrócenie stosunku służbowego zdarza się w S.M.O. wcale nierzadko. Na kursach zawodowych kadra przecie zasiada na zwykłej szkolnej ławie, z drugiej znów strony uczennice nasze dorastają i siłą faktu same wchodzi następnie w skład "kadry". Przyjacielski i serdeczny stosunek między starszymi a młodszymi na tym jedynie zyskuje. Trzeba zobaczyć, jak ta "młoda kadra" dba o szybkie i dokładne pouczenie swych "pupilek", jak ma żywo w pamięci tę niedawną łączność i stara im się pomóc we wszystkim, w czym się da, przede wszystkim zaś ułatwić pracę, jak wreszcie wyjątkowo silnie się poczuwa do solidarności i współodpowiedzialności za wszystkiew ogóle "nazaretanki".

W wielkim gronie nazaretańskim, przy codziennym trybie życia to się staje rzeczą zwykłą i mniej w oczy

rzuca, na obcym gruncie jednak zarysowuje się wyraźnie i charakterystycznie, o czym właśnie miałam możliwość na sobie samej się przekonać.

Irena Müller
sierż. pchor.

ZMIANA SKÓRY

Już od dawna słyszałam, że gdzieś w "kraju pomarańcz", w słonecznej Palestynie, jest szkoła polskich dziewcząt, Szkoła "młodszych ochotniczek". Nazwa nie bardzo mi się podobała, mnie - "starszej" ochotniczce z dekadą półtora dynara, ale silniejszą okazała się potrzeba nauki. Starania o przydział rozpoczęłam drogą służbową, co nie dawało wielkich nadziei, wojsko bowiem niechętnie rezygnowało z wyszkolonych ochotniczek. Ostatecznie jednak, wojsko "wypożyczyło" mnie szkole na pół roku.

Wyjazd. Marzenie osiągnięte! Ale znów nowe zmartwienia. Okazało się, że nie łatwo rozstać się z pułkiem, z którym przetrwało się koszmarne dni Rosji i razem przeżyło szczęśliwą chwilę przekroczenia granicy. W drodze spotkałam się z innymi dziewczętami jadącymi do szkoły. Przeważnie były to dorosłe już i całkiem samodzielne panny, które rezygnowały nie z jednej belecзки, jak ja, ale z beleczek z trójkątami, ba! nawet z gwiazdek (siostry sekcyjne), - które porzucały ciężką a tyle radości dającą pracę, aby tylko dokończyć przerwana naukę.

Na razie miałyśmy w głowie tylko wspaniałe chaos. Wszystkie myślały o jednym: jak tu znowu zamienić się w skromną, pilną uczennicę, mając za sobą parę lat ciężkiej, nieraz brutalnej walki o życie, potem samodzielność w wojsku, no i to serce, jeśli nie w całości, to częściowo pozostawione gdzieś na pustyni, wśród szarych battle-dressów. To też nauka, o której pilne panny mimo wszystko starały się stale myśleć, miała często oczy niebieskie, czarne, zielonkawe, szaro-stalowe, czy piwne...

Z początku wszystko przedstawiało się niemal tragicznie. Odwykliśmy stanowczo od uczniowskiego życia, jakim żyły nasze koleżanki. Nie zdołał nas nawet pocieszyć niezwykle serdeczny stosunek przełożonych z Komentką na czele, ani "przekonywanie"... czekoladą. Pierwsze lekcje i zapowiedź egzaminu pogorszyły jeszcze sytuację. Wszystkie przedmioty stanowiły potworny rebus.

Powoli rebus zaczął się rozjaśniać, wpadliśmy na właściwy trop i uparcie brniemy dalej.

Dokonało się jakieś "odmłodzenie". Już i my, te dorosłe panny, zajmujące niedawno samodzielne stanowiska i przeżywające dramaty "złamanych serc", razem z naszymi koleżankami mówimy w kółko o lekcjach, o klasówce, klepiemy bez końca koniugacje i deklinacje. Jak i one cieszymy się, gdy upiecze się jakaś godzina, lub uda się głupi pensjonarski kawał. Marzymy o jednym - by zdać maturę i raz ... wyspać się do syta.

II. PO RAZ DRUGI.

Minęły miesiące, - minęły lata. Rozsypaliśmy się niemal po całym świecie, - różnymi poszliśmy drogami.

-Niektóre kontynuują naukę dalej na uniwersytetach bejruckich, włoskich lub angielskich; inne pracują na t.zw. funkcjach w P.W.S.K.; inne zdążyły już osiągnąć pełnię kobiecego życia jako żony i matki.

-Do tych właśnie należę ja.

-Szkoła pozostała wspomnieniem, wspomnieniem tego rodzaju, które na zawsze pozostaje miłe i żywe.

Teraz mogę już coś o tym powiedzieć, zwłaszcza, że dziwnym zbiegiem okoliczności, znalazłam się w bliskim z nią sąsiedztwie.

Faktem stwierdzonym jest, że każda rzecz nabiera mocy i wyrazu z pewnej odległości czasu. Tak też jest i w tym wypadku.

Dziś - będąc w zupełnie innej roli - inaczej też patrzę na życie.

W szkole widzę dom, którego gospodarze pracują nad tym, by stworzyć w nim możliwie miłą atmosferę, by wszystkich domowników otoczyć ciepłem i serdecznością, by miast zagubionych, osieroconych ognisk rodzinnych - stworzyć jedną, wielką rodzinę, świadomą swego celu.

Szkoła - to źródło wiedzy, z którego powinno się czerpać pełnymi garściami, bo przecież " w tym rzecz - kto więcej umie " ! Uczy żyć w społeczeństwie, wyrabia towarzyskość i solidarność, rodzi zdrowe współzawodnictwo.

A regulaminy, przepisy, obowiązujący strój ? Cały szereg krępujących " nie wolno " ? - toż to właśnie największy urok uczniowskich czasów.

Wierze mi moje młodsze koleżanki, że nie raz z prawdziwą przyjemnością weszłabym do klasy i usiadła w szkolnej ławce (zastrzegam: - tylko nie na matematyce).

Proszę mi darować, że powtarzam stare jak nasze prababcie prawdy, ale sama do nich doszłam, dyktuje jej sentyment do miejsca i ludzi, wśród których przeżyło się jeden z najmiłszych i najbardziej beztroskich okresów życia.

-Szkoda wielka, że się go w swoim czasie nie docenia. Z jakże innym zapasem opuszczałoby się szkolne progi, o ileż większą dawałoby się satysfakcję swoim przeżożonym - a przecież w pełni na to zasługują

Helena Iuro - Buda

== PO RAZ TRZECI ==

20 maj 1942 r. ... Pamiętam, jak dzisiaj. Bo czyż mogę zapomnieć dzień, w którym zrobiłam pierwszy samodzielny krok, ponosząc całkowitą odpowiedzialność nie tylko za siebie, ale i za grupę 40 dziewczynek, które miałam dowieźć z Kermine do Guzar do Szkoły Junaczek. Pamiętam ... serce waliło mi jak młotem tak, że nie słyszałam nawet sygnału odejścia pociągu, ani rytmicznego stuknięcia koła. Ocknęłam się jednak szybko. Trzeba było myśleć za 40, ba - i więcej nawet, gdyż przewoziłam nielegalnie jakieś rodziny jeszcze. Miałam wtedy dwa marzenia. Dowieźć dziewczynki zdrowo i cało do szkoły, pozostać z nimi razem, gdyż przywiązałam się do nich podczas drogi, i drugie - móc wstąpić w szeregi P.S.K. Pierwsze spełniło się szybko, pozostałam w Karkin-Batasz jako opiekunka grupy 18-tej, ale z drugim było trochę gorzej, a zdawało się kwestią coraz bardziej dla mnie palącą. Całą obsadę szkoły stanowiły ochotniczki, nas cywilnych było zaledwie kilka. Ciągle zwracanie się do mnie: "Dlaczego junaczka ..."

"Czy junaczka wie, że ..." i t.d. doprowadzały mnie do rozpaczy. Uważałam się wtedy za bardzo dorosłą, byłam przecież opiekunką grupy kilkudziesięciu junaczek i chyba tylko mundur mógłby mnie wtedy wybawić od tłumaczenia każdemu z osobna, że ja i t.d. i t.d.

Aż przyszedł upragniony dzień. Pamiętam pobiegłam aż nad rzekę, by przegładnąć się w wodzie jak wyglądam. Stwierdziłam, że wspaniale, ale jakoś wcale powagi mi ten mundur nie dodał.

Tak zaczął się mój pierwszy okres w szkole. Przyłgnęłam do niej, wrosłam w nią całkowicie. Przyłgnęłam do tego tysiąca zbiedniałych, schorowanych, opuszczonych dziewcząt, którym szkoła zastępowała dom, rodzinę... wszystko. A my może więcej byłyśmy dla nich starszymi siostrami, opiekunkami, aniżeli instruktorkami.

Okres był ciężki, epidemie szalały, co dzień ktoś odchodził, by nie wrócić nigdy, ale może to właśnie stanowiło jeszcze silniejszą więź. Tworzyliśmy jedną rodzinę. Było nam ciężko, ale było nam dobrze razem.

Aż wreszcie przyszedł okres ewakuacji z Rosji. Zmieniło się wiele. Szkoła Junaczek stała się oddziałem wojskowym, podzielonym na kompanie, plutony. Codziennie wybrzeże m. Kaspijskiego roiło się od "dziewcząt w mundurkach" (tak nas wtedy nazywano), które z piosenką żołnierską na ustach maszerowały zwartymi kolumnami, odbywały musztrę, ćwiczenia. W tym okresie byłam na funkcji ktki kompanii. Kompania liczyła ponad 200 junaczek, ale już innych, w mundurach, wesołych, roześmianych.

I znów droga, a na jej końcu cel naszej podróży - Palestyna. Zielona, cudna, pachnąca.

Nastąpiła reorganizacja Szkoły Junaczek. Zmieniono nazwę na S.M.O., podzielono na gimnazjum i szkołę powszechną i rozpoczęła się regularna nauka. Coraz więcej sprzętu, pomocy naukowych, książek - ale i coraz więcej słuchaczy. Z oddziałów P.S.K. zaczęły ściągać licznie ochotniczki odkomenderowane na naukę.

Powstał projekt utworzenia liceum humanistycznego. Zapał ogarnął i mnie.

Komendantka kompanii 2-giej stała się młodszą ochotniczką, uczennicą kl.II.lie. Pamiętam było to 5.I.1943. Z tą datą rozpoczęłam swój drugi okres w szkole.

Było nas 22 w klasie. Skąd się wzięły ? Ach zewsząd ! Były tam i siostry P.C.K. i świetliczarki i komendantki i kierownicze. Wszelkie różnice zatarły

się szybko. Żyliśmy się razem, zespoliła nas książka, wspólna praca. W szybkim czasie stanowiłyśmy jedną zwartą grupę "dziewczaków". Głupstwo, że pierwsze lekcje odbywały się "po turecku" na kocach, że nie miałyśmy dostatecznej ilości pomocy naukowych. Można było sobie poradzić, ucząc się na dwie zmiany do 2-giej i od 2-giej w nocy. Uczyłyśmy się, przygotowywałyśmy się do egzaminu dojrzałości i to było najważniejsze.

Miała to być pierwsza matura w S.M.O. Czy dlatego, czy z innych jeszcze powodów - nie wiem, byłyśmy pupilkami szkoły. Pani Bronia S. podsuwała nam zawsze dodatkowe porcje, siostra Gr. chodziła za nami ze strzykawkami, lekarstwami, a wychowawczyni nasza p.B. najchudsze co dzień pakowała do łóżka o godz. 23.00 (nic nie pomogło, za 10 minut wyskakiwały i one z łóżek i nauka szła dalej). Przez palce patrzono na nasze "odprężenie po nauce", wyrażające się w bitwach skórkami od pomarańczy, wyprawach nocnych na "Łysą Górę" i innych eskapadach, kończących się hymnem "Oj matura, raz się żyje", lub "To druga liceum, najmilszych dziewcząt tłum".

Czy tak bardzo najmilszych? Oficer służbowy miałby tu wiele do powiedzenia.

1.VIII.43. otrzymałyśmy nasze świadectwa dojrzałości. Z żalem opuszczaliśmy szkołę, żegnając się z naszymi wychowawcami. To był dla nas tak miły okres - chyba nie zapomnimy go nigdy.

Poszłam do wojska, do pracy, gdyż nie było w owym czasie możliwości dostania się na uniwersytet. Praca świetliczarska, wymagająca dużego wkładu i oddania się, pochłonięła mnie całkowicie. Gdzieś od czasu do czasu wyrastało przede mną nieziszczalne jakby zdawało się marzenie o studiach, przygłuszone obowiązkiem pracy. Trzeba było czekać.

Przeszła wojna, ucichły odgłosy walk, a przed nami młodymi otworzyły się wrota wyższych uczelni. Wyjechałam do Bejrutu z zamiarem pójścia na studia handlowe.

Znów książki, praca tym uciążliwsza, że trzeba było pokonać trudności językowe. Wszłam w tryb życia studenckiego, w grono młodych, pełnych zapału i ideałów ludzi, gdzie ścierały się ze sobą poglądy, hasła, światy. Niestety nie na długo. Po rocznym pobycie, podczas którego skończyłam "Sophomore Arts" musiałam wrócić z powrotem do wojska, w związku z likwidacją naszych oddziałów na Sr.Wschodzie.

I wróciłam. Dokąd? Oczywiście do S.M.O. Tu przecież włożyłam mundur P.S.K., tu składałam egzamin doj-

rzalosci, wiec tu chce pracowac dalej.

I jestem ... po raz trzeci. Czy zmienila sie skola? Chyba tak. Gmachy, sale, swietlice, biblioteki, nowe twarze, nawet nowe szkoly: Liceum Pedagogiczne, Gimnazjum Kupieckie. Na zewnatrz wszystko bardziej oficjalne, bardziej ulozone w pewne ramy organizacyjne i wojskowe. A od wewnatrz? Ta sama wytezona nauka, ta sama troska ze strony wladz o zapewnienie jak najlepszych warunkow i co bardziej charakterystyczne i mile - ten sam usmiech. Czyj on jest? Nie wiem Komendantki? Dyrektorki? Nauczycieli czy uczennic?

I wszystkich i niczyj specjalnie.

To jest usmiech skoly i po tym ja poznalam.

Nuna Strzelec

NAZARETANKI w Bejrucie

Ośrodek akademicki w Bejrucie jest jednym z najstarszych ognisk młodzieży polskiej, uczącej się na wyższych uczelniach zagranicą po roku 1939. Od początku jednak kilkuletniego swego istnienia Bejrut nie pamiętał tak dużego przypływu młodzieży na studia, jak w ubiegłym roku szkolnym. W dużej części była to młodzież, która zaledwie kilka miesięcy przed swoim przyjazdem do Bejrutu, zdała maturę w Teheranie, Isphahanie czy Nazarecie.

Stare wychowanki Szkoły Młodszych Ochotniczek stanowiły największą grupę wśród nowoprzybyłych. Grupa ta wyróżniała się na tle młodzieży bejruckiej swoim życiem. Nic dziwnego, łączyły ją kilkuletnie przeżycia szkolne, łączyły wspomnienia dawnych nazaretańskich, pogodniejszych dni. Początkowo podejrzewano je nawet o odseparowanie się od całego "starego" świata akademickiego. Do tego sprzyjał niezmiernie fakt umieszczenia ich w nowozakończonym domu studentek. W niedługim jednak czasie wszystkie podejrzania okazały się niesłuszne, bo nowoprzybyłe weszły całą swoją żywą grupą do "starego" świata studenckiego, wnosząc do niego cały zapas energii, inicjatywy i koleżeńskości.

Były to dziewczęta, które po kilkutygodniowych funkcjach sióstr, czy świetliczarek, wracały znowu do

nauki, dziewczęta, które zabierały się do swej nowej pracy z pełnym entuzjazmem, a równocześnie z wiarą w swoje siły. Śmiało można powiedzieć, że wszystkieabrały się z całym zapałem do nauki. Trudności okazały się jednak wielkie od samego początku, częstokroć większe, niż się spodziewano. Zaczęło się od kłopotów z uzyskaniem miejsc na uniwersytetach. Po długich staraniach naszych władz, po niestrudzonych zabieganiach, wszystkie zostały umieszczone na wyższych uczelniach. Dużo zostało przyjętych na praktykę farmaceutyczną, grupa składająca się z 12-tu dziewcząt dostała miejsce na "Sophomore science", druga taka sama grupa na naukach humanistycznych, "Sophomore Arts" - na uniwersytecie amerykańskim. Na uniwersytecie francuskim utworzono specjalny kurs, t.zw. "pré P.C.B." dla przyszłych lekarek, farmaceutyczek, dentystek, chemiczek.

Gdy już wszystkie zostały umieszczone, wtedy wyrosły nowe trudności. Niedostateczna znajomość języków obcych, francuskiego, czy angielskiego, stała się zasadniczym kłopotem. Cały szereg straconych, bo niezrozumianych wykładów, wiele obłanych, bo nieprzygotowanych egzaminów.

Obok tego wyrastały trudności wypływające z nowych, nieznanych dotąd systemów nauczania. Przede wszystkim wiele było kłopotów z przyzwyczajeniem się do systemu uniwersytetu amerykańskiego. Uniwersytet ten zdaje się przypominać jakąś kolosalną maszynę, która blisko sto lat temu puszczona w ruch (uniwersytet został założony w 1866 roku), pędzi i pędzi dziesiątki lat bez przerwy, pędzi coraz szybciej i szybciej, produkując coraz to nowych ludzi, ludzi-automaty liczące tylko machinalnie swoje zdolności i umiejętności na procenty, punkty i lecące dalej w takt maszyny-uniwersytetu. Na uniwersytecie tym jest system egzaminów pisemnych, ustnych prawie zupełnie nie ma, ale za to egzaminy te, t.zw. "quizy" są stale. Pisz się je ściśle w określonym czasie, zdobywa się nimi odpowiedni procent, który stanowi podstawę przy wyniku ogólnym. Najlepszy nawet wynik końcowego egzaminu nie daje pozytywnego rezultatu, gdy z poprzednich "quiz'ów" nie miało się conajmniej 60%. Są przedmioty, na których "quizy" bywają raz na miesiąc tylko, ale są i takie, na których są co tydzień, albo częściej (biologia). System ten jest dziwnym tworem amerykańskim, straszącym swoją cudacznością, każdego nowoprzybyłego. Dziwacznością swoją różni się od uniwersytetu francuskiego, który ma normalny system europejski, a tak bardzo jest inny od polskich uni-

wersytetów, tych naszego drogiego Iwowa, Warszawy, Poznania, Krakowa czy Wilna, tych wymarzonych a dalekich dziś dla nas.

Dużo upłynęło czasu, zanim nam Europejczykom udało się przyzwyczaić do tempa amerykańskiego.

Na przedmiotach ścisłych bardzo pokutował humanistyczny typ liceum nazaretańskiego. Nie mógł on oczywiście dać dostatecznego przygotowania do przedmiotów takich, jak matematyka, fizyka, chemia. Skutek był taki, że gdy dziewczęta będące na przedmiotach humanistycznych, już pod koniec pierwszego kwartału dawały sobie świetnie radę, a nawet kilka przewyższyło znacznie swoimi postępami kolegów - Arabów, to tymczasem na przedmiotach ścisłych, na pierwszym kwartale wyniki były tragiczne. Niepowodzenia wpływały dwojako. W jednych budziły upór i chęć pracy, pracy mimo wszystko. Nie odbierały im wiary i siły w swoje zdolności, a kazały iść naprzód, choć było strasznie ciężko. Inne zaś straciły zupełnie ufność w siebie. Te oczywiście musiały potem odpaść. Były jednak chwile, gdy zaczynałyśmy wszystkie wątpić, czy kiedykolwiek uda się przełamać piętroszące się przed nami stale i stale trudności. Ale nie rezygnowałyśmy z próby. Pamiętam, jakie byłyśmy bardzo zdziwione, gdy na drugim kwartale powiedziano nam, że prawie wszystkie zdałyśmy z zoologii. Miłe to było zdziwienie przynoszące iskrę nadziei, że może przecież i my coś jeszcze potrafimy.

Próba udała się. Praca zaczęła przynosić rezultaty. Stopnie półroczne były o wiele lepsze od kwartalnych. Coraz pomyślniejsze wyniki w pracy przychodziły z dokładniejszym poznawaniem języka angielskiego. Nieznajomość angielskiego była jednak zasadniczą zaporą w pracy. Największy kłopot miałyśmy wszystkie z chemią. Ale i w niej zaczęłyśmy po półroczu robić postępy i końcowy egzamin wypadł na ogół dobrze. Cóż z tego, gdy przy procentowym systemie amerykańskim, gdzie oblicza się średnią całego roku i ta daje końcowy wynik, nie jednej zabrakło kilku punktów, aby mieć wymarzony i wypracowany "pass". Dwie z nas miały średnią 59%. To już pech okropny! Jednego tylko procentu brakowało im, aby mieć minimum potrzebne do przejścia. Pocięszwały się tym, że będą mogły zdawać i że zdadzą napewno pó wakacjach, kiedy to klasyfikację opiera się omal że całkowicie na wyniku egzaminu.

Tymczasem po wakacjach nie wróciłyśmy już na swoje uczelnie.

Dzisiaj już nie widać w Bejrucie polskich dziewcząt w zielonych mundurach. Pusto tam. Nikt nie wydeptuje

już ścieżek wśród kwiecia, gdzie zwykle my powtarzałyśmy lekcje. Nikt nie marzy pod naszym ulubionym, młodym cedrem o tym, jak to będzie, gdy po kilkuletniej, ciężkiej pracy zostanie farmaceutą, chemikiem czy lekarzem.

Bejrut przegląda się w szafirowym morzu dziś tak samo, jak rok temu; uniwersytet tętni życiem tak samo jak kiedyś; tak samo strzelają w niebo w parku uniwersyteckim majestatyczne cyprysy; jest tyle kwiatów, zieleni i słońca! Nas tylko tam już nie ma. Na studiach została nieliczna tylko grupa studentów cywilnych. Gros wróciło do wojska nie chcąc zrywać z nim łączności.

A jednak do Bejrutu wraca się stale. Tak często myśli się o tym, jak chętnie wypełniłoby się godziny wolne od zajęć jakimś wykładem filozofii, botaniki, czy nawet chemii. Wraca się dziś z przyjemnością do tych kośmarnych dni tamtegorocznych. A gdy wspomina się je dziś, w chwili, gdy studia musiałyśmy przerwać i gdy nie mamy wielkiej nadziei na dostanie się gdzieś na jakiś inny uniwersytet, to równocześnie reasumuje się to wszystko, co nam dał ten rok. A dał nam wszystkim bardzo dużo. Przede wszystkim zrobiliśmy postępy w poznawaniu języków obcych. Naturalnie, że dziś, gdy prawdopodobnie sążone nam będzie żyć w krajach anglosaskich, wygrały te, które miały angielski, jako język wykładowy. Ugruntowałyśmy, czy uzupełniłyśmy sobie wiele wiadomości z zakresu poprzednich lat nauki. Zapoznaliśmy się z obcym, innym od naszego sposobem nauczania, a w końcu zetknęłyśmy się z zupełnie nowym, jak dotychczas dla nas środowiskiem i z nowymi ludźmi. Koledzy nasi uniwersyteccy, to przeważnie Arabowie, z omal że całego środkowego Wschodu, trochę Hindusów, Murzynów, Żydów, kilku Amerykanów, Rosjan. Profesorowie - to zazwyczaj Amerykanie lub Anglicy, choć nie brakowało i Arabów. Obracając się w tym środowisku przez cały rok na uniwersytecie, zdążyłyśmy poznać je, a równocześnie stwierdzić, jak bardzo ci wszyscy ludzie różnią się od nas. Arabowie byli dla nas zawsze bardzo usłużni. Chętnie pomagali w nauce, choć chętniej umawiali się do kina. Wszystko to robili "specyficznym, tylko sobie właściwym rodzajem uprzejmości "lepkiej uprzejmości". Trzeba powiedzieć, że na uniwersytecie, gdzie prawie nie było kobiet, my, jasnowłose Europejki, stanowiłyśmy nie-
lada atrakcję.

Amerykanie i Anglicy - profesorowie, byli do nas też raczej przychylnie ustosunkowani. Między nimi a nami, istniało jakieś nigdy niewypowiedziane porozumienie

ludzi Zachodu wśród przytłaczającej masy Arabów. Amerykanie i Anglicy, dziwni to jednak ludzie. Wychowani w innych warunkach niż my, w innej dla siebie sytuacji, o zupełnie innej mentalności, nic dziwnego, że patrzą innymi oczyma na świat niż my, inaczej myślą i czują niż my, dlatego nigdy chyba nie będą w stanie nas zrozumieć.

To obco krajowcy. Z drugiej strony spotkałyśmy się w Bejrucie z środowiskiem polskich studentów. Byli to przeważnie studenci starsi od nas. Dużo było takich, którzy przyjechali na ostatnie tylko egzaminy do Bejrutu, albo brakował im jeszcze rok, czy dwa - do skończenia zaczętych w Polsce studiów. Spotkałyśmy się z nimi na terenie Bratniaka. "Bratnia Pomoc Studentów Polaków w Bejrucie" jest organizacją zlegalizowaną, uznaną przez rząd libański, mająca bardzo szerokie kompetencje w działaniu, ciesząca się wielkim poparciem i uznaniem na tym terenie. Bratnia Pomoc w chwili naszego przyjazdu była organem całkowicie już zorganizowanym i mocno już ugruntowanym. My więc nowoprzybyłe mogłyśmy ograniczyć swoje role na jej terenie, tylko do biernych początkowo, a z biegiem czasu coraz to czynniejszych członków. Do nowego zaś zarządu, który został wybrany w sierpniu b.r. na obecny rok szkolny, weszło już kilka z pośród nas nowych studentek. Długi okres naszej bierności w życiu akademickim wypływał w dużej też mierze z naszego niewyrobienia społecznego. Znalazłyśmy się w gronie stukilkudziesięciu studentów, zazwyczaj starszych od nas, wśród których była grupa studentów pracująca już w Polsce na terenie organizacji akademickich. Nic dziwnego, że przewyższali oni nas bardzo na tym polu. Czasem czułyśmy się nawet trochę przestraszone i onieśmiałone ich rutyną i ich wyrobieniem społecznym. My musiałyśmy się dopiero zacząć uczyć. Uczyłyśmy się patrząc na ich pracę, na ich triumfy z jednej strony, a z drugiej błędy. Przez roczny pobyt w Bejrucie nauczyłyśmy się bardzo dużo. Często, dzięki tylko słuchaniu, patrzeniu i obserwowaniu ludzi. Staraliśmy się nie opuścić żadnej okazji skorzystania czegoś. Kilka z nas chodziło poza swoimi przewidzianymi wykładami na lekcje historii Polski, do profesora Kościałkowskiego. Było to pro-seminarium dla studentów wydziału historii na uniwersytecie amerykańskim lub francuskim, ale nasz ukochany profesor widział bardzo chętnie na swych wykładach wszystkich słuchaczy i radował się bardzo, gdy przybywał mu jakiś nowy uczeń.

Brałyśmy czynny udział w życiu kulturalnym uniwersytetów. Nie opuściłyśmy chyba ani jednego koncertu, korzystaliśmy z bogato wyposażonej biblioteki uniwersytetu amerykańskiego. W ramach swojej organizacji, Bratniej Pomocy, utworzyłyśmy kółko dyskusyjne. Kółko było czysto żeńskie, a koledzy mieli prawo wstępu tylko za zaproszeniami. Zazwyczaj na jednym zebraniu kółka, wyłaniał się temat następnego. Kółko dyskusyjne urządzało też wieczory towarzyskie, te już z pełnym udziałem kolegów, których była zresztą nieliczna garstka. Praca kółka przerwała się zupełnie w okresie przedegzaminacyjnym. Był to okres, w którym zamierało całe życie studenckie. Wszyscy pracowali. Nie mówiło się wtedy o niczym innym, tylko o tym, ile kto już powtórzył materiału, ile ma jeszcze przerobić, kiedy zaczyna egzaminy, z czego zdaje najpierw.

Aż przychodził czas egzaminów. Z takim samym zdenerwowaniem, sercem zawsze jednakowo głośno bijącym, szło się na każdy egzamin. Liczyło się tylko stale, ile jeszcze zostało do końca.

Przechodził jeden, drugi, trzeci, czwarty ...

Przeszedł i ostatni. Z nim skończył się okres naszych studiów.

Czyżby już na zawsze ? ...

Zocha Rymarska

ZNOWU wgnieździe

Pogrążona w rozterce po uwagach na które nie znalazłam odpowiedzi, zaczęłam na pocieszenie myśleć o niedawnych jeszcze czasach, kiedy to sama jeszcze byłam uczennicą. O ile wtedy było wygodniej ! Uczennica bowiem może krytykować. Każdy z nas bodajże doznał rozkoszy krytyki. Zarzucał, dąsał się i wysuwał cały szereg teoretycznych rozwiązań sprawy. Wówczas był w porządku, był krytykiem pozytywnym, nie tylko ganił, lecz dawał rady idealne a nawet logiczne. Krytyka była to specjalność naszej klasy. Dziś naprawdę współczuję szczerze Reni, naszej małej instruktorce, która z takim trudem przygotowywała przemowy o dobrym wychowaniu, obowiązkach, mające z nas zrobić ideały, a które często obracałyśmy w żart. Początkowo

raziło mnie to, przyszedłam bowiem do szkoły wprost z zaszczytnego stanowiska wychowawczynie w Isfahanie i miałam tę ogromną wadę, że na wszystko patrzyłam oczyma nie uczennicy, lecz wychowawczynie. Całym też sercem stałam po stronie naszej instruktorki i usiłowałam zawsze podporządkować się jej zarządzeniom. Lecz i mnie niekiedy wydawały się one uciążliwe. Naprzykład - co za pomysł gasić światło o 10-tej, jeżeli nazajutrz ma się klasówkę matematyczną, albo wstawać na pobudkę, jeśli zdąży się 10 minut przed zbiórką.

Z czasem, dokonała się we mnie zmiana. Coraz mniej uwagi zwracałam na wszelakie zarządzenia i muszę, wyznać, coraz lepiej się z tym czułam. Jednym słowem stawałam się normalną uczennicą. Szczęśliwie, że ze względu na stan zdrowia zostałam zwolniona ze zbiórek, musztry, spacerów, mogłam wstawać o 7-mej, zamiast o 6-tej rano. Inne niedogodności usiłowałam wraz z koleżankami omijać, nie przekraczając zarządzeń. A więc o 10-tej światło było zgaszone, a my podejrzanie spokojnie leżałyśmy w łóżkach. Około 11-ej, gdy wszelkie inspekcje i kontrole ustawały, wstawałyśmy i zasiadałyśmy do książek. Czarna kawa pomagała w utrzymaniu trzeźwości umysłu. Obowiązywał absolutny "black-out", rolety szczelnie zasłonięte, w dziurce od klucza wata, ścierka od podłogi w szparze, między posadzką a drzwiami. Raz zostałyśmy haniebnie "nakryte" przez bystrego oficera inspekcyjnego. Wszystkiemu była winna latarka. Oświetlony znieczeka pokój zdradził niecne przygotowania do nocnej nauki. Pięć mieszkanek leżało nieruchomo pod naciągniętymi po szyję kocami. Na stole rozłożone zeszyty, pod jednym z łóżek bezgłośny primus spełniał swą cowieczorną funkcję, - czarna kawa roztaczała przyjemną woń.

Smutno się to "nakrycie" skończyło. Ściągnięte z nas koce ukazały od stóp do głów ubrane postacie. Baśka w mundurze i pasie głównym, ja w szlafroku, Irka, o wstydzie, w bucikach! Primus z kawą został wyciągnięty na środek pokoju, a my wszystkie dostałyśmy porządną "pucowę". Na nasze usprawiedliwienie muszę dodać, że wszystko to robiłyśmy w imię wiedzy.

W szkole panują manie. Niektóre klasy gremialnie przepisują zeszyty na czysto, inne noszą kolorowe chusteczki w zawiniętych rękawach, jeszcze inne "uwielbiają" tego czy innego pisarza. My miałyśmy manie uzupełniania wiadomości i byłyśmy w tym tak zachłanne, że żadna z nas nie mogłaby pogodzić z tym, aby inna przeczytała więcej od niej książek. To było niebezpiecznie

zaraźliwe. Wskutek tego nocnego "doksztalcania się" coraz trudniej było nas się rano dobudzić, coraz bardziej spóźniałyśmy się na zbiórki i w ogóle byłyśmy "wyższe" nad wszelkie sprawy regulaminu.

Renię traktowałyśmy po koleżeńsku; została wciągnięta w tajemnice klasowe, poza tymi, które dotyczyły regulaminu, bo pod tym względem była nieubłagalnie surowa.

Odeszłam ze szkoły z najmilszymi wspomnieniami drobnych i większych przekroczeń. Jak to o 2-giej w nocy ogłuszone kuciem robiłyśmy przerwę, by podziwiać "taniec w moskiterze", Kity i kuplety Jadźki. Jak to Baśka codziennie miała awanturę za noszenie śniadania na górę, jak oficer inspekcyjny złapał Czeckę prasującą mundur w nocy w łazience, jak siostra goniła nas na korzytarzu z wygotowaną strzykawką.

Ale ... fortuna kołem się toczy.

I na mnie przyszła kolej.

Po roku studiów w Bejrucie, przyjechałam znów do szkoły, ale tym razem na przydział i to przydział wychowawczyni. Do moich obowiązków należy już nie wstawanie, ale budzenie dziewczynek na pobudkę i tu w tajemnicy muszę powiedzieć, że pomnąc na nasze żale, przychodzi je budzić o 15 minut później. Mają takie zaspane miny, zresztą i tak zdają. Muszę pilnować by o 10-tej było zgaszone światło i wysłuchiwać przy tej sposobności szeregu uwag w rodzaju tych, jakimi my szafowałyśmy tamtego roku. W tym jednak względzie jestem nieubłagalna, zwłaszcza, że dziewczęta mieszkają na ogólnych salach i z pewnością większość chce spać. Na ogół rozumiem dziewczęta, ale już złapałam się na tym, że wiele rzeczy u nich mnie razi. Naprzykład - jedna z młodszych koleżanek opowiadała mi o kawałach, jakie wyczynia jej klasa, a na moje uwagi na ten temat powiedziała "no, ty jesteś pojętną uczennicą! Już po tygodniu pracy rozumiesz jak belfrada". Chciałabym się ustrzec tego. Przystąpiłam do rewizji poglądów. Usiłuję wprowadzić w życie wszelkie moje teorie na temat pedagogicznego postępowania, a spostrzeżenia, które poczyniłam jako uczennica, mają mi w tym pomóc.

A Renia, teraz uczennica (jak to rzeczywiście fortuna kołem się toczy), śmieje się i mówi: (z doświadczenia widać): Zobaczysz jak to będzie ...

Isia Witwicka

PRACA I ODPOCZYNEK



W Tyberiadzie



Na wycieczce w Tyberiadzie.



Lekcja próbna L. Ped. w terenie



Lekcja pisania na maszynie.

A BYŁO TO przed laty

Przyjdzie taki czas, gdy na świecie zapadnie spokój i szczęście, wtedy wieczorami, przy kominku, wnuczka prosić będą dziadka, co to wojował w różnych krajach, o bajkę, ale nie taką zwykłą o królewiczu i królewnie - nie.

Dziadziusia bajka, będzie zupełnie inna, bohaterami będą chłopcy i dziewczęta w mundurkach; bajka będzie długa ze względu na ogrom przeżyć i zmagañ w niej zawartych, będzie pełna czaru i fantazji, mimo, że treścią jej będą codzienne przeżycia ludzkie.

Dział się będzie nie we wspaniałych zamkach, lecz w starych namiotach i barakach, zamiast poszostnej karocy, służyć będzie auto-stop

Dziadzio wyciągnie połówką mapę, by pokazać wnukom tysiące kilometrów trasy tułaczkiej, którą bohaterowie tej bajki musieli przybyć, nie mając do pomocy ani dywanów latających, ani butów siedmiomilowych, ani dobrych wróżek. I wódząc palcem po mapie, zatrzyma się w miejscu, gdzie widnieje napis "Nazaret". I zacznie swą opowieść: "Za siódmą górą, za siódmą rzeką było sobie miasteczko, zwane Nazaret".

Wnuczkowie dowiedzą się wtedy, że jednego dnia, do tego małego miasteczka, zjechała gromada polskich dziewcząt, co nie tylko ożywiło to muzealne miasteczko, ale nawet potrafiło wpłynąć na zmianę obyczajów jego mieszkańców.

Wiekowy i ospały Nazaret, musiał się przyzwyczaić do zbiórek, codziennych spacerów kompanij, do defilad, do polskich piosenek, do prima-apriliśowych kawałów, których tradycję dziewczęta podtrzymywały solidarnie, a przede wszystkim do widoku dziewcząt w mundurach.

Z początku wywoływało to zgorzienie niejednego świątobliwego muzułmanina, przyzwyczajonego do widoku kobiet, drepczących pokornie o trzy kroki w tyle za mężem. Jednak dziewczęta zwyciężyły zupełnie, bo w końcu nie tylko przyzwyczajono się do ich dziarskiego wyglądu, ale nawet je polubiono.

Nazaret obudził się ze swej wiekowej drzemki i pogodził się z nowymi przybyszkami, bo zrozumiał,

że dzięki nim podniósł się materialnie, a może nawet kulturalnie.

Dawniej do Nazaretu przyjeżdżały od czasu do czasu wycieczki, od chwili gdy miasteczkiem zawiądnęło S.M.O., poczęli tu napływać liczni goście, wszelkich narodowości, ras i kolorów. Goście ci ze zdumieniem obserwowali to młode wojsko, ubrane zawsze przepiślowo, a mimo to elegancko i przeważnie zapominali o zwiedzaniu miejsc świętych. Gośćmi tymi byli najczęściej Anglicy. Początkowo nasi alianci byli przekonani, że do zawarcia znajomości ze "sztubaczkami" w mundurach, wystarczy przebrać okrzyk "hullo" lub "honey" czy "sweatheart", jednak wkrótce musieli zmienić swe zdanie, bo mimo licznych zarzutów, okazało się, że dziewczęta potrafią jednak utrzymać swoją postawę.

Wnuczkowie dowiedzą się też, że te "sztubaczki" w mundurach, po całym tygodniu nauki, miały też swoje rozrywki i swoje zabawy, czasem wyjeżdżały w podróż po Palestynie bez grosza w kieszeni tym oryginalnym środkiem lokomocji "auto-stopem".

Nie towarzyszyły im żadne poczty rycerskie - a za jedyną broń służyły im - dziarska mina i serce Polki. Naprawdę, były ciekawsze niż śpiące królowny.

Dziadus odgrzebując w pamięci dzieje młodych dziewcząt w mundurach, z pewnością wspomni o tym, że dziewczęta nie zawsze mogły skończyć szkołę, że często ten mundur, w którym chodziły, zmuszał je do opuszczenia S.M.O. i zabrania się do pracy ale już w szeregach PWSK. - pracy ciężkiej, odpowiedzialnej, a często i niebezpiecznej. Być może, że wtedy któryś z młodych słuchaczy zapyta: czemu w takim razie dziewczęta pozostawały w wojskowej szkole, skoro ten mundur nieraz przerywał im naukę.

Opowie mu wtedy dziadek o wartości tego szarego munduru, który choć tak mało błyskotliwy - był im wszystkim tak drogi. Wytłumaczy, że mundur był czynnikiem, który spajał wszystkich w jedną wielką gromadę, żyjącą wspólną ideą i że dodawał jakiejś dziwnej otuchy i wiary, że jeszcze nie wszystko skończone, że walka trwa. Dlatego też dziewczęta wołały spełnić obowiązki, jakie im mundur nakładał, niż wyrzec się go i stracić tę łączność z wojskiem, które o nich zawsze pamiętało.

Wspomni też dziadus z pewnością o dniach wesółych w Nazarecie - o Imieninach Komendantki, która zawsze darowywała tego dnia "wolność" swoim podwładnym, o tych dniach "zielonych" i "dniach podchorążego" -

w czasie których nie tylko szkoła pogrążona była w radosnym zamęciu, ale i spokojny Nazaret z przyległościami.

Gdy północ wybije - dziaduś skończy swą bajkę - choć mógłby opowiadać jeszcze długo - długo

Tej nocy wnuczkiwie z pewnością snić będą o tych młodych dziewczętach w mundurach i o tajemniczej wartości tego munduru, który spełniał rolę pancerza, mimo że nie był ze stali.

Zofia Czerniawska

MŁODZIEŻ

MŁODZIEŻ

Najważniejszą kwestią obchodzącą każde społeczeństwo jest jego organizacja, wzajemny stosunek obywateli i jak najlepsza współpraca i zaufanie między kierownictwem a gromadą. To samo dotyczy Szkoły Młodszych Ochotniczek, która jest też społeczeństwem, jakkolwiek liczy tylko kilka setek obywateli.

Pomimo, że Kadra nauczycielska i kompanijna z całym poświęceniem pracuje dla młodzieży, kontakt bezpośredni nie może być bardzo duży - bo trudno rozmawiać indywidualnie z każdą z tak wielkiej gromady i wysłuchiwać jej prośb, kłopotów, myśli i projektów. Regulowanie wszelkich spraw rozkazami chociaż zawsze było słuszne, ale nie zawsze należycie i właściwie zrozumiane przez młodzież, która je miała wykonać. To też podział kompanii na plutony i drużyny i pcwierzenie prowadzenia ich młodzieży, ogromnie nam ułatwiło zbliżanie do naszych wychowawców.

Najważniejszą jednostką jest drużyna, która stanowi nieduży zespół ściśle ze sobą zżyty, gdzie wszystkie dziewczynki dobrze się znają. Zadaniem drużynowych jest dbać o postawę swoich zespołów, wytworzyć zdrową opinię, z którąby się wszystkie dziewczynki li-

czyły, a także wyrabiać odpowiedzialność za czyny nie tylko każdej poszczególnej dziewczynki, ale całej drużyny.

W tym roku zostały wprowadzone stałe odprawy z Komendantką S.M.O. Na odprawy zbierają się wszystkie drużynowe, plutonowe i szefowie kompanij wszystkich szkół. Wtedy zdajemy Pani Komendantce relacje z pracy w naszych jednostkach, zgłaszamy ich prośby, uwagi i projekty dotyczące niektórych spraw porządkowych i obchodzących nas kwestii szkolnych, wreszcie przedstawiamy nasze kłopoty, związane z prowadzeniem powierzonych nam jednostek. Z odpraw tych czerpiemy siłę i pogodę ducha do dalszej pracy, do dalszego przewycięzania napotykanym trudności. Teraz jest ich dużo - ale to dopiero początek naszej pracy i życia w poszczególnych jednostkach nie idzie jeszcze "pełną parą", chociaż z każdym tygodniem nabiera większego rozpędu i większej sprężystości.

W pokonywaniu tych trudności pomaga nam bardzo świadomość, że nie jesteśmy same, że zawsze w środę podzielimy się swoimi kłopotami i spostrzeżeniami z Panią Komendantką i koleżankami "po fachu", i że wspólnie będziemy radzić nad ich usunięciem.

Pani Komendantka porusza na tych odprawach różne tematy związane z życiem szkoły. Mnie najczęściej interesują i pociągają tematy związane z organizacją życia internatowego, bo życie gromady jest życiem małego społeczeństwa, w którym jednostka musi się podporządkować całości - a wszystkie rozkazy i regulaminy muszą być tak pomyślane, aby jak najbardziej ułatwić współżycie.

Pani Komendantka tłumaczy nam często słuszność różnych zarządzeń, każe nam się zastanowić nad sposobem usprawnienia i udogodnienia życia zbiorowego i zgłaszać się ze swoimi projektami lub prośbami.

Odprawy środowe dają nam materiał do myślenia i są bodźcem do pracy na cały następny tydzień. Wszystkie dziewczynki bardzo się interesują nimi i musimy im zdawać dokładne relacje zaraz po odprawie, jeszcze tego samego wieczoru.

"Szarże młodzieżowe" muszą pracować nad sobą, nad swoim charakterem, bo muszą być wzorem dla innych, np. nie tylko nie wolno nam spóźnić się na ranną zbiórkę, ale jeszcze musimy budzić nasze koleżanki; takich przykładów w ciągu dnia znajdzie się wiele. Tym samym nie tylko dajemy dobry przykład innym, ale jeszcze kształcimy swoje charaktery, wyrabiamy w sobie silną wolę i opanowanie.

Jest to więc nie tylko praca społeczna ale i samowychowawcza.

I jeżeli kadre młodzieżową można nazwać organizacją, jest ona tego samego typu co harcerstwo i Sodalicja, właśnie dzięki temu, że wszystkie te organizacje polegają na samowychowaniu i dążeniu do doskonałości. W Sodalicji pracę nad charakterem i udoskonaleniem własnym, prowadzi się przez uświadomienie swego stosunku do Boga i bliźnich. I na tej płaszczyźnie wypracowuje się swoje postępowanie według zasad etyki chrześcijańskiej. Jest to praca wewnętrzna i własna, głównie nad sobą.

W harcerstwie w myśl hasła "Bóg i Ojczyzna", główny nacisk kładzie się na swój stosunek do otoczenia. Poziom tego stosunku jest miarą sprawności i wyrobienia jednostki. Praca harcerstwa jako praca w zespołach¹ drużynach, ma już charakter raczej społeczny.

Organizacja Kadry S.M.O. stanowi jakby trzeci szczebel pracy już wybitnie społecznej, dającej poczucie dużej odpowiedzialności jednostek czołowych, nie tylko za siebie lecz i za grupę, której są przedstawicielkami i przewodniczkami.

Pracując dziś jako "szarże" młodzieżowe, zaprawiamy się i wyrabiamy nie tylko na uspołecznione jednostki, przyszłe obywatelki, lecz i na przodowniczki w grupach społecznych gdziekolwiek los nam pracować pozwoli. Myślą przewodnią zaś zawsze dla nas będzie dobro O j c z y z n y.

"Baron"

Helina Kieron
kl. IV. B. Gimn. Ogk szt.

JAKIE jesteście a co o nas myśla

Pomimo to, że jest nas tak mało - bo 7 w klasie, jednak często mówi się o nas i dobrze i źle. Tak jak mnie się zdaje, to więcej słyszy się o nas dobrego aniżeli złego. Nasza Pani wychowawczyni nieraz za jakieś małe przewinienie trochę nakrzyczy na nas i "udaje", że jest bardzo zła, ale jestem pewna, że nieraz myśli sobie: "jednak ta moja klasa jest bardzo miła".

Nawet panie w jadalni chwalały nas i mówiły, że I klasa umie porządnie jeść i zachowywać się przy stole.

Służbę pełniły tak, jakbyśmy to robiły od wieków, nie sprawia nam to trudności, bo już kilka lat jesteśmy w wojsku.

Pan profesor, który uczy nas rysunków, na lekcji udaje srogiego i mówi do niejednej z nas: to "oszustwo a nie rysunek", bo lewy bok nie równa się prawemu i t.d. To samo jest z Panem profesorem historii, który często wymawia nam, że się wcale nie uczymy, że mamy puste głowy i zajmujemy się wszystkim innym, tylko nie lekcją, ale po jednej lub dwóch dobrych naszych odpowiedziach wszystko idzie w niepamięć i Pan profesor jest z nas zadowolony. Najgorzej to z polskim, który jest najtrudniejszy i sprawia nam największą kłopotu. Wszystkie lekcje odrabiamy z największą starannością i sumiennością - i tak będziemy starały się postępować aż do ukończenia szkoły.

Krysia Rutyna
kl. I. Ginn. Ogkszt.

NASZA klasa

Dziś już z nas duże panny, uczennice II kl. gimnazjalnej, ale gdy przyszłyśmy do S.M.O. do IV kl. Szk. Powsz. w Jeninie, byłyśmy bardzo małe. Z początku było nas osiem. Jako najmłodsze miałyśmy różne przywileje. Pani Stenia, nasza wychowawczyni żałowała, że musi rano budzić "osmioraczkę" śpiącą smacznie w "sali kominiarskiej", i często pozwalała spać do 7-mej.

Nasza klasa nigdy nie pełniła służby łącznika, to też kiedy pewnego dnia na zbiorce powiedziano nam, że jesteśmy wciągnięte na listę łączników, w klasie zapanowała wielka radość.

Naturalnie oficer służbowy nie miał z nas wielkiej pociechy.

Pewnego razu nasza klasa postanowiła urządzić przedstawienie. Codziennie w wielkiej tajemnicy odbywały się próby. Na przedstawienie zaprosiliśmy P. Komendantkę i P. Dyrektorkę. Program wypełniły tańce, piosenki, deklamacje i kilka inscenizacji jak "Pajac i Lalka", "Doktor i żaba" i "Plama na podłodze".

Pani Komendantce podobał się nasz wieczór i powiedziała, że chciałaby być uczennicą takiej klasy. Ucieszone bardzo zgodziliśmy się na to i Pani Komendantka została 9-tą uczennicą naszej klasy.

Kiedys przyjechał do nas P. Gen. Tokarzewski. Zwiedzając naszą szkołę, zawitał też do "kominiarskiej sali". Z pewnością musiał coś słyszeć od Pani Komendantki o naszej klasie, bo wyraził chęć zapisania się do niej.

Pani Kierowniczką L. nie chciała się na to zgodzić lecz w końcu uległa naszym prośbom i Pan Generał został 10-tym uczniem naszej klasy.

Dziś już jesteśmy zupełnie duże, dni mijają nam inaczej, często jednak wspominamy te przyjemne chwile, spędzone w Szkole Powszechnej.

Ale też często myślimy o naszej przyszłości, o wyjeździe do Anglii, o czekającym nas tam życiu. Wyjazd do Anglii ma nastąpić niedługo; chciałybyśmy już być na mglistej wyspie. Jest to coś nowego, a ponieważ jesteśmy młode, więc pragniemy zmian i przygód. Przypuszczamy, że szkoła będzie istniała nadal i że my wszystkie w niej pozostaniemy. Przywiązałyśmy się do S.M.O. i żyły się tak, że nie wyobrażamy sobie rozłączenia. Możemy w Anglii mieć gorsze warunki, ale byle razem, byle w szkole. O tym, jak długo zostaniemy w Anglii i co będzie potem, często myślimy. Jeszcze nas bardzo interesuje, czy ze szkołą będziemy podróżowały dalej, bo prawdopodobnie podróż do Anglii nie jest ostatnią.

Czasem marzy nam się powrót do polski. Wtedy staramy się być lepsze i lepiej się uczyć, bo wiemy dobrze, że czeka nas tam praca dla Kraju i że musimy pokazać, żeśmy czasu tu na tułactwie nie straciły.

Jagódka i Basia
kl. II. gimn. ogkbt.

PRACUJEMY nad SOBĄ

Idę ulicą..... Słońce zagląda mi nieznośnie w twarz, pokrywając ją drobnymi kropelkami potu. Ruch jest duży. Sznur aut pędzi po jezdni, a ich krzykliwe sygnały drażnią uszy, potęgując uczucie zmęczenia, które mnie ogarnia.

Tel - Aviv..... Tysiące kilometrów dzieli mnie od kraju, w którym wyrosłam, i któremu przysięgam służbę.

Właściwie jest mi zupełnie dobrze. Mundur, jeźdzenie, dach nad głową - to przecież wszystko, co potrzebne jest do życia człowieka. To przecież osiągnięty cel jednostki dzisiejszego, zmaterializowanego świata.

A jednak jest coś, co z całą świadomością buntuje się przeciw życiu z dnia na dzień, coś co nie pozwoli mi nigdy pogodzić się z obczyzną.

Idę słoneczną ulicą, ale nie mogę zapomnieć o tym, co boli nas wszystkich. O tysiącach męczonych obozach, o czerwonych listach rozstrzelanych, o egzekucjach ulicznych, o krwi, która wsiąkała w ziemię nie tylko ojczystą. Ginęli z okrzykiem " Za Polskę " , a krzyk rósł i potęgował, bo wybiegłszy z jednych biejących ust, podchwycony został przez miliony.

Buntuje się przeciw przemocy, pragnę nowego życia w wolnym kraju, chcę szukać nowych dróg, analizować, badać. To wszystko jest przecież prawem młodości. Tak myślimy wszyscy, i, gdybyśmy się wzięli za ręce, to stworzyłby się wielki krąg, związany wspólną myślą, wspólną ideą. Ten krąg młodych istnieje. Ale, czy jest silny i niezłomny? Chcemy zdobywać, rzucać nowe hasła, wskazywać nowe cele.

My - to przyszłość. Więc jakimi jesteśmy w głębi siebie, takim okaże się nam dzień jutra, do którego dążymy. Nasza przyszłość, to wytężona praca dla Polski, to konieczność wywyższenia ojczyzny na szczyty, to czuwanie, by wszystkie koła i kółka maszyn społecznej obracały się zgodnym, nieskłonczonym rytmem.

A czyż podołamy tym zadaniom, gdy zbraknie nam siły woli lub wytrwałości?

" O ile polepszyście i powiększyście dusze wasze, o tyle powiększyście granice". Czyż te słowa wieszczka, nie powinny stać się hasłem naszych obecnych dni?

Rozwińmy umysły, zdobędźmy wiedzę !

Statystyki wykazują ubytek lekarzy, nauczycieli, naukowców, ubytek tych, których podciągamy pod ogólne miano inteligencji. Tę pracę w przyszłości my musimy wykonać. A zarówno lekarz, sędzia czy nauczyciel musi być przede wszystkim człowiekiem o trwałych zasadach etycznych. Jeśli będziemy słabi, to nie damy otuchy choremu, to nie będziemy szermierzami sprawiedliwości, to nie wpoiemy w szkole w duszę dziecka dobrych, mocnych zasad i nie będziemy dla niego przykładem.

Kiedyś stworzymy własne rodziny. Wtedy zapobżno będzie na pracę nad sobą. Staniemy wobec obowiązku wychowania nowego pokolenia. Dzisiaj wydaje się to jeszcze bardzo odległe, a jednak tak nie jest. I te parę lat, które nas dzielą od samodzielnego życia, bez jakiegokolwiek oparcia, powinniśmy wykorzystać właśnie na pracę nad sobą. Patrzyć, analizować, badać, szukać istotnych wartości w życiu, ugruntować zapatrywanie. Dążyć trzeba do jasnych, prostych celów, wyrabiać siłę woli i własny niezachwiany, ale zdrowy pogląd na wszystko. Przez ten krótki okres czasu musi każda z nas stać się samodzielną myślącą jednostką, mającą na celu dobro Ojczyzny i ludzkości.

Marszałek Teresa
kl.II.lic.hum.S.M.O. -

NASZE dyskusje

Wybiła godzina 10-ta. Rozległ się krótki energiczny dzwonek. I oto, jakby za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki, gasną światła, milkną wesołe głosy.

Posuwistym krokiem wkracza w korytarze gmachu szkolnego - ciemność. Zagląda do pokoików, klas, świetlic

= i wkrótce znika zostawiając po sobie czarną smugę cienia. Cisza – a jednak przysłuchaj się ... słyszysz? Szepty ... ktoś coś mówi – chodź, posłuchaj! Stań w mroku nocy! Podejdź bliżej – nie bój się! Co, chcesz odejść? – Och nie – nie odchodź! Poczekaj chwilę! Wiem, że nie zaciekawiają cię białe codzienne wydarzenia, o których się mówi – ale słuchaj! Może ...

W pokoiku początkowo toczy się bezładna rozmowa, przeplatana tłumionym śmiechem. Lecz oto szept ucisza się, aż milknie ...

Wśród ciszy pada pytanie – co słysząc z naszym wyjazdem do Anglii? Lecz zanim ktoś zdołał zastanowić się nad rzuconym pytaniem, a już ten sam niski głos ciągnie dalej – Czy słyszałyście? ... Podobno w Anglii będziemy mieli gorsze warunki życiowe – będziemy się uczyć i pracować. (A widzisz, to już Cię zaczyna zaciekawiać – przysuwasz się bliżej – słuchaj!)

Ciszej! Uspokójcie się, coś wam powiem! – Posłuchajcie! – Jesteśmy młode, pełne sił, energii i zapału do życia, nowego życia, które barwną wstęgą wije się przed nami. Nie martwcie się i nie bójcie się tych czarnych barw, przecież na tej wstędze widnieje nasz święty cel, a nim jest służba i powrót do naszej Ojczyzny. Cóż więc znaczy nawet ciężka praca dla naszych młodych, silnych rąk? My pracujemy, żyjemy dla Polski! Czyż nie jesteście tego samego zdania? ... Zresztą widzę to i czytam w waszych oczach. Nie zapominajmy, że przez naukę i pracę kształtujemy nasz charakter, pokonywujemy naszą bierność, nasze lenistwo. Praca uszlachetnia człowieka! Masz rację – odpowiada jej druga – jak to dobrze, że mamy teraz kurs życia i kroju. Będę mogła, w razie czego, zapracować nie tylko na siebie, ale i na moją rodzinę.

Ha! Ha! Przecież chyba nie chcesz zostać krawcową? – przerwała jej trzecia – i nie po to kształcisz się w liceum humanistycznym?

– Nie wiadomo co nas czeka w przyszłości – odpowiedziała jej zagadnięta – wiem, że nasze liceum jest bardzo ważne i spełnia wielką rolę na emigracji. Przecież poznajemy tu dokładnie naszą literaturę, historię i nasz język – a później, gdy pójdziemy w świat, weźmiemy ze sobą nasz wielki skarb, którym jest nasza polska kultura. Kultura tak pieczołowicie przechowywana przez naszych przodków – czyż teraz ma zginąć? Nie, ona nigdy nie zginie, gdyż jest zbyt wielka! I właśnie naszym zadaniem jest coraz bardziej rozszerzać i rozwijać naszą kulturę

i przekazać ją przyszłemu pokoleniu.
(Widzisz, nasza młodzież nie jest taka pusta jak ją sobie wyobraża wielu. Masz oczy błyszczące - jesteś podniecona - uśmiechasz się z radością - kochasz tę naszą młodość - Aha - niecierpliwisz się? chcesz słuchać?..)

Na chwilę zaległa cisza - ale tylko na chwilę - bo oto znów zrywa się bezład szeptów.
(O coś się kłóca - posłuchaj!) -

Anglia ... Anglicy...

(Oh - nareszcie już rozumiesz głosy - i oto jeden głos dominuje nad szeptem, który milknie, aż zupełnie ucicha -)

Nie cierpię Anglików! Woła czyjś wzburzony głos - co za egoistyczny naród! To wszystko przez nich, że nie wróciliśmy do kraju - a teraz jeszcze zdaje się im, że wyrządzają nam łaskę - nam, którym się to wszystko prawnie należy.

Nie krzycz tak głośno! Przerzywa jej ktoś inny, nie rozumiesz jednej rzeczy, że mimo wszystko Anglia jest naszą sojuszniczką - nie może Polska zostać sama, otoczona zewsząd wrogami. Istotnie nie czyni nam żadnej łaski, gdyż jesteśmy tym narodem, który dotrzymał wszystkich zobowiązań względem swoich sojuszników - za to wszystko płaciliśmy krwią. A widzisz, przyznajesz mi rację - zawołał ten sam wzburzony głos - pomyśl tylko - czy nie kraje ci się serce, widząc tę niesprawiedliwość, gdy chcą nas teraz rozsypać, zburzyć ten jeden wielki gmach polskości - nasze wojsko - chcą nas teraz utopić w oceanie obcych nam narodów. Masz rację, wtrąca się trzecia skolei, ale to wcale nie jest powód do aż tak głębokiej nienawiści. Zresztą możemy się nie dać rozproszyć. To zależy od nas. A poza tym, dlaczego zamykasz oczy na zalety narodu angielskiego? Naturalnie, posiada on wiele wad, ale pomyśl co za organizacja i dyscyplina społeczna.

Tak, u nas daje się we znaki brak dyscypliny, wtrąca się do dyskusji czwarta - i właśnie to powinniśmy od nich wziąć, naturalnie nie ślepo, ale ze zrozumieniem.

Wszystko mi jedno - odzywa się pierwsza. Niech oni sobie mają dobrą dyscyplinę i inne zalety narodowe, nic mnie oni nie obchodzą - ja wiem jedno, jestem Polką i ...

Chyba nie masz zamiaru być impertynenczką w stosunku do nich? - Nie zapominaj o naszej polskiej uprzej-

mości i grzeczności, która się należy każdemu. I wiedz, że "tak jak cię widzą, tak cię piszą". Swoim więc zachowaniem musimy podkreślić naszą kulturę i naszą polskość.

My jesteśmy najlepszą propagacją - odzywa się cichy głosik z kąta. Mamy przed sobą ważny cel. O tak. Zawołała znów inna, coś wam powiem. Podniecenie nie daje jej mówić początkowo, tylko oczy jej błyszczą w ciemności, a słowa padają urwane i bezładne, lecz już myśli się formują i wśród nocnej ciszy rozlega się początkowo cichy, lecz już coraz bardziej potężniejszy głos -

(Siedzisz jak na szpilkach. Patrzysz, słuchasz, serce ci bije mocno... całe szczęście, że osłania cię ta ciemność - zdradziłabyś swą obecność, bo jesteś z nimi gałą duszą).

Pomyślcie tylko, gdyby nas nie było tu na emigracji, na Środkowym Wschodzie, w Afryce, Ameryce, Włoszech, Anglii i innych krajach, któżby krzyczał i rzucił całemu światu w oczy, że polskiemu narodowi dzieje się straszliwa krzywda? Któż jak nie my, jesteśmy nadzieją nękanego narodu? Któż jak nie my, jesteśmy najlepszą, bo żywą i prawdziwą propagandą? Któż jak nie my, mamy za zadanie pomagać naszym rodakom w Polsce?

Przecież gdybyśmy wróciły do Polski, to o nas zapomnieliby cały świat, bo "co z oczu to i z myśli". To w takim razie uważasz - przerwała jej inna - że źle postępują ci Polacy, którzy teraz wracają do Polski? Myślę, że postępują źle, choć staram się ich zrozumieć; na przykład, jeżeli rodzina jakiegoś żołnierza potrzebuje nagłej jego opieki i pomocy - jak wtedy nie pomóc ginącej rodzinie? I wiele innych przykładów mogę ci podać. To wcale nie znaczy, że dany żołnierz nie rozumie znaczenia emigracji. A czy powrót do Polski w obecnej chwili nie jest pogodzeniem się z obecnie panującymi tam stosunkami?

Ach! Wrócić do Polski!... wyrywa się czyjś szept gorący. I tu znów potoczyły się wspomnienia, opisy dawno niewidzianych własnych kątów. Ale znów górę biorą plany, projekty na przyszłość. Lecz wkrótce oczy zaczęły im się kleić, sen domagał się o swoje prawa.

W pokoiku zapanowała cisza.

(Nie możesz odejść, przyglądasz się tym młodym uśpionym twarzyczkom, na ustach masz uśmiech. Odchodzisz - nie, jeszcze wracasz, by jeszcze raz pożegnać ich w myśli. Odeszłaś! Dziękuję ci żeś przyszła - wiedziałam, że przyjdiesz - lecz wrócisz tu do nas jeszcze - prawda?)

Ciemność wracała do korytarza i pokoiów, by zabrać swój zagubiony czarny cień.

Wstawał świt

Wybiła godz. 6-ta. Rozległ się dzwonek. I jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, cały gmach zbudził się ze snu.

Zabrzmiały wesole głosy.

Zabłyśło światło...

Alina Wanagiel.
kl. I. lic. hum.

GO ONAS MÓWIĄ?

Mówią, że jesteśmy hałaśliwe. Klasy przeważnie są dość liczne. Trudno więc zachować zawsze spokój, szczególnie, gdy jakieś zagadnienie dotyczy wszystkich dziewczynek. Wówczas budzą się różne uczucia u każdej z nas; w rezultacie powstaje hałas i panie mające kancelarie w sąsiedztwie klas nie mogą pracować. Zdarza się to jednak dość rzadko i my potrafimy czasem zachowywać się zupełnie cicho.

Mówią, że jesteśmy niezdyscyplinowane i nie lubimy pracować. I mówią nam, że w Anglii będzie nam ciężiej, że tam będziemy musiały robić to lub owo, lecz my się wcale nie boimy pracy. W Rosji byliśmy w o wiele gorszych warunkach i dawałyśmy sobie radę. Nie było co jeść, nie było w co się ubrać, i wiele z nas ciężko chorowało, a jednak przetrwałyśmy. Więc i teraz nie boimy się pracy, złej pogody czy nawet złych humorów naszych przyszłych gospodarzy brytyjskich. My potrafimy pracować i potrafimy być zdyscyplinowane i karne i wszystko przetrwamy, gdy zechcemy. Bo... grunt to chcieć!

Czasem zarzucają nam brak koleżeńskości. Lecz my staramy się być koleżeńskie i jesteśmy. Często zdarza się, że trzeba zastąpić koleżankę na służbie lub na dyżurze w kuchni i my robimy to z przyjemnością. Bo przyjemnie jest, gdy można pomóc innym. Często zdarza się, że któraś z koleżanek opuściła wykłady wskutek choroby i wtenczas śpieszymy jej z pomocą w nadrabianiu. Zdarzają się różne okazje, których nie zaniedbujemy i staramy się podnieść u siebie jak najbardziej koleżeństwo.

Mówią, że jesteśmy źle ułożone i nie potrafimy się odpowiednio zachować. Wiele z nas wyjechało z Polski jako bardzo małe i nie miałyśmy czasu nauczyć się dobrego zachowywania się. W Rosji nie było na to warunków i wiele z nas potraciło rodziców podczas tułaczki. Bez wątpienia mamy różne braki, lecz staramy się je uzupełnić i przez słuchanie pouczeń przełożonych zdobyć to, czego nie zdążyliśmy wpaść do domu rodzinnego.

Wierzymy, że pracą nad sobą wyrobimy w sobie silny charakter, a pilną nauką przyczynimy się do odbudowy WOLNEJ I NIEPODLEGŁEJ POLSKI.

Ala Schwetz
kl. III. A. gimn. ogk. szt.

KOLEŻENSTWO

Nasza szkoła jest jak gdyby dużą rodziną i tym ogromnym domem, który na obczyźnie zastępuje nam dom rodzinny w Polsce, gdy jeszcze będąc dziećmi wychowywałyśmy się i uczęszczałyśmy do szkół powszechnych. Tam szkoła dla każdego dziecka była pewnego rodzaju atrakcją, była środowiskiem, w którym dziecko stykało się ze swoimi rówieśnikami, do których towarzystwa garnęło się i gdzie chętnie przebywało; jednak większą część dnia spędzało się w domu pod opieką rodziców. Dlatego też możemy śmiało powiedzieć, że koleżeństwo w Polsce nie odgrywało tak ważnej roli, jak odgrywa ją dzisiaj, gdy rodziną i tym domem - jesteśmy my. Koleżeństwo zastępuje nam do pewnego stopnia ciepło rodzinne, którego każda pragnie i za którym tęskni.

Jak bardzo często niejedna z nas jest w poważnym kłopotcie przed klasówką matematyczną, czy też inną, ale czyż inne, mocniejsze w tym przedmiocie pozwolą jej się martwić? Przeważnie tydzień przed tym postrachem słabsze i mniej pewne siebie uczennice, zbierają się codziennie w klasie o omówionej godzinie i jedna z najlepszych matematyczek, uczy każdą po kolei i tłumaczy jej dotąd, dopóki nie jest pewna, że koleżanka zrozumiała.

Czy taką współpracę my możemy uważać za poświęcenie, czy też tylko dobrą wolę?

O ! Napewno uczennica bawiąca się w profesora, kieruje się nie swoim własnym "widzimi się", nie chęcią wybicia się i imponowania innym, a kieruje się poczuciem obowiązku, poczuciem wrodzonej sobie uczynności, której podstawy dała jej wychowanie, wyniesione jeszcze z Polski od rodziców. Czyż czyn koleżeński ma wbijać w dumę daną osobę, czyż to jest zdobycie się na coś wybitnego ?

Nie ! To samo z siebie wychodzi, to jest rzecz codzienna, spotykana na każdym kroku, ale rzecz, która daje wiele zadowolenia wewnętrznego, a takowe czyż nie jest źródłem szczęścia ? Szczęścia długotrwałego, szczęścia, które znajdujemy w sobie ? I które nam przedstawia wartość życia i jego cel ?

Koleżeństwo rozwija w nas poczucie wartości ludzkiej, bowiem każdy człowiek chce osiągnąć szczęście i do tego dąży przez całe życie, ale często nie jeden nie wie gdzie go szukać i nie wie, że ten skarb nosi w sobie.

Koleżeństwo u nas spotyka się na każdym kroku, czy to na terenie kompanii, czy drużyny, czy też w tym najmniejszym zespole - w pokoiku; podkreślone jest nawet w piosenkach wojskowych : "Kolega koledze, dopomóc zawsze rad serdecznie i szczerze, tak jak bratu brat". Tu właśnie uwydatnia się braterstwo i szczerze, pełne ciepła ustosunkowanie się wzajemne.

Może to nie każdy spostrzeża i może nie jeden powie: ja tu dotychczas spotkałem rzadkie wypadki koleżeństwa. Na taki argument możemy odpowiedzieć śmiało : nie rozumiesz co znaczy być koleżeńskim i nie znasz życia szkoły. Bo gdyby młodsze ochotniczki z S.M.O. nie były koleżeńskie i nawzajem sobie nie dopomagały, nie wytworzyłoby się to ogromne przywiązanie do szkoły, nie widziałybyśmy też żalu opuszczających szkołę, jak również tej ogromnej radości powracających doń dziewczynek. Nie byłoby żytych klas i tej współpracy, która do pewnego stopnia uspołecznia nas. Każda z nas przedstawiałaby typ dziewczynki egoistki, zazdrosnej o lepsze stopnie, o każdą dobrą odpowiedź koleżanki. Każda dbałaby tylko o siebie, wybijałyby się dziewczęta bardzo zdolne, a tym samym obniżyłby się ogólny poziom klasy, w której samopomoc siłą faktu musiałaby nie tylko nie istnieć, ale musiałaby być również źle widziana.

Koleżeńską dziewczynkę nazywamy uczynną, uprzejmą miłą, czyli pozyskuje ona u nas sympatię, a w oczach naszych przedstawia typ dodatni. Ludzie tacy są zazwyczaj lubiani, szanowani i cenieni, a zdobycie miłości i szacunku, powinno być celem każdej kobiety. Nie powinnyśmy

więc cnoty koleżeństwa lekceważyć, a ją rozwijać, pogłębiać i ugruntowywać, gdyż każda z nas napewno chce się wyrobić na kobietę przez wszystkich szanowaną, o postawie wykazującej siłę moralną i hart ducha.

Irka Srokowska
kl. I. lic. hum.

WYTRWAŁOŚĆ i praca

"Pierwsza lekcja - spanie, druga - pobudka, na trzeciej byłoby z pewnością śniadanie, gdyby nie trójkąty prostokątne t. zn. geometria."

I ktoś może nam zarzucić, że się nie uczymy, nie jesteśmy pilne i wreszcie, że się nie chcemy uczyć, wynajdując ku temu różne powody. Przecież powyższe dwie lekcje, są naprawdę trudne i nikt nie wie ile czasu poświęciliśmy w poprzednim dniu podczas nauki własnej i ile trudu włożyliśmy w to, aby spać w czasie ciszy, gdy inne dziewczynki hałasowały lub człapiąc pantoflami łąziły tam i spowrotem. Poza tym, pobudka, Boże, to najstraszniejsza: wyskoczyć z łóżka, ubrać się i umyć i w dodatku znaleźć czas na śniadanie, którego domagają się nasze żołądki, mające i one swoje prawa.

Często słyszymy od starszych, zwłaszcza od naszych profesorów, że nie jesteśmy dość pilne, nie doceniaamy wartości nauki i ciągle nam powtarzają "uczycie się tylko dla siebie". Nikt temu nie przeczy, rozumiemy to doskonale i zdajemy sobie z tego sprawę, że dla nikogo więcej się nie uczymy, jak tylko dla siebie.

Jednak nikt nie może powiedzieć: "W tym roku nie pracujecie", bo naprawdę w IV klasie zabrałyśmy się do nauki bardzo poważnie i staramy się pod każdym względem zadowolnić nie tylko naszych profesorów, ale także i siebie.

Musimy przyznać, że dużo mamy zadowolenia i przyjemności, gdy nauczymy się dobrze lekcji i zasłużymy na pochwałę. Wiemy, że to w dużej mierze zależy od naszej woli, pilności i wytrwałości.

Lecz bywają wypadki, że człek się nie nauczy, lub raptem gdy padnie szybkie pytanie, dozna pewnego za-

mroczenia i tremy i "ani w ząb" nic nie umie,
Czasem, ale to rzadko, aby zmienić porządek
dnia "nawiewa się z budy", np. na węgry. Ale kto tego
nie robił będąc uczniem?

Nie będę mówiła tutaj o naszych zamiarach i dą-
żeniach - każda z nas ma jasny cel wytknięty przed sobą,
ale mówić o tym nie lubimy i nie lubimy, gdy nas się o to
pytają. Słowa nie mogą oddać tego, co czujemy i psują tyl-
ko nasze myśli, które są dobre i piękne.

Wierz nam jednak Komendantko, że zapał nasz do
nauki nie ochłonął i uczyć się pragniemy. A jako hasło
stawiamy sobie dziś - "wytrwałość i praca".

Lala Pawłowska
kl. IV. gimn. ogkksz.

Korespondentki

Jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego sły-
szałyśmy, że w kl. IV. geografii uczyć nas będzie Pani
Komendantka Sychowska. Dowiedziałyśmy się również, że
niektóre lekcje poświęcone będą t.zw. przeglądowi poli-
tycznym. Z niecierpliwością, ciekawością i pewną treścią,
oczekiwałyśmy pierwszej lekcji.

Zaraz na wstępie Pani Komendantka wspomniała
o przeglądach, a miały one wyglądać w ten sposób: cztery
z klasy na ochotnika zbierają z gazet i pism polskich i
zagranicznych wiadomości polityczne, które później na
wyznaczonej lekcji przedstawiają całej klasie. Wszystko
musi być jasne i zrozumiałe ujęte.

Korespondentki rozkładają swą pracę na cztery działy:
1) sprawy polskie, 2) emigracja i wojsko polskie, 3) spra-
wy Europy, 4) Daleki Wschód.

Podział ten, obrany przez pierwsze korespondentki pozos-
tał do końca roku szkolnego niezmienny. Należy przy-
znać, że przeglądy te dały nam bardzo dużo. Czytając ga-
zety, czy jakieś pismo indywidualnie, czasem nie zwróciło
się uwagi na sprawy ważne i ciekawe tak, że jakkolwiek
orientowałyśmy się ogólnie, nie dało to tyle, ile przy-
niósł korzyści taki przegląd, który dawał obraz pewnej

całości. Przeglądy i odpowiednie nasświetlenie faktów, miałyśmy co pewien czas, przeważnie wypadło co miesiąc.

Godziny zwykle szybko mijały. Każda korespondentka miała do dyspozycji 10 minut, trochę czasu zostawało na wywiązującą się dyskusję. Przeglądy były różne, bardziej lub mniej ciekawe i interesujące, raz zawiniły suche fakty, czasem korespondentce nie poszło tak jak chciała, chociaż pragnęła, aby było jak najlepiej. Zresztą wszyscy dobrze wiemy, że w chwili kiedy chcemy wykonać coś najlepiej - nie powiedzie się. Jednak nie zrażamy się tym i mówimy sobie: "włożę jeszcze trochę wysiłku, a będzie dobrze".

Zdaje się iż tak powiedziały nasze pierwsze korespondentki, które ostatni swój przegląd miały przed gronem profesorów tworzących "Ognisko Geograficzne". Przegląd ten, to jeszcze jedno więcej przeżycie szkolne, przeżycie naszej klasy. Przygotowywały się nie tylko korespondentki, przygotowywała się cała klasa - chcieliśmy pracować wspólnie.

Wreszcie nadszedł wyznaczony dzień. Z klasy przeniosłyśmy się do świetlicy, gdyż 30 osób gości i nas 36, nie mogło pomieścić się w klasie. W wielkim napięciu wyczekiwałyśmy gwizdka na początek lekcji.

Ośma wybija, nasi goście zajmują miejsca po jednej stronie sali, my po drugiej, gdzie wiszą 3 mapy, dobrze uprzednio przestudiowane przez "wielkich polityków", jak wyraziła się na jednej z lekcji Pani Komendantka.

Już lekcja się zaczęła: - "Słuchajcie, mówcie śmiało, nie bójcie się, trzymamy figi za was." Słychać szepty, szepty pogrzipające trochę pobladłe za wzruszenia koleżanki.

Pierwsza korespondentka zaczęła referować swój temat - poszło jej dobrze, po klasie rozszedł się szmer zadowolenia. Jeszcze bardziej ucieszyłyśmy się gdy trzem pozostałym poszło lepiej.

Nie jest wcale dziwnym, iż tak wypadło, ponieważ cała klasa mówiła wprost razem z nimi. Każda z koleżanek słuchała uważnie co mówiła stojąca przy mapie Europy czy Afryki. Nie mówiły cztery dziewczynki, a mówiła cała klasa.

Pomimo, że nazewnatrz w życiu codziennym może nie byłyśmy tak zżyte, jednak na lekcji tej dałyśmy wyraz wielkiego zżycia się.

Stanowiliśmy wówczas nie tylko zespół uczennic, ale grupę mocno zżytych dziewcząt. Czuliśmy to same i zdaje się, że czuli to także wszyscy na sali.

Danusia Gorczyńska
kl. I. lic. hum.

ZE WSPOMNIENIEM

Przyszłaś w granatowym, szkolnym mundurku, podbiegłaś szeleszcząc falbanką alpagowego czarnego fartuszka i kręcąc koniec niewielkiego warkocza, zdziwiona patrzyłaś na mnie. Zjawiałaś się nagle, jak myśl jedna radosna i rzewna, zarzuciłaś swą małą osóbką tło wspomnień. Cofnęłaś czas wstecz, odwróciłaś koło dni, sprawiałaś, że znów stałam się rówieśnicą twoją. Odwracamy się od wszystkiego i wchodzimy jak dawniej - trzymając się za ręce w bramę tamtej szkoły.

Tak. "Ochronek 8". Mosiężna tabliczka z prostym napisem: "Gimnazjum i Liceum Hum. i Przyrodn." S. S. de Notre Dame."

Wpadamy ze śmiechem do szerokiej sieni, przeskakujemy trzy schodki i długo "zamaszycie" dzwonimy. Biała Siostra Furtianka cichutko otwiera drzwi do naszego kochanego "Sezamu". Jesteśmy w nim znów. Na wyścigi pędzimy długim, jasnym korzytarzem, a potem schodami po trzy stopnie do góry - na trzecie piętro. Tam moja klasa. Duża, kwadratowa izba, szerokie okno, fornierowane stołeczki. Ruch i gwar, - śmiech rozgłośny, okrzyki powitania. "Jesteście wszystkie dziewczyniska". Jak to dobrze! Różowa Dada i długonoga i długonosa Jasunia, Adela słonisko kochane i zielona drobna Zaba. Tysiąc słów i tysiąc żartów sypie się wokoło. Atmosfera pęcznieje serdecznością. Znów razem. Psst! Dzwonek. Znów lekcje. Przepływają jak sen. Prędko i jakoś wcale nie groźnie i jakoś wcale miło. Na przerwach zjeżdżamy po poręczy na dół i jak kiedyś padamy z jej wysokości pod stopy czcigodnego Księdza Dyrektora. Rozsiadamy się na kaloryferach i gwarzymy wesoło i głośno. Froterowaną, lśniącą posadzkę, przemieniamy siłą naszej bujnej wyobraźni w taflę kolorową i w przepisowych posunięciach, jak na łyżwach, jedziemy na filcowych pantofliskach przez całą długość

korytarza. Fe ! Wstyd. Takie dorosłe panny. Jakżeż dobrze jest żyć. Jak radośnie.

Na dworze wiosna zielona, subtelna, drobniutkie listki brzozy, pachnąca biel magnolii z ogrodu botanicznego.

Po lekcjach pójdziemy całą paką na Wysoki Zamek, aby nasycić się zapachem wilgotnej jeszcze ziemi, aby wziąć w siebie, w swą młodość urok niebieskiego, południowym słońcem rozgrzanego Lwowa. Z wysokości góry widać go świetnie. Zatacza dalekie granice szeroko rozrzuconych domów, bodzie niebo wysokimi wieżami kościołów.

Wiatr rozrzuca włosy, szarpie kołnierzem mundurkowej kurtki, przenika na wskroś. No, ale już dość zabawy ! Mama czeka w domu z obiadem. Będzie barszcz i jakieś tam jeszcze frykasy przepyszne - zresztą ktoby tam sobie tym głowę rąbił - grunt, aby nie spóźnić się przypadkiem. A więc dalej, jazda w dół. Biegiem - która prędzej.

Karkołomne skoki, pęd powietrza wyczerpuje ostatecznie nadmiar młodzieńczej energii. Do tramwaju dochodzimy zmęczone - wtem! ... Mój Boże. Gdzie jesteście wszystkie ? Gdzieś znikła moja granatowa dziewczynko ? Cóż to się stało ?

Wąskie uliczki Nazaretu, kamienne domki arabskie, upał przypryszony pyłem.

Wracam ze szkoły. Nie w granatowym mundurku, nie do domu, gdzie czeka mama, nie ulicami, które znam od dziecka. Wspinam się po nierównych, wyslizganych i brudnych schodach w górę. Roje natrętnych much odpędzam beretem.

Szary mundur ochotniczki nie odcina się od naturalnej szarości kamienia. Już niedaleko. Zakręt i nasz gościnny "Wygwizdów". Nasz dom. Mój i wielu, wielu innych dziewcząt, które odnalazły w nim swą młodość przyćmioną wprawdzie przeżyciami najcięższych lat wojennych, ale bardziej dojrzałą, ale bardziej świadomą swych celów i zadań.

Z granatowego świata wspomnień, schodzę znów w rzeczywisty kraj zielonych mundurów, z atmosfery mojej pierwszej szkoły przechodzę po pomoście przeżyć lat w atmosferę szkoły nowej, zbudowanej na obczyźnie, wysiłkiem i staraniem wielu umysłów i serc polskich.

Jasia Schramm
kl. II. Lic. Pedagog.

JEDZEMY do szkoły

Przebiegam myślami ostatnie lata
Jak na taśmie filmowej przesuują się szybko przed oczami obrazy minionych dni.

Więc najpierw - Warszawa Dom Szkoła.....
Znajome ulice i znajomi ludzie..... Potem - Powstanie,
zakończone długimi miesiącami niewoli..... Uwolnienie
przez wojska amerykańskie i złote dni swobody.....
Droga do Włoch przez cudowne, urzekające pięknością
Apsy, pobyt w II-gim Korpusie Wyjazd do Palestyny
do szkoły

Stale zmiana miejsca pobytu, zmiana otoczenia
Jasne i zrozumiałe, że z każdej zmiany wynika mnóstwo
przeżyć - miłych, wesołych, ciężkich i tragicznych.
Ale o tych smutnych pisać nie będę, bo po co? I tak każdy
ma dość zmartwień! Pozostają więc przeżycia weselsze
i pogodniejsze, do tych niewątpliwie można zaliczyć
historię wyjazdu do S.M.O.

Działo się to nie tak dawno - prawie rok temu,
dokładnie mówiąc w październiku roku ubiegłego.
Jesień włoska była ciepła - błękitna i złota, obfitująca
w wszelkiego rodzaju owoce.
Przebywałam wtedy w obozie przejściowym Macerata i czekałam
na rozpoczęcie roku szkolnego w San-Giorgio.
Tymczasem - o zgrozo!!! Pewnego pięknego dnia, dowiedzieliśmy się,
że wszystkie "nieletnie", tzw. nie mające ukończonych 18-stu lat,
wyjadą do szkoły do Palestyny!!! Rozpacz !! Mnie do tych upragnionych
18-stu lat brakowało więcej, niż rok, nie było więc żadnego ratunku -
sprawa wyjazdu była przesądzona. Nic nie pomogły fontanny Jez,
wylewane w kancelarii Komendantki.
Data wyjazdu zbliżała się.

Nadszedł wreszcie 8-my listopad.

Ranek był niewyraźny i zamglony, jak nasze oczy, które uporczywie się "pociły". Sama już nie wiem dlaczego - może z żalu za tymi kochanymi, beztroskimi dniami, spędzonymi we Włoszech, a może i - za kimś.....
Różnie się przecież na świecie zdarza!!!
Nie zmienia to jednak faktu, że zapakowali nas w auta

i żegnane serdecznie przez pozostające koleżanki, ruszyliśmy do Ankony.

Na niebie zbierały się chmury, wiatr dmuchał nieprzyjemnie, a wreszcie rozpadał się drobny, siekający deszcz. Humory - straszne!

W Ankonie czekały na dworcu nasze Mamy i siostry. Pożegnania są zawsze najgorsze - szczęśliwa więc byłam, gdy wreszcie skończyły się i - pociąg ruszył.

Przez całe 24 godziny jechałyśmy do Taranto. Pociąg wlokł się ospale wzdłuż wybrzeża morskiego, potem przez niekończące się gaje pomarańczowe, zatrzymywał na licznych stacjach i prychał ze złości kłębami pary. Nie miał się wprowadzić o co złościć, powinien być raczej szczęśliwy, że wiezie tak cenny i miły ładunek, jak my!

Noc w wagonie była makabryczna! Splątana mieszanina rąk, nóg, głów, paczek!!

Zmęczone i niewyspane dobrnęłyśmy wreszcie do Taranto. Po dwudniowym pobycie w obozie przejściowym, 13-stego listopada wsiadłyśmy na okręt. Był wielki, leniawy i przytłaczający swoim ogromem.

Podróż okrętowa była nadzwyczaj miła. Pierwszorządne warunki, sympatyczne otoczenie.

Humory też wybitnie się poprawiły i w pogodniejszym już znacznym nastroju dopłynęłyśmy do Port - Saidu. Szeroko otwartymi oczami patrzyłyśmy na brunatny, wrzeszczący tłum, który obskoczył nas, gdy wyszłyśmy na ląd. Każdy zachwalał swoje towary, wołał o "bakszysz", ofiarowywał swoje usługi.

Żywe uczucia ogarnęły nas, gdy wsiadłyśmy znowu do pociągu w drodze do Quassasin'u. Powracający smutek jednak szybko rozproszyła przyjacielska i życzliwa atmosfera Quassasin'u. Pierwszy raz mieszkaliśmy w namiotach!!! Leby kto wiedział, jak cieszyliśmy się z tego!!

Trochę gorzej było wprowadzić w czasie hamsinu, bo każda część namiotu fruwała osobno, a wiatr, o którym wiadomo, że jest z gruntu źle wychowany, całą naszą garderobę porozrzucił po terenie obozu.

Źkoda było stamtąd wyjeżdżać! Znowu wyjeżdżać! Stale to samo. Z wspomnieniem wielkiego Kairu, piramid, sfinksa i dotychczasowego bezprzykładnego lenistwa - ruszyłyśmy dalej.

W południe byłyśmy już w Haifie. Jeszcze krótka droga autem, potem wzgórza Nazaretu i - szkoła! Labirynt nieznanymi, klasztornymi korytarzami, jakieś

chody, mnóstwo drzwi, coraz to nowe twarze dziewcząt... Byłam oszołomiona, zmęczona i przytomniej zaczęłam się rozglądać dopiero na górze, w przydzielonej nam sali, siedząc na łóżku wśród porzuconych w nieładzie bagaży. Na sali było tyle dziewcząt..... Starsze i młodsze, wysokie i niskie, blondynki, szatynki - najróżniejsze pod względem wyglądu, ale wszystkie miłe i jednakowo serdeczne.

Po pewnym czasie sala zaczęła pustoszeć. Było już dość późno i zostało tylko parę naszych przyszłych klasowych koleżanek. Rozmawiałymy o wakacjach i o tutejszym życiu, gdy nagle wszystkie powstały na widok wchodzącej osoby. Pomyślałam niechętnie wtedy: Czy w tej szkole jest zwyczaj powstawania, gdy wchodzi starsza koleżanka? Straszny zwyczaj!!" Podniosłam się jednak leniwie iO, Boże!

Przecież to nie kto inny tylko p.Komendantka!!

"Komendantka"! To słowo brzmi groźnie, nieprzystępnie i tak oficjalnie! Ale nie wiem doprawdy, czy Ktoś, kto ma najlepszy, najładniejszy uśmiech, może być groźny, i nieprzystępny?! Nie! Napewno nie!

Przekonałam się o tym jeszcze tego samego wieczoru. Rozmowa nasza była niewymuszona, szczerą i bez wątplenia zostawiła ślad na zawsze.

Zrobiło się jakoś lepiej, mniej smutno i obco. Z większą wiarą i nadzieją szliśmy w nieznaną przyszłość, skoro opromieniona została dobrym, jasnym uśmiechem p.Komendantki.

.....

I przecież istotnie źle nie było. Nauczyłam się wiele rzeczy i w tym roku zdam maturę. Przestaną wtedy być biedną czterysta-milową młodszą ochotniczką wiedzącą wielce "pracowity" i bogobojny tryb życia w świętym Nazarecie. Zapomnę o klasówkach, repetycjach, różnego rodzaju szkolne zasnują się mgłą niepamięci, zagubią w tłumie nowych wrażeń, nowych przeżyć.

Ale jednego jestem pewna - że dobry, jasny uśmiech p.Komendantki pójdzie ze mną w świat i będzie zawsze pomagał - tak jak wtedy, - pierwszego dnia mego pobytu w tej szkole.

Irka R a d w a Ń s k a
kl.II.lic.Hum.

10 DZIEŃ podchorążego

Zaczęło się tak, jak wszystko w szkole na pauzie. Krzyk, wrzask, trochę marzeń, nerwowy szept powtarzanej lekcji, urywek piosenki, zamazany rysunek na tablicy i pomysł: święto szkoły uczczone Dniem Podchorążego.

Podchwycony w jednej sekundzie przez "rozpalone" głowy, biegnie lotem błyskawicy po całym gmachu, spada jak grom na kancelarie, wreszcie dochodzi do gabinetu Pani Komendantki. I tam staje w długiej kolejce spraw, interesów, aż wreszcie dojrzany przez niebieskie oczy, skłoni się zamaszycie, (może wywoła uśmiech), przedstawi się pięknie i wraca znów w szalonym, zawrotnym tempie do nas.

Nasz samorząd uczniowski długo i szeroko rozpatruje wnioski, potem organizuje, wprowadzając projekt w czyn. Nasz samorząd - to mały parlament szkolny, z prezydentem, stojącym na czele, który ma prawo "veta absolutnego" - Panią Komendantką.

I właśnie ta mała miniaturka parlamentu daje nam olbrzymią swobodę działania, przygotowuje nas do życia społecznego, życia obywatelskiego, uczy nas samodzielności, odpowiedzialności, podporządkowania jednostki gromadzie.

Tak się narodził i zrealizował nasz pomysł, jak obchodzić rocznicę powstania naszej szkoły.

Dzień Podchorążego !!

Wykażemy naszą sprawność w dziedzinie organizacji i umiejętności pracy!

Wesoło jest, gwarnie, tak jakoś radośnie. Myśli nasze będą zupełnie odmiennymi szlakami, niż wczoraj i jutro. Nie zatrzymują się przy logarytmach i prawach Newton'a, nie omijają chytrze dat wypraw krzyżowych, czy wojen światowych.

Klasy puste, książki pozamykane, zeszyty w kącie i nastrój taki świąteczny.

Zmiana, zmiana..... raduje się każda młodsza ochotniczka. Została przerwana wstęga dni jednostajnych,

podobnych do siebie jak bliźnięta.

Dzisiaj przejęliśmy wszystkie obowiązki kadry (naturalnie w dostępnych dziedzinach), chcemy poznać i zrozumieć wszelkie trudy i znoje dnia powszedniego, związane z zajęciami w Szkole.

I może coś jeszcze ... Chcemy pokazać, że potrafimy być nie tylko uczennicami i do tego w internacie, lecz także możemy spełniać obowiązki w innym zakresie niż nauka.

" Razem młodzi przyjaciele: ". Wszystkie ramię w ramię pracujemy. Siedzimy w biurach, kiwając się w skupieniu nad raportami i rachunkami, stukamy zamaszycie na maszynach do pisania, nudzimy się brakiem fonogramów jak rutynowane telefonistki. Uwijamy się zżersko w kuchni, zaglądamy w usmolone sadzą kotły, wahamy się, czy przesolić czy niedosolić, martwimy się, że już " 12-ta godzina ", a tu " zatrząsienie " roboty, a wiara szkolna gładna jak wilki.

" Ach, jak ciężka jest praca przy konserwacji wo-
zu " - wzdychają " drajwerki " w niesamowicie brudnych i nieskończone wielkich kombinezonach.

A kadra nasza chodzi, lustruje, i przygląda się pracomałoletnich i niedoświadczonych ". Niekiedy wskazują nam błędy, niedociągnięcia, które my skwapliwie naprawiamy.

Teraz zjawia się Pani Komendantka. Prostujemy się na baczność, odpowiadamy uśmiechem na uśmiech, i wstępuje w nas otucha i radość. I dalej praca się toczy w szybkim tempie do wieczornych godzin.

Wieczór. Zegar na wieży kościelnej wybija 9 razy, Wszystkie znajdujemy się w swoich " apartamentach " strudzone, zmęczone, ale szczęśliwe i roześmiane. Opowiadamy każda po kolei, czasami wszystkie razem, dzielimy się wrażeniami, a potem wywiązują się dyskusje: " Rola samorządu, jako czynnika wychowawczego w szkole ", " " Czy organizacja jest podstawą pracy " i t.d.

Wreszcie gmach szkolny pogrąża się w ciszy po dniu pełnym gwaru i hałasu.

A nazajutrz na zbiórce stoimy w szeregach i czekamy niecierpliwie co nam powie Pani Dyrektorka.

" Dziewczynki ! Jestem z was dumna. Widzę, że potrafiłyście dokonać i osiągnąć to, co zdobyć zamierzacie. Wykazałyście sprawność, inicjatywę i karność ".

Wszystkie ręce w jednej chwili chcą podrzucić futerki i berety w górę - ale nie wypada - trudno....
zbiórka...

Wandzia M a t u s z a k
kl.II.lie.Hum.



NARESZNIE JUŻ

moje

5.IX.1942 połączyły się oddziały Szkoły Junaczek z Guzaru, Kitabu, Wrewska w jedną całość.

(z Kroniki).

" Nareszcie już moje ! " - Nie wiem, do dziś jeszcze nie wiem czy to te trzy, tak ciepłym tonem wypowiedziane słowa, czy towarzyszący im uśmiech sprawiły, że rozrzucone po przewiewnych z mat skleconych namiotach dziewczęta z Kitabu, Guzaru, Karkin - Batasz i Wrewska znalazły się w jednej szkole. Odrazu. Bez uczucia obcości i niechęci. Jakby długie miesiące były razem. Trzy słowa i uśmiech. I ufność, powstała niewiadomo jak, niewiadomo kiedy, ufność, która zdejmowała z nas gryzący ciężar zmartwień i niepokoju o przyszłość, o to, czy będziemy Junaczkami, czy rozrzucą nas po sierocińcach, obozach cywilnych i odbiorą mundur wojskowy.....

" Jesteśmy szkołą wojskową ! Jedziemy z wojskiem ". Już wówczas wiedziałyśmy ile niepewnych dni, niepokonanych zda się przeszkód, ile ciężkich trosk, przyćmiewających znany już dobrze uśmiech, kosztował ten okrzyk.

Pierwszy od opuszczenia granic " raj " okrzyk. Szalał radością w korytarzach, tupał podkutym mocno " bombowcem " po schodach, i nie mogąc swego szczęścia pomieścić w krępych murach budynku, wybuchał całą siłą swobody na mustrze. Szkoła ! Szkoła wojskowa !

I tak się jakoś stało, że ufność nasza związana z poznanym w Pahlevi uśmiechem stała się nieodłącznym druhem szkoły. Nawet w najbardziej ciężkich, najbardziej smutnych chwilach....

[Do Palestyny przyjechała Szkoła Junaczek w trzech rzutach, w różnych odstępach czasu. (z kroniki).]

.....

Gedera była miła, ciągnące się wzdłuż drogi paradesy urocze, niebo w swym czystym błękitie sliczne. Ale było nam źle. Bardzo źle. Obóz P.S.K. patrzył na nasze shorty, ciężkie wojskowe buty i wilcze apetyty

co najmniej niemiłe zdziwiony. Brakowało nam czegoś....
Dlatego może zmieniliśmy się w oczeki-
wanie, dziecinne niecierpliwe oczekiwanie na....

pozostały jeszcze w drodze uśmiech.
Przyjechał! W pokoju pełno zielonych gałęzi z dojrz-
ałymi już pomarańczami.

Mały czworobok drży. Ciąpek, nasz kochany teherański
Ciąpek wysunął z radości różowy języczek i kręci młyn-
ca swym małym ogonkiem.

W tym dniu dopiero Gedera poznała, jak głośne być potra-
fimy. Rozkrzyczałyśmy się radośnie, radośnie, a może
nawet beztrosko.

Wkrótce przyjechała reszta dziewcząt wioząc parę zagra-
bionych na pustyni profeserek. Do nas. Do szkoły.

Potem zaczęły się zjawiać stoły, ławki, tak dawno nie-
widziane tablice i książki! Przywożono je w małych
paczuszkach związanych szpagatem. Pachniały jeszcze dru-
karnią.

Zaczął się powoli kształtować obraz szkoły, a z
nim ciepłe uczucie, że ktoś się o nas troszczy, że pra-
cuje głęboko, serdecznie

Rehowoth był pierwszym obozem należą-
cym do nas. Niepodzielnie do nas. Razem z wygodnymi ba-
rakami, świetlicą, plażem musztry, kamiennymi uliczkami
i małym, wtulonym w rozkwitły krzak mimozy pokoikiem.
Nie dochodziło doń słońce, tylko drobniutkie, sypiące
szły pył puszyste kulki ocierały się o okno i czerwone,
pełne maki stały na komodzie. Wśród nich gałązka
pokrzywy

Tu, w tym niewielkim, odgrodzonym od miasta żywopełtem
obozie, zaczęła szkoła tętnić życiem i radością swobody.
Zdawało się, że miałyśmy wszystko, a wciąż nowe, nieocze-
kiwane rzeczy przybywały. Często drobne, prawie niezna-
czne, tym jednak droższe i bliższe, tym wymowniej wyra-
żające troskliwość.

I odtąd było nam dobrze wszędzie. W Quastinie, gdzie
skończyliśmy pierwszy rok szkolny, w Jeninie, sypiącym
z porozrzucanych po obozie drzew czerwone pociski pie-
przu i w Nazarecie. Dobrze, najlepiej. Miałyśmy nie tyl-
ko naukę, miałyśmy przecudowne wycieczki i wciąż inne,
wciąż świeże wakacje. W błękitnej Tyberiadzie, róż-
krzyczanym wolnością Athlicie, Jerozolimie i w najmil-
szym, najszlachetniejszym Libanie. Cudowne tygodnie
pachnące szpilkami starych cedrów, mokrym mchem w gro-
cie stalaktytowej i dojrzwałymi jabłkami. Czy to dziwne,

że się wracało potem do Nazarethu z wrywającym się głośno okrzykiem: "moją szkołą jesteś!".

Czy to dziwne, że w majowy dzień święta S.M.C., serca tłukły nam nie trema, nie obawą, ale wzruszeniem, widząc uśmiech promienniejszy niż zwykle. -

Pani Komendantko, czy potrafimy na Twój pierwszy, tak bardzo serdeczny i tak bardzo nam wówczas potrzebny uśmiech w Pahlevi odpowiedzieć równie pogodnym, równie kochającym.....

Luba K l a u s n e r
kl.II:lic.Hum.

JAK byłam adiutancikiem

Siedziałam w Pahlevi pod namiotem i myślałam o tym czemu ja jedynie mam cywilną sukienkę, gdy tymczasem tylko troszeczkę starsze ode mnie dziewczynki miały już mundurki wojskowe. I jak tu chodzić na modlitwę wieczorną, chociaż się tak bardzo chce posłuchać co p. Komendantka dziewczynkom mówi na dobranoc. więc też jak mi się p. Komendantka zapytała - Ewuniu, nie chodzisz na modlitwę? - odpowiedziałam "Nie, bo jestem w sukience". Nie wiem czemu się wtedy p. Komendantka długo śmiała, ale przyrzekła mi, że jutro będzie mundur z dużej koszuli dla wielkiego żołnierza.

Byłam bardzo dumna z munduru wojskowego i kapelusza australijskiego. Pewnie bardzo wojskowo wyglądałam, bo p. Komendantka mianowała mnie swoim adiutancikiem. Ani na krok nie opuszczałam p. Komendantki a najbardziej się cieszyłam, że mogę stać przy p. Komendantce na modlitwie.

Dużo kłopotu miała ze mną p. Komendantka w Teheranie, kiedy pomimo mego wojskowego munduru chciano mnie zabrać do szkoły cywilnej, ja jednak powiedziałam, że jestem żołnierzem, a nawet adiutantem p. Komendantki i chcę jechać dalej ze Szkołą. Na granicy ze zdziwieniem mnie oglądano ale wytłumaczyłam im po polsku, żeby nie marudzili, bo ja chcę już jechać - naczelnik odrazu zrozumiał bo machnął prędko ręką i przepuścił przez granicę.

Dzisiaj już nie jestem adiutancikiem tylko najmłodszą uczennicą.

Ewunia M u l l e r

JAKO DOM

Było wtedy dużo krzyku i gwaru, opowiadań i zapytań. Do Szkoły Młodszych Ochotniczek przyjechały nowe uczennice - Armia Krajowa.

- Dostałyśmy pokoiki, łóżka i musiałyśmy się urządzić. Biegania i krzątania było bez końca, aż wreszcie wszystko gotowe. Zaczął się szkolny tryb życia. Ranne wstawania, dzwonki, zbiórki, rozkazy..... Jakże to przykre, nudne. W domu miałyśmy inne życie.

Lecz ile razy za oknami uganiał wicher, padał deszcz, zimno było i ciemno, - czułyśmy się w szkole dobrze. W pokoiku internatowym było tak przytulnie, jasno, ciepło. Przy tym tyle kochanych koleżanek. Tak przyjemnie było wtedy uczyć się i tak jakos dziwnie łatwo wszystko wchodziło do głowy.

A gdy wracało się po lekcjach, na łóżku leżały już listy. Dobra ręka tam je położyła. I czytało się z rozpromienioną twarzą lub łzami w oczach kochane słowa od najbliższych; wrażeniami dzieliło się z koleżankami, często z wychowawcami. A potem, szybko na obiad, dobrze zapracowany po bitych 6 lekcjach. Zgodniały biegłyśmy do jadalni, pochłaniałyśmy niesamowite ilości jedzenia, i zadowolone i roześmiane wracałyśmy do pokoju.

Odoczynek był najmiłszy. Siedziałyśmy na łóżkach - opowiadając sobie wspomnienia: jak to Krysia jeńców prowadziła pod broń, jak Wandzia była w partyzantce leśnej, a jak to w domu dawniej było

" Tak jakos dziwnie mi dzisiaj, źle i dobrze równocześnie" - mówi jedna.

" Bo wiecie, tak u nas po domowemu ".

Poszłyśmy wreszcie do wniosku, że S.M.O., to przecież nasz dom! Pewnie, że rodzice, rodzeństwo daleko, i tego nam nie zastąpić nie może. Czy jednak mało nam szkoła daje? A popołudnia sobotnie, jakie miłe. Myśl swobodna, nie zaprzęgnięta nauką. Wszystko więc szybko poprać, wyprasować, posprzątać pod łóżkami, bo i te buty nareszcie wyczyszczyć!!!

A potem - do świetlicy. Miła muzyka, a my czytamy, piszemy listy iznowu dziwnie przyjemnie na duszy,

znowu myśl: zupełnie tak jak w domu. Jak to dobrze, że jest ten cichy kąt i świetlica i biblioteka i ktoś się nami opiekuje i troszczy o nas.

A gdy na wakacje wyjechaliśmy zdawało się nam, że S.M.O. może nas wcale nie obchodzić i byliśmy nawet zadowolone, że nie będziemy widzieć murów szkolnych.

Tymczasem po powrocie nie mogliśmy nadążyć, by zaglądnąć we wszystkie kąty, korytki i do wszystkich pokoi. Szczęśliwe byliśmy, że znowu oglądamy drogie nam twarze, kochane mury szkolne, i jeszcze raz stwierdziliśmy, że to nasz dom.

Każda z nas w większym czy mniejszym stopniu odczuwa to samo, że jednak S.M.O. jest nam bliska i droga, zwłaszcza dziś, gdy stajemy przed zagadką jutra, gdy nie wiemy, czy ten nasz dom nie zostanie rozbity, coraz bardziej oceniamy jego wartość.

Dobrze nam tu. Kończą się dni szkoły w Nazarecie, my jednak nigdy nie zapomnimy miesięcy tu spędzonych i zawsze będziemy wspominać, że S.M.O. była naszym drogim, kochanym, przytulnym domem.

Marysia K o c z w a r a
kl.II.lit.hum.

NASZE odprawy

Wśród wielu dziewcząt, jakie się znajdują w SMO. widzimy dość liczną grupkę z różnymi odznakami na prawym ramieniu. Jedne mają dwie belki, inne trzy, a tylko parę "v". Co to jest? Czy dla upiększenia rękawa koszulki, czy swetra? Nie. W tym jest cel - cel, który ma duże i głębokie znaczenie.

Dziewczynki, które noszą te odznaki to "szarże" młodzieżowe: drużynowe, starsze plutonu i kompanii. Wszystkie są w wieku swoich koleżanek, są z nimi zżyte, doskonale się rozumieją. Dlatego prędzej znajdą drogę podejścia do nich. Uwagę koleżanki przyjmuje się łatwiej niż osoby dorosłej, tym bardziej, jeżeli się należy do tej samej zwartej grupy. I to jest jednym z powodów, dla których wybrano "szarże".

Ale to nie jest wszystko. Dziewczynka, która nosi odznakę powinna być przykładem dla swego oddziału. Jest przecież tą, która prowadzi swój oddział, która go reprezentuje i jest jego wiernym odbiciem. Czyż więc ona może postępować wbrew przepisom i rozkazom? Nie. Dlatego też kształci swój charakter, stara się postępować dobrze i tym właśnie wywiera wpływ na swoje najbliższe koleżanki.

"Szarże" swoim przykładem pobudzają dziewczęta ze swego oddziału do pracy nad swoim charakterem i zastanawiają się nad tym: "Jak powinniśmy postępować, by było dobrze?" Są więc one tym motorem, który porusza ogół dziewcząt.

Ale i one same potrzebują kogoś, ktoby nimi kierował. W tym celu zarządzone są odprawy z Panią Komendantką. - O czym mówi się na tych odprawach? - Porusza się sprawy bieżące, wysuwa wnioski, prośby, życzenia, mówi się o bolączkach drużyny, plutonu czy kompanii i t.p. To nie jest jednak główną myślą odpraw.

Jak już wyżej wspomniałam, "szarże" młodzieżowe potrzebują wskazania im kierunku pracy, podsuwania zagadnień do przemyślenia, pomocy w pracy nad własnym charakterem. To wszystko daje nam Pani Komendantka. Stara się nam wytłumaczyć szereg pytań i zagadnień, z którymi samej ciężko jest się uporać lub znaleźć rozwiązanie. Szczególnie młodzież znajduje się w takich sytuacjach. Np. weźmy sprawę religii i etyki katolickiej - jakże często sprawia nam ona wiele trudności, jakże często wychodzimy z założenia: "Nie mogę się modlić, więc nie pójdę do kościoła". Komendantka tłumaczy nam to wszystko, nie w postaci suchej i moralizatorskiej przemowy - nie, stara się nas przekonać, że takie a takie postępowanie jest właśnie dobre. Wypowiada swoje własne zdanie, z którym my możemy się nie zgadzać i każda z dziewcząt szczerze i otwarcie mówi, że ona inaczej myśli.

I tu występuje cała zaleta tych odpraw - nie jesteśmy niczym krępowane, swoje zdanie możemy zawsze wypowiedzieć. Wprawdzie jeszcze nie jest tak, jak powinno być - za małe jest życie międzyszkolne i to może wpływa na to, że dziewczęta są trochę nieśmiałe i boją się mówić. A może je trochę krępuje osoba Pani Komendantki? To chyba raczej nie., gdyż przez te odprawy Pani Komendantka staje się nam bliższa i droższa, nabieramy coraz większego zaufania do Niej i po tych kilku odprawach wiemy, że możemy Jej wszystko powiedzieć.

Teraz wysuwa się jeszcze jedno pytanie:
"Co nam dają odprawy?" - Wysuwają kierunek pracy, pobudzają nas do włożenia większego wysiłku w pracę nad sobą, dają nam wskazówki do właściwego postępowania, do zastanawiania się nad różnymi zagadnieniami. Stajemy się lepszymi i dlatego z niecierpliwością wyczekujemy każdej środy.

Kryśia Kryśicka
kl. II. Lic. Hum.

WUNGARY ^{Prima} Aprilisowe

Gdy zastanawiam się nad sobą najczęściej dochodzę do wniosku, że już jestem bardzo stara i wy-daje mi się, że dzwigam na swych barkach wiekowy ciężar. Nic dziwnego, bo gdy sięgnę pamięcią wstecz z trudem znajduję wspomnienie tchnące młodością i wiosną.

Pamiętam, że w mojej "karierze" szkolnej był taki cudowny dzień, kiedy cała szkoła rozśpiewana wyruszyła na węgry. Było to na Prima Aprilis. Wbrew utartemu zwyczajowi nie pozostałyśmy w klasach, aby płatać figle szkolne, lecz wyruszyłyśmy na podbój słonecznego świata.

Naszą hultajską trójkę poniosło aż nad jezioro Tyberiadzkie. Kąpiel w jeziorze była cudna, ale nieco lodowata, nikt wtedy się jeszcze nie kąpał, dlatego spoglądano na nas z niekłamany żdziwieniem, z politowaniem kiwano głowami i jak zwykle zrzędzono: Ach, ta młodzież! A młodzież najcudowniejszą pływała, wiosłowała, śpiewała i cieszyła się życiem.

Potem udałyśmy się na wyprawę po mimozy, które były jakgdyby symbolem słońca i radości. Cudne, osypujące się złocistym pyłem, tchnęły poezją i pierwszą miłością!

Z naręczami mimozy, upojone powietrzem i słońcem, wróciłyśmy do S.M.O.

Zosia Matuszek
kl. II. Lic. Hum.

UŚMIECH

Mieć słońca blasku pełne oczy,
I kwiatów pełne ręce,
Uśmiech, którego cień nie mroczy,
I czegoś jeszcze więcej ?

I iść przed siebie hen, o świecie,
Gdy rośnie drzy na kwiatkach
I przejść przez krótkie nasze życie
Tak, jak w młodości latach.

WIOSNA

To było śmieszne,
Ty i ja.
A w sumie lat
trzydzieści dwa.

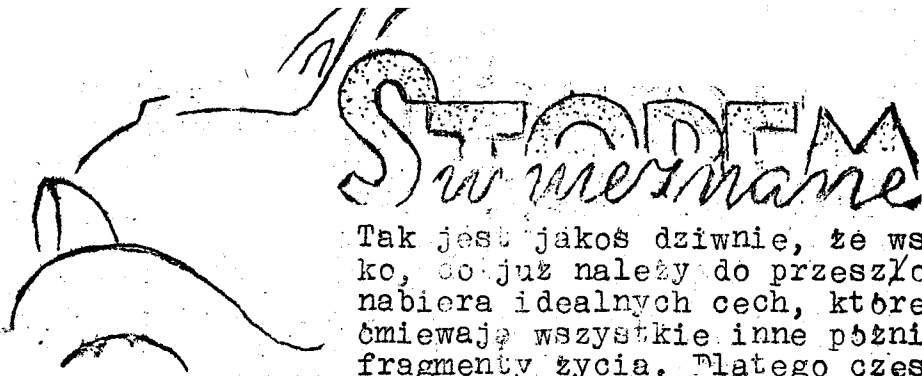
Wokoło wiosna,
Świeża zielen
Dziwnie radosna
do nóg się ściela.

Kwiaty na łące
I dwa rowery,
I oczy leniwe,
Uśmiech szczery.

Jakieś pytanie
nagle rzucone,
zaskapanie -
Potem strwożone
Słowa

Ale to śmieszne,
Ty i ja
A w sumie lat
trzydzieści dwa.

Teresa Marszałek
kl.fil.lic.hum.



Tak jest jakoś dziwnie, że wszystko, co już należy do przeszłości nabiera idealnych cech, które przyciemniają wszystkie inne późniejsze fragmenty życia. Dlatego często

zwykle, prawie że codzienne przeżycia staje się pięknym i nadzwyczajnym,

Była niedziela 1944 r i jak zwykle wybrałyśmy się nad morze. Ja i moja koleżanka. Był nie tylko piękny, letni dzień, ale upał co się wowie i zdaje się, że resztki jakiegoś hamsinu.

Wybrałyśmy się w podróż - w nieznane. A tym nieznanym był Atlit, miejsce naszego szkolnego obozu wakacyjnego. Jakaś zatoka, podobno, jakiś tajemniczy zamek Krzyżowców. Jednym słowem pierwiastka emocjonującego było pod dostatkiem (a właśnie niedawno przerabialiśmy nieszczęsne pierwiastki!) Srogie Fata i Hermes, bog podróżnych dał się przebłagać, zsyłając nam złoty rydwan bogów w postaci zgrabnej piętnastki. Jedziemy A po drodze morze wyjątkowo zielone, wysrebrzone blaskiem słońca, z ukazującymi się gdzie niegdzie, jakby dla przestrogi złośliwymi czubami bałwanów. Na polach po lewej stronie pachnie zbożem, żniwami, polskim sierpniem, a zato słońce po azjatycku praży.

Mijamy cysterne i przez jakieś szyny, wertepy, siatki, rzucone na piach - dojeżdżamy do obozu.

Trzeba było ominąć, posługując się węchem, komendę. (gdyż byłyśmy nieprzewidzianymi gośćmi obozu) tracić, posługując się tymże samym węchem, do jałalni na obiad, wygrzebać się z obozowego piachu i dobrać do łagodnych fluktów zatoki.

Tu dopiero bogi olimpijskie użyczyły nam swej łaski: albowiem morze było, jako nektar, piasek, jako złoto, a jakby drogie kamienie muszle, rozsypane po skalistym wybrzeżu cypla zatoki. Z dala nęcił nas tajemniczy zamek i ruiny, w których spoczywa trud pokoleń rzymskich, krzyżowych i arabskich, lecz na zwiedzenie go nie było czasu.

Droga powrotna doprowadziła nas, pieszych pielgrzymów do kolei. Tu znowu Fata zlitowała się nad naszym trudem, bo, głośnym trąbieniem ogłaszając światu swe istnienie, nadjechała trzy-tonowka i wrótce została szturmem zdobyta wśród sasko-łowiańskich wykrzykników.

I znowu na drodze ku domowym pieleszom podrzuciła nas ciężarówka na swych resorach, po znanych wybojach i zakrętach, wiodąc wśród słońca i nieba, po ziemi pachnącej polami, młodością i weselem, po ziemi pięknej, jak niebo, i uśmiechniętej radośnie.

Czuliśmy się lekkie, jak rwący z szybkością 70 mil jeep, a silne, jakbyśmy mogły Górę Strącenia zrównać z doliną Ezdraelonu siłą młodości, siłą naszych serc!

I z tym wszystkim wróciliśmy do szkoły. Do tej samej szkoły, w której teraz jestem, tylko, że o dwie klasy wyżej i zamiast pierwiastków, zmorą stały się cosinusy. Nic się nie zmieniło: te same szalone wypadki, radość ze spotkanego na drodze jeep'a, ze słońca i z morza, ze świata i z ludzi. Czy to tak wiecznie będzie? Czy ja nigdy nie zmądrzeję? Czy zawsze potrafię się cieszyć, - innym radości udzielać - tworzyć radość życia?

Marja L a s o c k a
II.kl.lic.hum.

BEZ PANIK... BEZ: IOKOK RAFUNKOWYCH

Piękna ątliska noc - namiot w piasku i dwa cienie w kostjumach kąpielowych. " Skurcz się grubasie - przecież nas zobaczą ". " Tak - tobie to dobrze mówić, bo piegi ci przy tym nie przeszkadzają ".

Ruszamy cicho. Towarzyszka moja na czworakach zręcznie omija wszelkie ostre trawy i obrzydliwe kraby, ja na brzuchu muszę czołgać się po tym wszystkim. Taki jest los grubasa !

Szczęśliwe, rozemocjonowane do najwyższego stopnia, zatrzymałyśmy się przy ostatnim krzaku. Przed nami rozciągał się kawałek gołej, zupełnie nieporosłej plaży. Zrozpaczonym wzrokiem mierzyłyśmy tę przestrzeń, która

w oczach naszych urosła do wielkości Sahary, a od przebycia której zależał los wyprawy.

Krótką naradą wojenną, a potem śmiało, jak do szturmów: biegiem - na przełaj! Chlusnięcie wody. Hurra i udało się... Lecz okrzyk zamarł na naszych ustach, gdyż niespodziewanie ukazały się na brzegu dwie "flegmy angielskie". Flegmy wartownicze służbowo zaczęły okręcać głowy wzdłuż osi kręgosłupów, badając najpierw teren obozu, a później zatokę. Nic nie zauważyli. Po chwili ruszyli na dalsze patrolowanie, a my popłynęliśmy dalej.

Była noc, ciemne niebo, ciemna woda, i do tego zrobiło się jeszcze cicho - strasznie głupia sytuacja... Księżyc tak jakoś dziwnie, ale precudnie odbijał się w wodzie i tworzył na niej jasne plamy. Było tak ślicznie i tajemniczo, że my nawet ulegliśmy temu nastrojowi. (Widocznie umiałyśmy tak zachęcająco opisać urok tej wyprawy księżycowej, że zaraz następnej nocy cały nasz namiot wybrał się do kąpieli o północy, no i mówiąc na marginesie, nie miał szczęścia, gdyż wpadł na Panią Dyrektorkę).

Już byliśmy niedaleko zamku, gdy nagle towarzyska moja, wpadłszy "nos w nos" w zwoje wodorostów zawyła głosem syreny alarmowej. Na nieszczęście akurat w tym samym momencie jakaś meduza otarła się o mnie, poczułam "masło w kolanach", dreszcz w łydkach i lotem błyskawicy wylądowałam na brzegu. Obydwie miałyśmy dosyć nocnych kąpieli.

Ruiny wyglądały dziko, tajemniczo, trochę straszno - zdecydowałyśmy się jednak wejść. Kilka długich, kilkanaście krótkich kroków i już byliśmy przy bramie. Pierwsza, druga sala - nic. Wtem... zaczęło się rozwidniać, więc musiałyśmy opuścić zamek, żalując serdecznie, że w samych ruinach nie doznałyśmy żadnych silniejszych wrażeń.

Wacia Marcolla
kl.I.lic.hum.

OBOZY WAKACYJNE



W drodze do morza



Na obozie w Barbarze z Dowódcą szkół.



Ruiny zamku Krzyżowców



U ruin zamku



Stary port wojenny



Współczesna Cezarea

MIGAWKI SNO

Nie wiem, co za szatańsko złośliwy człowiek wymyślił, że do szkoły ma się właśnie chodzić na godzinę 8.00 rano, czy nie lepiej byłoby np. na 10-tą?

Ale trudno. Człowiek, który wymyślił samolot i radio i bombę atomową, - wymyślił też i ranną pobudkę. Śpisz sobie człowieku słodko i snują ci się rojenia, że właśnie siedzisz u Blickle'go na Krakowskim Przedmieściu i zajadasz ciastka.

Drrrrr ... Poczynają jazgotać złośliwie wszystkie dzwonki na wszystkich piętrach. Bam... odzwania uroczyście, jak pacierz - zegar na wieży kościelnej, swój pierwszy kwadrans po 6-tej.

Ranek jest zawsze taki sam. Czasami tylko ładniej wschodzi słońce, a czasami brzydziej i czasami jest rano woda, a czasami jej nie ma. Ale zawsze tak samo zapraszają się wszystkie nawzajem do wstawania, by wreszcie stwierdzić, że "właściwie, dlaczego ty sama nie wstajesz?"

Jeśli to jest piątek, to w myśl staropolskiego przysłowia, cały pokój jest naładowany dynamitem i milczy ponuro, jak na repetycji z historii. Humory: -273°, czyli zero absolutne, moralne i w ogóle.

Biada wtedy tej, która ma właśnie dyżur w pokoju! Każda uważa sobie za święty obowiązek powiedzieć ze zjadliwą słodyczą: "Moja droga, pamiętasz, że dziś sprzątasz?"

Ale to tylko w piątek. I na któryś tam dzień hamsinu; wtedy Arabowi wolno żonę zabić, to czemu nam nie wolno mieć złego humoru, prawda?

Znowu dzwonek, już nie taki złośliwy, bo mniej śpiący. Wychodzimy na zbiórke. Raport, modlitwa, spacer (och, spacer!).

Ostatnie wertowanie książek przed lekcjami, (co znaczy: "deterreo?")

Dzwonek - już całkiem nie złośliwy, tylko trochę wystraszony ...

.....

Szkoła - jak to szkoła. Zawsze będzie taka sama, czy się będzie w niej nosiło wojskowe mundury, czy granatowe, plisowane spódniczki i bluzki z białymi tasiami na marynarskim kołnierzu.

Zawsze jednakowo drżysz biedaku przed historią, czytasz przed polskim na gwałt Wojciechowskiego i usiłujesz wmówić Mickiewiczowi istnienie w jego utworach takich "pierwiastków", o jakich mu się nawet nie śniło.

Na propedeutyce mizerna myśl zaczyna robić akrobacje, szwedzką gimnastykę w przyspieszonym tempie i daje ci wreszcie do zrozumienia, że "jesteś", ponieważ na ogół myślisz, że nic nie myślisz, czyli coś myślisz, czyli - cogito ergo sum !

Aha, łacina. Najważniejsze jest na samym początku. Czy "Mama" powie: "Proszę pozamykać wszystko" - i zacznie pytać ze słówek (drżycie narody!), czy: "Otwórzcie książki". Szmer ulgi idzie po klasie, cichy, jak skrzydło motyla (Mickiewicz), a radosny, jak list polecony (nie Mickiewicz!).

I tak snują się szmureczkiem lekcje, mijają jedna za drugą i jakoś umie się coraz więcej, w coraz szerszym zakresie.

.....

Popołudnie ma wtedy swój niezatarty sens, kiedy jest jazda samochodowa. Zapomina się wtedy na dwie godziny że trzeba odrabiać lekcje, że jutro jest repetycja - wie się tylko, że sprzęgło należy wciskać energicznie, a odpuszczać powoli, że przy redukowaniu z góry trzeba "dawać" więcej gazu i że na zakrętach koniecznie zwalniać.

Wóz toczy się w słońcu, z daleka widzi się morze i Haifa, nikną we mgle wzgórza Nazaretu.

Następna pani "dobrodzika" - zaprasza uprzejmie do kabinki pan porucznik, ruszając groźnymi wąsami, z całkiem niegroźnym uśmiechem.

Najgorzej jest wieczorem z tym gaszeniem światła. Nigdy nie można zdążyć, bo albo się człowiek wykąpie a papiloty ma niezakrecone, albo pościeli sobie łóżko i nie zdąży się wykąpać.

Stoi się tak o godz. 10.30 pod tuszem po ciemku i nagle słyszy się głos komendantki kompanii: "kto tam się myje?" Odpowiadam inteligentnie: "Ja" - i udaję, że mnie nie ma. Ale to i tak nie pomaga. Trzeba się przyznać, że właśnie jestem Chojnacka i że zaraz pójdę spać.

A teraz powiem w wielkiej tajemnicy, prosząc
z góry o przebaczenie.

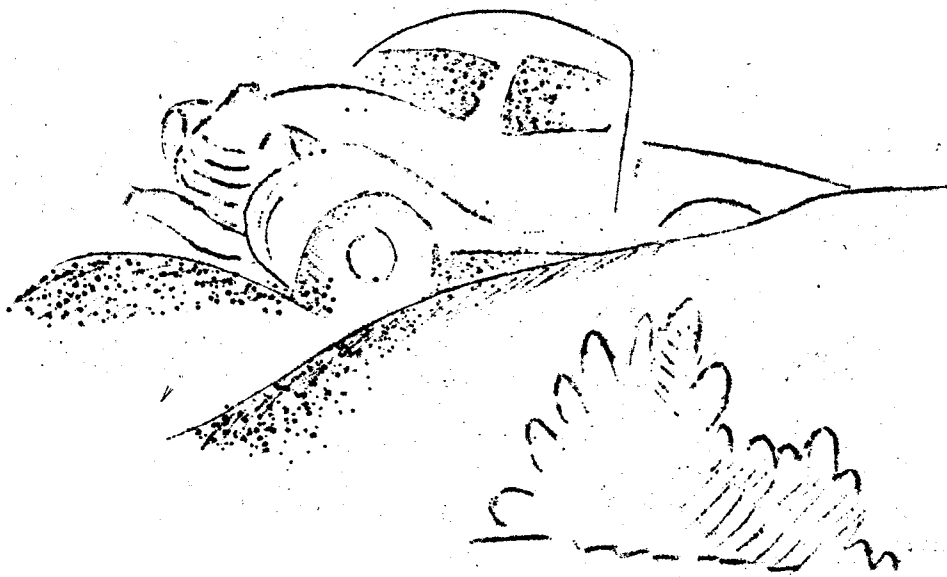
Jest właśnie godzina 12-ta w nocy, a ja - o zgro-
zo piszę ! W zakonspirowanym locum "sobie śpiewam a
muzom ?".

Nazaret, wyjątkowo czysty ciemnością nocy - śpi
i tylko psy szczekają gdzieś daleko.

Cały budynek pogrążony w ciszy oddycha równomier-
nie przez sen i tylko zegar na kościelnej wieży odli-
si się monotonnie swymi kwadransami.

Dzień dzisiejszy się kończy i zaczyna z rana ju-
tro.

Sławka Chojnacka
kl.II.Lic.Hum.



LUBIE moja szkołę

Gdy bledną gwiazdy i milknie czar nocy - myślę o szkole. Czasami z powagą prawdziwego pedagoga, czasem z westchnieniem głębokim jak wewnątrz człowieka, lub z uśmiechem wiecznie żywej myśli.

O szkole i o tym, że jeśli coś w życiu można nazwać jego czarem, to jest nim napewno właśnie szkoła - kolebka pojęć i piastunka życia.

Tak się złożyło, że my specjalnie dużo mamy do zawdzięczenia szkole, ale też dlatego płonie mi dziś serce, jak żadnej wychowawce innej szkoły może. Jak żadna - kocham ją, co zresztą nie wyklucza tego, że na każdym kroku z nią walczę. Paradoks - powiedzą mądrzy. Tak jest, ale to pewno wina "chmurnych" (strasznie chmurnych!) 20 lat i tego "djablika", co to od początku świata przesiaduje w duszach uczennic i złośliwie a głośno chichocze w zaciśniętę w kułak dłonie... Co z nim zrobić? Nie wiem. Zostawić chyba w spokoju. Niech chichocze.

Lekcja języka polskiego. Siedzę obok koleżanki z otwartą jak i ona buzią. Już Bóg nie poskąpił wymowy naszemu panu poloniście. Słowami, co płyną jak bystry potok, narzuca logikę następstw, przesuwając postacie, zmieniając pracę, zapala umysły jednym błyskiem myśli. Wobec tego porywa się zachwyty i... "niech kwitnie literatura" szeptać w przestrzeń, ani myśląc o tym, że profesor nie liczy się z moją zaabsorbowaną uwagą i że tracę całe ogniwo twórców i utworów w łańcucha uwielbianej literatury. Przeto smętnie dumam nad tym, jak to na wszystko musi być właściwy czas. Tymczasem w klasie podnosi się hałas. Przerwa. Koniec "pana psorskiego" frencza mi-gnął raz ostatni i zniknął za drzwiami. Patrząc z żalem. Słowo "pozostań" umiejscowiło się na samym koniuszku języka i strasznie mi dokucza. Nonsens. Nie powiem go przecież. Nie powiem. Zresztą - ja nędzna uczennica i ten człowiek, który z pamięci cytuje wszystkich romantyków Europy... A gdzież proporcje? - zapytują matematycy (okropni i wcale nieromantyczni ludzie).

Przekorny djablik rozpoczyna rapsód swych chichotów. Dobrze. Niech i tak będzie. Wzdycham i ponuro patrzę na swoje nogi, potem na ziemię. "Umre" - postanawiam.

wiam z rezygnacją. Tak, ale niechże się znajdzie ktoś dowcipny i umrze podczas przerwy, która trwa 5 minut. Szkoła jest mądrze zorganizowana. Podczas przerwy nikt nie umrze. Za mało czasu. Można to zrobić tylko na lekcji. Całą następną lekcję będę dowozić (djablik rozsądka).
szalał się we mnie i zerwał tamę rozsądku).

Godziny mijają. Tablica pokrywa się znaczkami nazw i cyfr, krzyżują się słowa, pracuje pamięć, wybuchają myśli, topnieją serca. Jednym słowem odbywa się proces nauczania. Przyjemnie jest przy tym rozumieć go i obserwować siebie. To daje jakąś pewność i poczucie czegoś bardzo miłego, dobrego, czegoś takiego, przed czym milkną wszystkie djabliki, znika pusty, bezsensowny śmiech, dzika przekora. Zjawia się prawdziwie poważna i pracowicie kształcąca myśl.

Lubię swoją szkołę.

Gienia Proniewicz
kl.II.Lic.Ped.

Z NASZEJ SODALICJI

Nie jest to zwykłym przypadkiem, że tyle tysięcy młodzieży polskiej, a wśród nich wiele dziewcząt znalazło się na Ziemi Świętej. Jest to opatrnościowe skierowanie Boże, abyśmy mogły umocnić u samego źródła najświętsze zasady wiary i zaszczipać je wśród rodaków po powrocie do kraju.

Przed wszystkim mamy wzbogacać siebie w wartości niewiasty katolickiej, wzorując się na Matce Najświętszej.

Pracę nad sobą ześrodkowałyśmy w organizacji młodzieżowej, która ma już swoją, choć skromną historię. Sodalicia Mariańska, jakkolwiek młoda, bo założona na terenie S.M.C. dopiero w maju 1943, rozrosła się bardzo szybko. Głęboka wiara i ufność w pomoc Matki Najświętszej, były nam bodźcem do pracy. Bardzo szybko znalazła Sodalicia zrozumienie wśród młodzieży, pomoc i serdecznych opiekunów w Komendzie Szkoły.

Nie wystarczyłaby praca kierowników duchowych, gdyby młodzież nie wykazywała tak szczerego przywiązania do N.M.P. i nie szerzyła Jej kultu wzorem ojców na-

szych. Jednym z wielu objawów tak bardzo popularnego kultu i przywiązania do N.M.P., jest coroczne organizowanie Święta Sodalicyjnego w dniu Niepok.Pocz.N.M.P.

Ostatnie nasze święto, miało szczególnie podniosły charakter. Po uroczystym nabożeństwie, w czasie którego wszystkie przystąpiłyśmy do Komunii Świętej, na stopniach ołtarza, w obecności zebranych koleżanek, nastąpił moment uroczystego ślubowania na wierność stałej służby Marii.

Była to wielka i rzeczywiście podniosła chwila, kiedy zgodnym chórem odezwała się ślubująca młodzież. Ten silny i zdecydowany głos był najlepszym wyrazem jednoczącej wszystkie "szczerej chęci służenia Marii", bo "Sodalis Marianus Servus Marie Defensor Marie".

W dzisiejszych ciężkich czasach, Niebieska Pani przemówiła do nas, byśmy trwały z uporem na drodze, po której kroczymy.

Należymy do Sodalicyjki Mariańskiej i w przyszłości należeć chcemy.

Chcemy w przyszłości posiadać tytuł dzielnych kobiet, które czują i myślą po polsku i po katolicku. Chcemy w życiu osobistym i rodzinnym stosować zasady, któreby utrzymywały i podnosiły ducha religijno-moralnego w całym polskim społeczeństwie.

Teodozja Głodowska
kl.II.Lic.Adm.-Handl.



KARTKI

Z MOJEGO ŻYCIA

Przez okno „płóciennego domku” wśliznęły się wesołe, poranne blaski i figlarnie igrając narzeczach, zaglądały ciekawie w oczy.

Nie spałam już - myślałam o wielu, wielu rzeczach, które miały z sobą przynieść nowy dzień. - Blaski poranne były tak uparte, że mimowoli musiałam się do nich uśmiechnąć. Budziły one mnie ze snu, od przeszło rocznego pobytu w pustyni egipskiej i niewinnym despotyzmem zmuszały do wstawania. Dzisiaj nie miały nade mną swego prawa, bo miałam „dzień wolny”.

Przed moim namiotem rosły, czyjaś ręką zasadzone dwa krzewy bananów, które na tle szarej, monotonnej pustyni tchnęły radosną zielenią życia. Szelest ich dużych postrzępionych liści przyjemnie kołysał do snu w wieczornej ciszy i pogodnie nastrojał rankiem, gdy rozbudzona ze snu wstawałam do codziennych obowiązków.

Dzisiaj przecież wyjazd do szkoły. Uśmiechnęłam się znowu do tej myśli i zadumałam. Zielone postrzępione wachlarze bananów przytakiwały cichym szeptem. - Ta świadomość wyjazdu do szkoły, tak bardzo skądś znana, przypomniawszy różowe lata dzieciństwa... Wróciła fala wspomnień - nie mogłam się im oprzeć.

Ogrod - znane od dzieciństwa zakamarki, kryjówek, ścieżki i aleje... Po nich szła jesień, taka nasza polska jesień, co to ma w sobie słoneczną pogodę i swojski urok. Szła w szacie utkanej z „babiego lata”, którą ciągle rwał wiatr - psotnik, jesień pełna złotych liści, opadających z drzew, pachnąca w sadach jabłkami, a na polu wilgocią zacranych ściernisk. Jesień niosła z sobą koniec wakacji i początek nowego roku szkolnego, bo szkoła, jak rolnik, pracę swą rozpoczyna w jesieni. Tak było zawsze rok w rok, odkąd pamiętam. - Tymczasem wakacje 1939 r. były inne.

Ostatnie dni sierpnia były słoneczne i pogodne, pełne najcudowniejszych zachodów słońca, jakie kiedykolwiek widziałam. Równocześnie z pogodą unosiło się w całej naturze dziwne napięcie i oczekiwanie. Pódmienowana atmosfera tragicznego jutra zbliżała się nieubłaganym krokiem, po to:

by zaskoczył nawet optymistów. - Były to jeszcze dni niefrasobliwego dzieciństwa, więc nie poddawałam się jeszcze smutnym nastrojom. Chodząc z przyjaciółką na długie spacery, przez ogród aż do lasu, spotykałam moich znajomych... Ptaki, gniazda, kwiaty i drzewa - to przecie świadkowie moich dzieciennych marzeń i śmiałych projektów na przyszłość... Dobrze mi było między nimi, mogłam mówić wszystko bo wiedziałam, że napewno potrafią mnie zrozumieć.

Wakacje zbliżały się ku końcowi. Ostatnie dni sierpnia niesły z sobą pożegnanie, które jak zawsze, w życiu jest momentem bardzo trudnym. Trapiła jakimiś niejasnymi przeczuciami żegnałam tegoroczne wakacje z żalem.

Pamiętam rankiem 27 sierpnia wymknęłam się cicho z domu, by jeszcze raz zobaczyć stary sad, przebiec w wszystkie ulubione ścieżyny ogrodu. Zajrzałam do puszystych gniazd, ucałowałam spóźnione jesienne róże, zerwałam najładniejsze jabłko, ze ścieżki podniosłam już kilka złotych liści, opadłych ze starej wiśni, a potem szybko wybiegłam żeby się nie rozpłakać. Przed domem czekali już rodzice, koleżanki i zaprzężone konie. Uściski rodziców, rodzeństwa, koleżanek, wiele życzeń, pomyślnych wyników w nowym roku szkolnym. (Ktoś przy tym wstchnął głośno) - i konie ruszyły, pozostawiając wszystko poza sobą. Uśmiechałam się przez zły, długo patrząc na dom i grupę najbliższych osób - oddalałam się coraz bardziej. Konie biegły truchtem, bryczka wesoło toczyła się po wołyńskiej drodze, wznosząc obłok kurzu. Wokoło panowała polska jesień - szafarka, a górą, pod błękitnym niebem pełnym białych, nadętych obłoków, ciągnęły na południe ze smętnym kłopotem klucze żcrawi, czy dzikich gosi...

Wojna. - Straszne słowo, które echem odbiło się o ludzkie serca. Wojna - to słowo, które ma w sobie kłunę pożarów i kir zażoby, żzy pożegnania, krew i ból...

Wypadki sześciu lat zaczęły się toczyć w myśli, jak taśma filmowa, zbyt szybko przesuwana.

Najpierw wojskowa piosenka odbiła się echem o mury domów i ulice miasta, do którego wróciłam do szkoły. Nie było w niej grozy - była wiara, że zwyciężymy. Potem jednak słowo "wojna" rauciło na wszystko i wszystkich swój zły czar. Komunikaty były krótkie, niejasne, - a wieści z frontu coraz gorsze.

Potem 17 wrzesień i Warszawa, która się ciągle broniła. - Wreszcie ucichły jej radiostacje; ludzi opanowało rozgoryczenie, graniczące z rozpaczą, a potem odrętwienie i apatia. W niejednym sercu powstał bezsilny bunt przeciwko temu, że „siła przed prawem jest jeszcze”... Potem - aresztowania - więzienie rosyjskie, tajgi, zasypane śniegiem - oczekiwanie cudu, - długie noce syberyjskie przepłakane na modlitwie i dnie ciężkie jak ołów od tęsknoty za domem.

Aż w końcu, koszmarny sen przysnął. Padła jaskółka przyleciała do nas wieść o trzczeniu się wojska polskiego. Ludzi - szkielety, podarwał do energii czynu strumień nowej wiary w lepsze jutro. Życie stało się katwiejsze z myślą i nadzieją powrotu do Kraju. Myśl ta była życiodajnym prądem i bodźcem do pokonywania największych nawet trudności. Mundur wojskowy stał się symbolem wolności i honoru. Wyjazd z Rosji w ostatnich dniach marca 1939 r. odrzucił złą kartę, którą ro poprzedził wrzesień 1939 r. Schronienie ludności polskiej przyjeżdżającej z Rosji, zaczerpnięty w bajkach Wschód: piękne góry i okolice Persji, pustynie Iraku, zielone paderesy Palestyny i wreszcie Egipt pełen starożytnych pamiątek z odległych czasów, obramowany pustynią rozpaloną do białości, bezlitosnym, południowym słońcem.

Ciepłota, kursy i wojskowy rytm od pobudki do capstrzyka był treścią kilku pierwszych miesięcy, a jednocześnie wstępem do nowej karty jaka się otworzyła dla mnie, z chwilą otrzymania munduru. Następnie przychodzi: praca w biurze, trudna bo nieznaną, a przecież odpowiedzialną. Wszędzie spotykałam ludzi dobrych, wyrozumiałych, którzy pomagali mi postawić pierwsze trudne kroki. Szybko biegły dni, miesiące, lata... Fochła była ta praca, którą pokochałam i którą nazwałam w myśli „małą cegiełką” do odbudowy Ojczyzny. Nie żałowałam ani lat, ani młodości. - „Byle się to na coś tylko zdało”, myślałam nieraz zastanawiając się nad swoim życiem. Nieprzygotowana do tego życia, wyrwana z pod opiekuńczych skrzydeł domu, szybko nauczyłam się borykać z losem i nie poddawać chwilom zwątpienia. Jedno co spędzało sen z powiek, to myśl, że się nie ucze, że jeśli nawet spełniam swoje obowiązki, to czuję, że coraz bardziej czegoc mi brak, czegoc co potrzebny w moje życie nowy zapas siły i energii, i nadałoby lepszy sens drodze do celu. Skokła - to było cudowne słowo, które zawierało w sobie istotę dawnych, przedwojennych marzeń i śmiałych planów.

Szkoła tak, jak dawniej, wołała mnie do siebie coraz silniejszym, magicznym ~~w~~urokiem. Wiedziałam, że w Palestynie jest szkoła. Mieści się w biblijnym, patyną starości pokrytym, miasteczku Nazarecie. Mały, malowniczo rozrzucony między wzgórzami Nazaret pełen zieleni, kościołów i pamiątek stał się częścią Polski. Tam uczą się dziewczęta polskie, takie jak ja, - tam bije serce młodej Polski. Żeby wrócić do szkoły. Żeby wrócić... A tu tyle trudności.

Tymczasem „jutro” spełnienie marzeń. Właśnie jest jesień, tak jak dawniej; ale jakaż inna od tej, która została daleko w Polsce. I ta jesień otwiera nową kartę w moim życiu. Nie trudno jest pożegnać egipską pustynię, po to, by wrócić do zieleni palestyńskich ogrodów. Nie trudno pożegnać „domek z płótna” i pracę w biurze, choć się z nimi żyłam, jak z przyjaciółmi. Wrócić do książek, do nauki. Zasiąść jak dawniej w klasie, wśród dziewcząt, które garną się do wiedzy, by wykuć sobie lepszą przyszłość.

Postrzępione liście rosnących przed namiotem bananów głośniej i radośniej zaszeleściły. - Obudzikan się ze wspomnień i myśli i uśmiechnęłam swoim zwyczajem.

Jakim cudem żyła ta kępka zieleni na suchej pustyni i spiekocie upalnych dni? W jaki sposób marzenia stają się silniejsze od twardej rzeczywistości, a młodość potrafi zwalczać wszystko i wyjść zwycięsko ze swoim ideałem?

Piękny jest świat i życie, gdy ma swój sens i cel, a jest tym piękniejsze, gdy marzenia się spełniają.

kpr. Supczak Genowefa
Kl. II. Lic. Adm. - Handl.

9 LISTOPAD

Dzień 9-go listopada jest wielkim dniem w dziejach szkoły od chwili jej powstania do chwili obecnej. Wszystkie dziewczęta, tak absolwentki jak i uczennice S.M.O. łączą się w tym dniu nie tylko rękami, łączą się sercem z założycielką i organizatorką szkoły. Każda z nas wie, ile trudu, pracy, samozaparcia się i silnej woli kosztowało ją stworzenie

nam takich warunków, abyśmy dziś dala od kraju mogły się uczyć i abyśmy mniej odczuwały brak rodzinnego ciepła i opieki.

Nie sposób tu pominąć "pierwszych kroków" Szkoły Junaczek w wynędzniałym kraju z wrogo ustosunkowanymi urzędnikami sowieckiej republiki. Piętrząc się trudności aprowizacyjne, zakwaterowania, zwłaszcza w związku z wzrastającą ilością młodziutek dziewcząt, - pragnących mimo wszystko uczyć się, pokonywała młoda Komendantka Szkoły z niezmordowaną wprost energią.

W stosunkowo bardzo krótkim czasie z tragicznie przedstawiających się tak fizycznie jak i psychicznie dziewcząt, powstały zorganizowane szeregi "wojska". W przygasłych dawniej, młodych oczach pojawiał się coraz częściej uśmiech. Spojrzenia dziewcząt odzwierciedlały swoją wielką wdzięczność dla Komendantki, która je tak dobrze rozumiała i tak pomyślała o ich przyszłości. Spełniły się wkrótce marzenia, - wszystkie wyjechały ze szkołą z wrogiego kraju do przyjaznej Presji, a potem do Palestyny. Skończyła się ciężka walka Komendantki o szary, codzienny byt, natomiast rozpoczęła się o zasadniczy cel - o naukę. Tu również napotkała na ogromne trudności. Każdą książkę, mapę, stoł, czy czówek nie przydzielano normalnie. Po każdą rzecz trzeba było chodzić, prosić, kałda tłumaczyć, żadać. -
Przywiązanie gromady dziewcząt do ich najwłaśniejszej opieki warastało z kałdym dniam.

Praca i życie w szkole biegło normalnym trybem. Uczennice pogodnie, beztroskie zajęły się spokojnie nauką, w głębokim przeświadczeniu, że przecież wszelkim trudnościom Pani Komendantka zaradzi. Stan uczennic powiększał się o młode ochotniczki P. W. S. K. W duszach tych dziewcząt nastąpiła pewna zmiana pod wpływem otoczenia młodego szkolnej. Tam w P. W. S. K. obciążone odpowiedzialną pracą na różnych odcinkach nieraz niedopowiednich dla ich wieku, znalazły się obecnie we właściwym miejscu. W szkole między uczennicami było im dobrze i czuły, że zdobywane wiadomości pomogą im w późniejszej ich pracy.

SZKOŁA PWSZECHNA
MŁODSZYCH OCHOTNICZEK

№ 846.

Komendantka S.M.O. nie mówi o kłopotach, ze słów Jej, z Jej uśmiechu, z którym się zawsze do nas zwraca płynie otucha i wiara. Każda z nas od najmłodszej do najstarszej czuje doskonale, ile serca i pracy Komendantka poświęciła młodzieży, a świadomość Jej zasług obowiązuje nawet najoporniejsze do dokładnego wykonywania jej rozkazów.

Zapewniamy Cię Pani Komendantko, że setki dziewcząt, a więc te, które wyszły z tej szkoły i te, które w niej pozostają, będą zawsze pamiętały, że Szkole Mł. Ochotniczek, szkole, której tyle poświęciłaś uczucia i wysiłku, zawdzięczają bardzo wiele, że dzięki uzyskanym wiadomościom będą mogły zdobyć odpowiednią pozycję w życiu, będą mogły współpracować dla Nowej Polski.

Renia Miłaszewicz
kl. II. Lic. Adm.-Handl.

WAKACJE

Mysł o wakacjach nasuwa wiele wspomnień przyjemnych - wspomnień z lepszych czasów - z lat dziecińczych. Przypomnijmy sobie jak beztrąsko mijały lata w domu rodzinnym, jak bardzo miłą porą były wakacje. Pociągał nas nie tylko czas wolny od lekcji - wypoczątek, pociągały nas łąki pełne kwiecica, niby kolorowy kobierzec usłany dla zmęczonych cożoroczną pracą dzieci. Przyjemnie odpoczywało się w cieniu drzew z książką w rękę, która przenosiła nas w świat baśni i czarów. Długo w nocy widziało się zaczarowane postacie i śmiko o dalszych dziejach baśniowych bohaterów. Po powrocie do domu z wakacji, przynajmniej w pierwszych dniach, młoda osóbką była osódkiem zainteresowania całego domu. Wielką przyjemnością

sprawiło jej to, że wszyscy o nią dbają, że jest taką ważną osobą, że wszyscy się starają by wakacje dały jej wypoczynek i przyniosły pełne zadowolenie. Tak było dawniej.

Po kilkuletniej smutnej przerwie w nauce spowodowanej tak straszną dla nas wojną i pobytem w Rosji widzimy się znowu w szkole. Uczymy się w Karkinbatasz, w Guzarze, płyniemy wreszcie do Persji. Czuliśmy dobrze, że był Ktoś, kto potrafił wyrwać nas dosłownie śmierci i stworzyć szkołę - zaczątek obecnej. Chętnie uczyło się w nowej szkole - szkole naprawdę polskiej, po długiej przerwie. Miło wypoczywało się po dobrze przepracowanym roku. Pierwszym prawdziwym obozem wakacyjnym był obóz w Libanie. Wiemy dobrze, bo przeżyliśmy to dość głęboko, jak trudno było obóz ten zorganizować - ileż niepokojących wieści - obóz będzie! Obozu nie będzie? Nareszcie udało się wywalczyć lepsze miejsce, naprawdę ładne, a tu inna przeszkoda staje przed nami - nie ma wozów! Martwimy się, planujemy, kombinujemy no i udało się!!! Oczywiście nie nam... Zajeżdżają wozy - jedziemy! Strachu było dużo nad górskimi przepaściami, pisku jeszcze więcej na zakrętach - jesteśmy na miejscu. Znowu ruch, biegania - musimy się jakoś urządzić. A stare wiekowe cedry, kładąc konarami dziwiły się, że tacy wrzaskliwi goście przybyli. - Bo czyż mogło być inaczej? - Przecież musieliśmy górą i cedrom oznajmić, że jesteśmy szczęśliwi. Byliśmy naprawdę szczęśliwi i nie umialiśmy wtedy pomyśleć nawet ile energii trzeba było zużyć, aby obóz ten zdobyć i tak dobrze go urządzić. Od tego czasu rok rocznie spędzamy wakacje w obozach letnich - Barbarze, Jerozolimie, Atlicie. Ileż zadowolenia, wypoczynku, zdrowia dały nam oba obozy w Atlicie - brodzenie w piasku, strach przed wężem, uciekanie podczas przerwy tropikalnej nad morze i niezapomniane zachody słońca.

Często patrzyliśmy, siedząc na skale jak słońce niby kula ognista tonie w morzu, pozostawiając po sobie na niebie żółtą, która stopniowo przechodzi w granat nocny. Z jaką niecierpliwością czekaaliśmy na obiecany "zielony" promień przynoszący szczęście, niestety była to tylko legenda. Codzienna kąpiel, tańce wieczorem na wolnym powietrzu przy patfonie i akompaniamencie szumu morza wypełniały nam dużo czasu, byliśmy bardzo miłym urozmaiceniem. Nawet tak niemiły gość, jak czterdziestonóżka

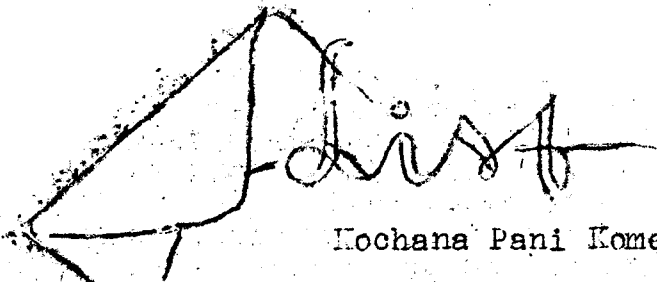
w żółku był powodem śmiechu, w myśl naszego hasła za przykładem Dowódcy "uśmiechnij się".

Po tak urządzonego obozie i wypoczynku nie przerażała nas nowa praca.

Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że musimy pracować, ponieważ czeka zniszczona niewola Polska, że w odbudowie jej wolność i musimy wziąć udział. Pójdziemy przez życie w myśl słów Pana Generała Władysława Andersa "Uśmiech to energia, energia to czyn, a czyn to Polska." To nasz cel, do którego dążymy.

Emilia Paszko

Kl. I "A" Lic. Adm. Handl.



Ul. Kantara 28.A.46.

Kochana Pani Komendantko !

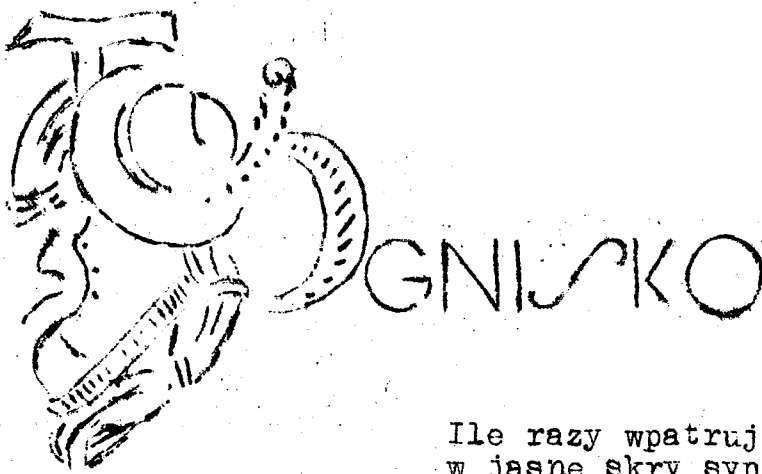
Znow wstaje ranek promienny i pogodny, jak czyjś uśmiech... kogóż on nam przypomina co dzień? ... Czy nie Panią Komendantkę przypadkiem? a może i Szkołę, rodzinny poranne, spacer i ... fiołki przy "Starówce"? Napewno tak.

Meldujemy, że poranki w "gipcie kąta nam pomyśleć o Nazarecie i "stawać na uszach" ażeby tam wrócić.

Czujemy się dobrze. Radujemy się wszystkie, kiedy pędzę kulejąc zlekka do "Te-Be-cienek z nowiną, że mamy pozdrowienie z Nazaretu i wiadomość (naturalnie nie pewnego - tylko "J.P.P!"), że szkoła przyjeżdża do "giptu.

Szturmem zdobywamy "kuchnię" (tj. smakołyki przeróżne) a wędrując przez żółdki do serc naszych starszych sąsiadek robimy przemiłe "locum" dla całego Nazaretu z Panią Komendantką jako osobą specjalnie mile widzianą wyłącznie. A kiedy zbraknie wiadomości, a humory nasze niczym nie odżywione zaczynają chudnąć - suchotniczo, przypominamy sobie Nazaret i Panią Komendantkę - a to dlatego, że Pani ma taki uśmiech na który trzeba koniecznie odpowiedzieć podobnym i jeszcze dlatego, że my pamiętamy doskonale, że jak kadeci noszą słońca na furaterkach tak my młodsze ochotniczki uśmiechy na obliczach, choćby zapuschniętych od bólu zębów i łez wyciśniętych zastrzykami.

Meldujemy, że w tej chwili humory nasze przybyły i mają zdrowe rumieńce. Przesyłamy najweselsze uśmiechy Wandę, Henka, Danusia, Miecia, Krysia I, Krysia II, mały Pirkielek i Pączek.



Ile razy wpatrujemy się
w jasne skry sypiące się
ogniska, czujemy, jak sil-
nie bije wtedy nasze
serce.....

Czujemy, że z tego właśnie ogniska bierzemy siłę, czerpiemy moc, dzięki której pnimy się coraz wyżej - ku ideałom harcerskim.....

Droga nasza jest trudna i ciężka, ale nas nie przeraza trud i znoj " Bo do nas młodych Włoczętów, cały należy szeroki świat" i wierzymy, że nasza młodość i prężny harcerski duch wszystko pokona.

Musimy zakończyć swoją włoczęgę obozem w Polsce i do-
czekać chwili gdy nad szarym naszym namiotem zaszumi
Polski las a echo trąbki harcerskiej rozlegnie się po
polskich górach i dolinach

Ognisko w naszych sercach nie zgaśnie ani na
chwilę i będzie nam rozświetlało dnie ciemne i ponure,
aż do końca naszej wędrówki. To Ci przyrzekają Droga
Pani Komendantko dziś.

" Włoczęgi ".

CO MI DAŁ OBOZ harcerski

Tegoroczny obóz harcerski trwał " okrągły " miesiąc od 1/VII - 1/VIII.46r.

Głównymi wytycznymi naszego obozu były: kształcenie charakteru, zdobywanie stopni i sprawności oraz wyrobienie samodzielności, która jest niezbędną nam, młodzieży polskiej, przeżywającej taki ciężki okres.

Pracowałyśmy wszystkie. Coprawda jedna mniej, druga więcej. Ktoś może zadać pytanie " No, dobrze pracowałyście wszystkie, ale jakie są wyniki tej pracy ? "

Na to pytanie może odpowiedzieć tylko każda z osobna.

A więc jeżeli chodzi o mnie to najczęściej pracy wkładałam w kształcenie charakteru i muszę przyznać, że wyniki są dość dobre. Wysiłek położony nie poszedł na marne. Jakie wady usunęłam? Sądzę, że jest zbyt wiele, aby je wymieniać. Prowadząc drużynę nauczyłam się być odpowiedzialną za wszystko co było polecone do wykonania mnie i memu zespołowi. Oprócz tego zdobyłam wiele doświadczenia w prowadzeniu drużyny, urządzaniu kominików, ognisk i herbatek dyskusyjnych, wieczorów świetlicowych. Nauczyłam się poznawać dziewczynki, wiem jak do której podejść, aby być zrozumianą. Zrozumiałam też, że dowodzenie jakkolwiek jednostką jest trudne, bo na barkach każdej spoczywa obowiązki, którego spełnienie wymaga nie tylko sumiennosci, ale i nieraz poświęcenia własnych przyjemności. Miałyśmy również wiele okazji, aby swą samodzielność wykazać. Skrzętnie szukałam takich okazji i zawsze je wykorzystywałam z wynikami pomyślnymi. Każdy biwak czy wycieczka była sprawdzianem naszej samodzielności.

Jeśli chodzi o stopnie, to zdobyłam dwa i trzy sprawności. I nieraz myślę, że jeżeli kiedyś, jak już będę starsza a zajdzie potrzeba zorganizowania obozu harcerskiego to potrafię to zrobić tak, aby wynik pracy obozowej był dodatni.

Kamila Wojtaczka
kl.III.kup.

HARCERKI S.M.O.



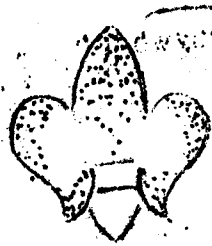
Rada Hufca



Dowódca u'zuchów



Drużyna żeńska AK.



RADA HUFCA

Druhno! Proszę druhnny! - słyszę "ponury" głos i czuję, że ktoś zlekka ciągnie mię za rękę. Otwieram zaspane oczy: czego? niby co się dzieje? Nawet w godzinie ciszy nie może człowiek pospać! - burzę jednocześnie. Głosik robi się niepewny, drżący jak gdyby, wzrok "małej" szuka, czy gdzieś w pobliżu nie stoi pantofel.

A! obiegami! Uśmiecham się widząc wystraszone "małe stworzenie". Dziś o godzinie 20-tej rada hufca w izbie. - czytam, a "stworzenie" dowodzi mi, że druhna Helenka prosi żeby wpaść do izby jeszcze przed radą.

Druhna Helenka! Powtarzam z westchnieniem. Tak! druhna hufcowa! wtępuje mi "stworzenie" i patrzemy na siebie wzrokiem mówiącym więcej aniżeli tysiące słów.

Dziękuję! Czuwaj! Czuwaj! - i "stworzenie" pędzi dalej z obiegami a ja: chwilkę jeszcze rozmyślam, a po tym układam się wygodnie i śpię dalej.

.....

Dochodzi godzina 20. Z ołówkiem i notesem przekraczam próg izby. (Izba jest naszą chlubą, jest naprawdę ładna no i tak w niej miło i przytulnie, że nawet częste gromy naszego Zeusa - hufcowej nie zdają nas stąd wystraszyć). Rada hufca czyli "rada starszych" (popularnie zwana) jest już w komplecie.

Siedzimy kręgiem wokół stołu, za którym spoczął, jak na Olimpie nasz gromowładny w spódnicy - hufcowa Helenka.

"Rozpoczynam radę hufca" - mówi z właściwym sobie "skośnym" uśmiechem i odgania z czoła strzechę niesfornych włośów.

Porusza kilka drobnych spraw wewnętrznych hufca i wreszcie uroczystym głosem oznajmia: "Dziś zrobimy sobie bilans naszej pracy półrocznej". Ooooo! jednogłośny szmer uznania.

Hufcowa zaczyna czytać długie sprawozdanie z pracy hufca z okresu od 1.I.1946 do 20.VI.1946r.

A potem kończy uwagę: Odczuwa się brak przywódców młodzieżowych szczególnie wyszkolonych drużynowych i zastępowych. Nowy okres pracy pójdzie w kierunku wyszkolenia przewodniczek pracy.

Gwar głosów zagłuszył ostatnie słowa hufcowej.

" Proszę o ciszę! " woła hufcowa i zaraz: " jeśli macie jakieś uwagi, proszę zabierać głos pojedynczo! "

Cisza teraz

Każda chciałaby coś powiedzieć, ale jakoś brak słów i odwagi.....

Bo właściwie tyle jest do powiedzenia....

Niebieskooka Dada " bierze na odwagę" i zaczyna " Zrobiliśmy bardzo dużo w stosunku do poprzednich okresów pracy. Ruszyliśmy z " martwego punktu" pomimo ogromnych trudności. Tak! trudności są ogromne,

My same jesteśmy wciąż dalekie od " ideału " harcerki. Przecież życie nasze jest takie inne aniżeli w Kraju, w domu.....

Znów gwar przerywa Dadzie, wywiązuje się dyskusja.

Mówimy o wszystkim, o dziewczętach w drużynach, o podejściu do nich, o trudnościach, o pracy i o obozie letnim !!!

Już późno trzeba kończyć radę. Gasimy główne światło a zapalamy małe i światełko przy św. Jerzym.

W półmroku stojąc w kręgu śpiewamy, że:

Idziemy naprzód i ciągle pniemy się wzwyż
By zdobyć szczyt ideału, gdzie błyszczą
harcerski krzyż

Wychodzą z izby rozmyślając głęboko: właściwie tyle jest jeszcze do zrobienia.- Damy radę napewno, przed nami całe życie leży jeszcze i tyle niewiadomych, które mamy rozwiązać. Damy radę !

" Pączek "
(Traczyk Wanda - drużynowa)



NOC

NATABORZE

Gdybyśmy powiedzieli komuś, że wspinaczka na Tabor o 12-ej w południe należy do przyjemności, mogłoby poczytać to za dobry dowcip. Dla nas ten nutący trochę marsz miał wiele uroku. O zmęczeniu się nie mówi, bo po co? To nudne, nieprzyjemne, a zresztą mało ważne.

Każda marzyła naprawdę o odpoczynku i gdy nadszedł capstrzyk, byliśmy bardzo zadowolone.

Z rozkoszą ułożyliśmy się na miękkich i jak dla harcererek stanowczo za wygodnych łóżkach. Nie zdążyliśmy jeszcze zasnąć, gdy wpadła Baśka z okrzykiem Alarm!

Gdzie światło! Zapalić! Prędzej!

Tego nie spodziewaliśmy się zupełnie. Ale cóż robić, gdy Hufcową księżycowa noc nastraja do nocnych ćwiczeń..

Szybko wyskoczyliśmy z łóżka, otrząsnęliśmy się z półsennych marzeń i stanęliśmy wobec bardzo trudnego problemu: Co robić z "papilotami" i wilgotnymi spódniczkami, które były w trakcie prasowania?

Ale grunt to spokój i równowaga ducha, która cechuje każdą harcerkę.

Włożyliśmy wilgotne spódniczki, papiloty zbstały w mig przykryte chusteczkami i stanęliśmy gotowe do wymarszu. W "obozie" chłopców panowało głucho milczenie, przerywane od czasu do czasu potężnym chrapaniem. Trzeba było przejść bardzo cicho.

Wkrótce dotarliśmy na miejsce ćwiczeń. Sen pierzchnął jak bańka mydlana. Ulegliśmy nastrojowi i czarowi cudnej księżycowej nocy i urokowi samych ćwiczeń.

Na niewielkim wzgórku tkwił zatknięty proporzec, który mieli zdobywać chłopcy. Czujki były wspaniałe. Bohaterskie drухenki powłaziły we wszystkie napotkane dołki, poukrywały się pod krzaczkami i w "pikającym" sercem oczekiwały na nieprzyjaciela. Przez kilka minut lasek rzeczywiście zaległa względna cisza, ale już po chwili mniej romantycznym duszom znudziło się obserwowanie księżycy i pomału zaczęły wychylać noski ze swych norek.

Ciocia Kaktus rozpoczęła promenadę po terenie odstra-
szając wszystkich chłopców swą śnieżną białości chustą.

Rezultat tej wędrówki był taki, że wspaniałe czuj-
ki zaczęły pytać nadchodzących chłopców; Melu, to ty??

No, ale wszystko wspaniale wypadło, a najważniejsze,
że osiągnęliśmy zupełne 100%-owe zadowolenie.

Ignac rozpromieniony był i szczęśliwy, że wreszcie uda-
ło mu się zainteresować i rozruszać swą gromadkę.

Potem nastąpiła część romantyczno - dramatyczna, którą
możnaby zatytułować "Zale Hufcowej nad minusami gry".

Po powrocie do kwater sen, który tak szybko uciekł
nie miał zamiaru powracać i skrył się w najodleglejszy
kąć. Do późnej nocy słychać było tłumione szepty
i wybuchy śmiechu.

Zbiórki, odprawy i gry stały się już trochę mono-
tonne i trochę ruchu, wrażeń i emocji dało nam wiele
wewnętrznego zadowolenia.

W naszych sercach kipiała młodość, radość, a nad
wszystkim górował humor, którego nam w najbardziej
tragicznych momentach nawet nie brakuje.

Wiesia K r a w c z y k
kl.IV.a.

TEATR I WIDOWISKA



„Bajka“.



„Filia“ S.M.O.



Polonez.



Narada z panią dyrektorką



Tańce narodowe.

HUMOR

Profesorka przeglądając zeszyt jednej z uczennic: "Ach, ja mam to samo zadanie na jutro z angielskiego na kursie dla Kadry.

Uczennica: Pani profesorko, to może Pani "ściągnie" ode mnie ...

----- xx -----

Na terenie Anglii dwie ochotniczki z S.M.O. wystąpiły do cywila.

"Trzeba kupić parasol, ale koloru khaki, bo znowu Pani Komendantka będzie miała kłopot z meldunkiem."

"Ależ moja droga, przecież ty jesteś w cywilu !
"A czy rotmistrz ma względy dla cywilnych pań ?"

----- xx -----

Zagadka.

Kiedy bankowiec i prokurator zaczyna mieć dobre i pedagogiczne podejście w pracy nauczycielskiej ?
Z chwilą nauczania w Gimnazjum Kupieckim.

----- xx -----

Jedna z Komendantek zapytuje :
" Nie wiem, czy pierzynę wziąć koło siebie, czy zdać na bagaż ? "

----- xx -----

Instruktorci P.W. w Anglii

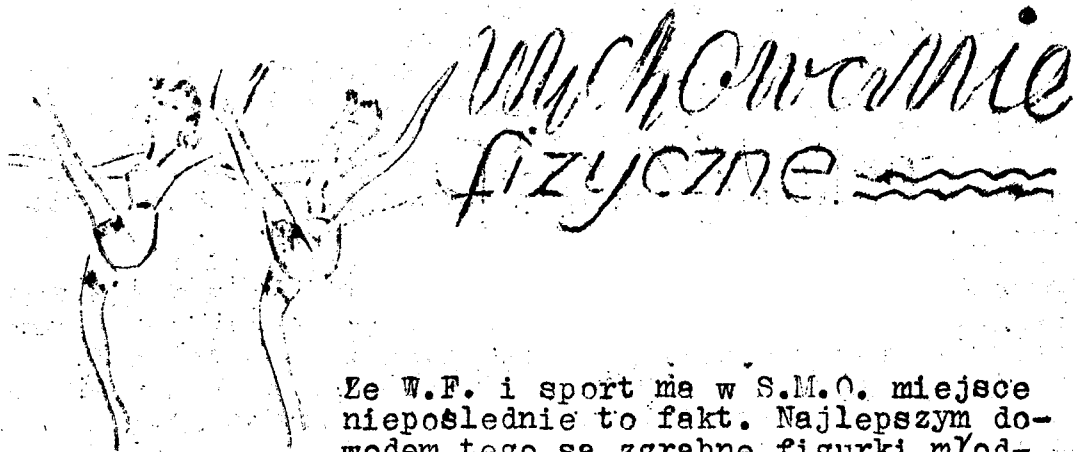
Szkoliłyśmy niegdyś i musztrowały, a teraz i na nas przyszła kolej.

----- xx -----

Szefowi jednej z kompanii

Chciałam ci przynieść chłopca żywego,
Bałam się jednak, że będą plotki,
Więc z czekolady węz złoconego,
Bo ten przynajmniej napewno słodki...

----- xx -----



Wychowanie fizyczne

Ze W.F. i sport ma w S.M.O. miejsce niepoślednie to fakt. Najlepszym dowodem tego są zgrabne figurki młodszych ochotniczek.

Wtajemniczeni twierdzą, że obecnie kolej przychodzi na kadrę męską i żeńską. Twierdzenie czegoś tak niebywalego opierają na fakcie, że pewien b.miły pan stracił w ciągu lata $\frac{1}{2}$ kg. na skutek intensywnych ćwiczeń cielesnych, polegających na spacerach z psem.



Ale nie o kadrze mam zamiar pisać - i zadaniem moim nie jest roznoszenie plotek.

Gdy przypomnę sobie wygląd naszych młodszych pupilek z przed 3-ich lat, to równocześnie brzmią mi w uszach biadolenia wychowawczyń, "co to będzie, gdy to - tak dalej pójdzie! A już najwięcej zmartwienia wykazywał oficer materiałowy, bo zachodziła obawa, że z dwu sort trzeba będzie robić jedną. Jednak obeszło się bez tego. Ja osobiście widzę przyczynę tego przeobrażenia mł. ochotniczek, jedynie w sporcie.

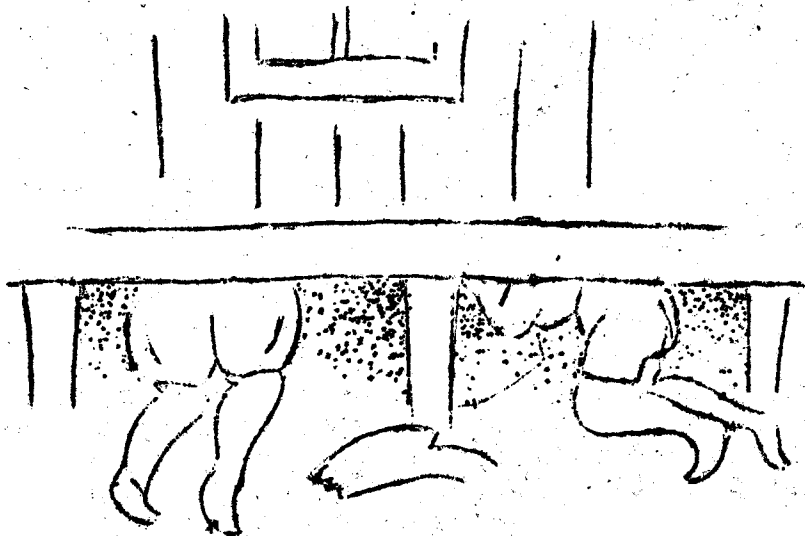
Tym, którzy czytając to kiwają z powątpiewaniem głową - postaram się twierdzenie moje uzasadnić.

Proszę bowiem nie zapominać, że szkoły S.M.O. posiadają idealne warunki w jakich W.F. odbywa się !!! Tymi idealnymi warunkami jest szereg miejsc w których W.F. odbywać się może, a każde z nich wpływa inaczej na harmonijne kształtowanie poszczególnych części ciała.

Naprzód ćwiczenia na tarasie. A ponieważ strop w wypadku silniejszych wstrząsów groził zawaleniem, dlatego wszystkie ćwiczenia odbywać się musiały na paluszkach, a każda z ćwiczących musiała na czas ćwiczeń uważać siebie za istotę eteryczną. Czyż trzeba jeszcze udowadniać, że po szeregu takich ćwiczeń wszystkie ćwiczące stały się naprawdę istotnie eterycznymi.

Następnie ćwiczone na podwórzu za budynkiem szkolnym, gdzie wyżywano się w grze w siatkówkę. Tutaj znowu na uzyskanie wysmukłych kibici wpłynęły wybitnie przejeżdżające auta. Bo - kilkakrotne w ciągu lekcji wyciąganie się, aby zwinąć i rozpiąć siatkę inaczej wpłynąć nie mogło.

Gdy ten efekt - przewidziany zresztą w planie lekcyjnym osiągnięty został, przeniesiono się na placyk zarosnięty drzewami obok baraku. Tutaj znowu odbywały się ćwiczenia " odchudzające", polegające na ciągłym włożeniu na czworakach pod barak w pogoni za piłką,



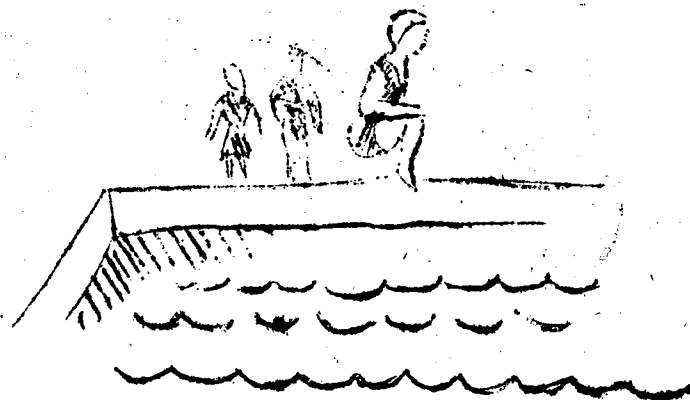
bańdz też na zabawie w " małpki" (cała klasa na drzewach), Obijanie sobie boków o drzewa, zastępowało w zupełności najlepszy masaż sportowy.

Pewnego jednak razu rezultaty ostatnich osiągnięć o mały figiel nie zostały zniszczone. A mogło to się stać przy uzyskaniu zezwolenia na odbywanie ćwiczeń gimnastycznych na miejskim boisku sportowym. Na szczęście jednak natychmiastowa interwencja miejscowych mieszkańców u władz i u największych czynników kościelnych w Jeruzolimie spowodowała, że wróciliśmy z powrotem do naszych podwórzy, tarasów i " boisk" . Ci którym zaletą na sianiu plotek twierdzili, że stało się to niby dlatego że miejscowa ludność gremialnie oblegała boiska nasycając wzrok swój widokiem nadobnych sylwetek - co właśnie spowodowało interwencję zazdrosnych małżonek. Z tego wydarzenia byłam bardzo - zadowolona, bo- gdyby dłużej miały potrwać ćwiczenia na oczach tłumy Arabów, to napewno nabrałybyśmy (przez sugestię) kształtów będących ideałem ludzi Wschodu.

Jest jeszcze szereg innych sposobów na utrzymanie właściwych form ciała, które wymagają ruchów łagodnych, płynnych i rozmachowych.

Z ważniejszych wymienić należy - wskakiwanie do samochodów ciężarowych w czasie wyjazdów auto - stopem do Tyberiady na ćwiczenia pływackie (własnych samochodów używać do tego celu nie zawsze można, bo czasem coś ... lub ktoś nawali), i gbrekie spacery, które cieszą się specjalnym powodzeniem wśród dziewczynek z klas starszych w dnie świąteczne i niedziele.....

Posiadając taką kondycję fiz. nie trudno było Kice przepłynąć jezioro T. jak innej skakać na zawołach pływackich w Sarafand w stylu, jakie jeszcze żadne zawody pływackie nie oglądały.

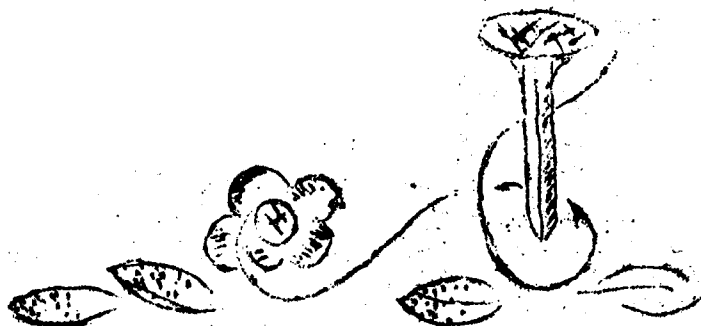


Prócz tych rekordów, tańce są dotychczas wyłącznym mo-
nopollem Szkół S.M.O. A ponieważ z kobietami nie warto
nawet na ten temat dyskutować, bo i tak nikt z nimi nie
wygra, dlatego żadna ze szkół nie próbowała dotychczas
z nimi na tym polu współzawodnictwa. Albo takie " Bajki".
Te zawsze mają większe wzięcie u dziewcząt aniżeli
chłopów. Każda z nich marzy o królewiczu, o z czarowa-
nym zamku, o kwiecie paproci

Więc marzą wszyscy młodzi i starsi i wszystkim " pomaga"
w tym marzeniu zgrabna postać. Zresztą dobry przykład
cuda działa.

Wiemy, że codziennie rano wschodzące promienie
słońca oświetlają zgrabną figurkę naszej Toli hasającej
na koniu. Linia to grunt.

I ogarnia nas nieopanowane pragnienie zdzierania
sobie kolan włączając pod barak, obijanie sobie boków
o drzewa, wykręcanie sobie nóg na bruku podwórzowym,
aby tylko być " osą w pasie".





Niewiadomo skąd się wzięły i kiedy się znalazły. Jest tego dość liczna czereda rasy, na którą złożyli się przedstawiciele wszelkich gatunków i rodzajów psich, jakie istnieją na tym globie. Mieszkają w S.M.O. "na gapę" i niby są niczyje, a jednak są nasze wspólne, są częścią szkoły, która też zostanie nam w sercach, bodajże na zawsze. Niby nie zwraca się na nie uwagi, ale przykro jest, gdy przez dłuższy czas nie widać "Wodza", lub "Burka".

Psia parafia samorzutnie podlega rygorowi wojskowemu. Widocznie zwierzęta potrafiły wyczuć tę atmosferę żołnierskiego życia, atmosferę zbirek i wiszących groźną chmurę raportów karnych, która jednak ma tyle swoistego uroku, dość, że dzielają nasze losy, są współnikami S.M.O.-ckiej doli i niedoli.

Z rana psy idą na zbiórkę. Coprawda nie potrafią się zachować przepisowo nie rozumiejąc wydawanej komendy, załatwiają w międzyczasie swoje psie, koleżeńskie porachunki. Często dochodzi między nimi do "zęboczynów", bo przecież trudno nie odgryzać się będąc w wojsku.

Wtedy następuje "dezorganizacja" w szeregach młodszych ochotniczek, które w roli "aniołów pokoju" odciągają za ogony sprawców zamieszania. (Gorzej jest tym, które mają kurtyzowane ogony).

Potem cała czereda towarzyszy kompaniom na spacerze. Chociaż niezbyt się zna na mustrze i nierzadko płacze się pod nogami, ale na cywilne, arabskie psy spogląda z pogardą.

Czasami "Pikuś" w swojej zarozumiałości i poczuciu przynależności do S.M.O. nie ustępuje z drogi nawet olbrzymim ciężarówkom i przyprawia dwieście swoich właścителей o krzyk najwyższego przerażenia i rozpacz. Na szczęście sentymentalny, rudy i chudy Anglik przy

kierownicy wolałyby wjechać do rowu niż stracić opinię gentelmena w dziewczęcym wojsku.

No, ale jeżeli chodzi o posiłki, to psy wiedzą najlepiej, kiedy "Sezam" się otwiera i można wejść do jadalni. Z miną dumną, nieobjęci ewidencją współlokatorzy oczekują należytej im a conto dobrego serca dyżurnej - porcji baraniny.

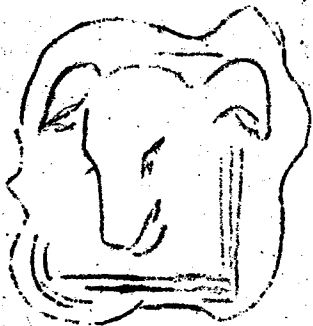
Gdy młodsza ochotniczka siedzi samotnie na służbie i marzy o kadecie z Barbary, przychodzi przyjaciel - SMO-cki pies, trąca czarnym nosem koniec fasowanego buta, jakby chciał powiedzieć - "mówię ci, nie warto, polegaj nawet na moim psim doświadczeniu, że nie warto".

Ach! jaka była rozpacz, gdy chciano powystrelać naszych pupili! Dziewczęta o bardziej czułych sercach niepomnie trwającej lekcji, pobiegły na ratunek i nie dopuściły żadnego z nich do gwałtownej śmierci. Tu się sprawdziło przysłowie - "gdzie djabeł nie może" był nawet wypadek, że jedna z bojowniczek psiego istnienia taszcza w panicznej ucieczce olbrzymie psisko, wpadła na izbę chorych.

Szkoła w Nazarecie jest dla nas domem - dla nich też. One cierpią razem z nami, gdy jest baranina zażusta, albo - zamkną wodę.

Ale co się z tobą stanie, gromado psich weteranów, gdy wszystkie twoje panie wyjadą do dalekiej, mglistej Anglii?

Kika K u l w i e c
kl.IV.b.



Imieniny KOMENDANTKI

Jeden jest zawsze w życiu człowieka, zespołu czy społeczeństwa dzień w roku otoczony serdecznością, pamięcią, troską. O dniu takim nie mówi się i nie przypomina nikomu z otoczenia i dnia tego się nie nakreśla.

Przychodzi sam. Wszyscy o nim wiedzą, staje się świętem. Przychodzi. Zajmuje należne sobie miejsce, ugruntowuje się i rozwiela tak, jak to robi miłość w życiu człowieka - nieświadomie - i z wolą i bez woli.

Dla Szkół Młodszych Ochotniczek dniem takim jest 9 listopad, dzień Imienin Komendantki Szkół.

Z prac, trosk, wspólnych bólów i radości, jednakowych celów i dążeń Komendantki z całym zespołem Kadry i młodszych ochotniczek wypłynął dzień ten i już nie był w stanie cofnąć się, ani się siebie zaprzec, ani zabronić być sobą.

9 listopad już po raz piąty zbliża się ku nam, a zbliża się (tak, jak ten pierwszy) w okresie płynnej niepewnej przyszłości, bo w przededniu ewakuacji szkół do Anglii.

Nasuwają się wspomnienia. Biegając niemi poprzez wszystkie nasze dni 9 listopada, napotyka się tyle radości, wesela i tyle promienności, jakby się wspominało serdeczne nastroje imieninowe w domu rodzinnym.

A przygotowania do imienin ... A szeptane do ucha jedno drugiemu ... że już czas zabierać się do "imieninowych robót" ...

A te zakamuflowane przedimieninowe zebrania, ta tajemnica, o której opowiada sobieokoło tysiąc osób, a o której zdaje się nie wiedzieć i nie słyszeć tylko jedna osoba - Solenizantka.

O "tajemnicy" tej zwłaszcza, dużo dałoby się powiedzieć, kiedy to przygotowując chór, trudno go ćwiczyć "szepem do ucha". Albo skoczna muzyka z uporem wyrwa się z poza ściany i zanim co będzie raduje ucho nawet Solenizantki, która napewno stara się nie słyszeć i nie widzieć. Ona teraz "kamufduje" swoją spostrzegawczość. O nic nie pyta, albo otrzymawszy wyjaśnienie "stara się" wierzyć w nie, a wszyscy też wierzą że Ona wierzy.

Tymczasem tajemnica ta zaczyna terroryzować Komendantkę w miarę zbliżania się dnia imieninowego, bo

jak sama powiedziała - w przededniu 9.XI. nigdzie Jej nie wolno wejść "do świetlicy - nie można, do jadalni - nie można, do kuchni - nie można, do gabinetu nie można" i t.d. Raz w roku używają sobie podwładni rządząc Komendantką. No i dobrze. Tymczasem przygotowania idą - idą. Postępują naprzód, aż do 9 listopada.

Pierwszy z nich w 1942 roku rozplątał się w podróży szkół z Teheranu do Palestyny. Za ledwie w październiku w Teheranie zdażyło się urządzić naradę, za ledwie zdażyło się uchwalić: że koniecznie... że musimy... że imieniny muszą być wspiane... a już kazano nam pakować się, zajechały auta i nastąpił wyjazd.

Pani Komendantka nie jedzie z nami, udaje się z P. Inspektorką Wysłouchową do Isfahanu.

A tymczasem 9 listopad zbliża się (tego mu nikt nie zabroni). "Karawaną" autobusową jedziemy z Iraku do Palestyny. Jednodniówka pisze się. Piszą ją uczennice w autach na postojach. Rysują, ozdabiają. Piszą panie z Kadry. 9 listopad zastaje nas na nowym m.p. w Gederze. Komendantki nie ma wśród nas. Przyjechała bardzo oczekiwana aż w grudniu. Uroczystości imieninowe - a więc i 9 listopad - przenosimy na dzień 25 grudnia. Po mszy św. na zbiórce junaczek i Kadry, Komendantka odbierała tak bardzo już spóźnione życzenia od starszych, młodzieży i małej 8-letniej Ewuni, która wówczas piastowała "urząd" pierwszego adiutanta Ktki.

Wręczono jednodniówkę, zawierającą wiersze, opisy, wspomnienia. Wykonana wielu pomysłami w różnorodnych okolicznościach i warunkach, składająca się z kartek różnej wielkości (zdarzało się, że ktoś w drodze zapomniał o wymiarze jednodniówki i działał "według własnego uznania") - wyglądała zewnątrz trochę niesfornie, a może raczej "indywidualnie". Charakterystycznajednak była w niej treść, wiążąca ówczesne nastroje i przeżycia oraz oryginalna praca każdej autorki artykułu, od (krzywego czasem) wycięcia kartki przez autostwo, zdobnictwo, "łamanie", aż do czystopisu i podpisu - i to, praca w warunkach a la "W pustyni i puszcy".

A potem ... Dzień po dniu upływa - wykreśla się z kalendarza, a zakreśla w kronice - wspomnieniach.

Wypadki się toczą. Szkoły się rozwijają - zmieniają m.p. - Rehovot, Quastina. Mija rok szkolny - świadectwa - matura (pierwsza w S.M.O.) - wakacje.

We wrześniu, w ustronnym, wśród wzgórz i cienia drzew pieprzowych, obozie jenińskim rozpoczyna się nowy rok szkolny z nim bliskość tego naszego Dnia 9 Listopada. Już nawet działa jego siła magnetyczna ...

Ktoś podał projekt, aby urządzić "Bal lalki".
Miś Komendantki obejmuje rolę gospodarza w sklepie z lalkami:

" Bardzo przepraszam, że staję tu dziś,
Ze się wosjkową wkradam dyscyplinę -
Jestem z pokoju Komendantki Miś ...

Jeżdżę wszędzie z moją Panią
Gdybym miał życie - oddałbym za Nią.
Znam już auta, wozy, przeróżne obozy -
Podróżuję raz w walizie - raz w plecaku,
Mieszkam sobie raz w namiocie, raz w baraku.
Dziś żyję w spokoju
W malutkim pokoju.
Wygód mi nie braknie -
Chociaż moje serce łaknie,
Żeby moja Pani miała
Mną się trochę zajmowała.
Wśród szkolnych hałasów
Ona nigdy nie ma czasu,
Z Misiem się pobawić
Czasem - jeśli łaska
Przytulić, pogłaskać,
Na rączki postawić.
Nie pojmuje zgoła -
Wszystkim dla Niej szkoła,
Widzieć młodzież dzielną, uczącą się, zdrową,
Z młodych serc budować nowy gmach wspaniały,
To są Jej ideały!
A ja siedzę cichutko na szafce -
Wzdycham i patrzę jak Ona mnie zdradza
Bo jestem ciekawy, skąd się u Niej biorą
Ciągłe nowe sprawy.

Uciekłem dziś z pokoiku -
By objąć batutę - dzisiejszej "reduty".
Dość już ważnych spraw -
Dziś się śmieję i baw.
(Choć to może nie wypada)
Dzisiaj na scenę, ja za żadną cenę,
Nie puszcze zielonej spódniczki
Ani młodziej ochotniczki.
Musztry tu nie będzie - szeregow - rozkazów,
Tylko płasy, tańce, bajeczek obrazy.

ROZRYWKI I SZTUKA



„Taniec nietoperzy“ („Bajka“)



„Motylek“



„Chrabąszcz i lątka“ („Bajka“)



„Elfy“ (po skończonym tańcu „Bajka“)



Na pocztce



Zwykły obrazek z naszego życia

Z wszystkich stron na scenę mkną
Lalki tańczyć, śpiewać chcą.
Proszę wchodzić !
Krakowianki - łowiczanki
Jakie piękne buzie, wianki
Nie stawajcie tak w szeregu
Moje piękne góraliczki
Bo moja Pani się pomyli i powie:
"Czołem młodsze ochotniczki"

.....

(Lalki ze "Związku Zielonej Pokrzywy" występują po śpiewie i tańcach ze swym programem) :

W S P O M N I E N I E.

Wracam szczęśliwa, spokojna do domu.
Jest dosyć późno, więc przyspieszam kroku
Wchodzę na schody i do przedpokoju
Gdzie wszystko prawie kryje się w półmroku.
Na półkę kładę teczkę z zeszytami,
Przekręcam kontakt, światło pada z góry.
Mam radość w duszy i spokój szczęśliwy.
Za drzwiami został dzień chmurny, ponury.

Jest cicho. Wchodzę do pokoju.
Na ziemi leżą Janeczka zabawki
Zbrojni rycerze śpią po bitwy znoju,
A miś wyciąga swe kudłate łapki.
W kącie usiadła Krzysia nad klockami
Nie widzi ciotki, tak bardzo zajęta,
Wspaniałych zamków fortyfikacjami.
Głaszcę przelotnie rozwichrzoną grzywę
rumaka Janka,
Który się kolebie na dwóch swych nogach
drewnianych i krzywych.
Już słychać głosik Lidki, mej kochanej,
Szczebioce ciągle jak sroczka na płocie,
Która się gości spodziewa za chwilę.
O ! Już się tuli jak małe kocię
I pyta: "Ciociu! Jak ci poszło w szkole ?"

Jest już kolacja i Janka mnie wzywa
Biorą więc małą, siadamy przy stole,
Jak między nimi - czuję się szczęśliwa !

Tak było dawniej. Cztery lata temu
Lidusia mała, dziś dziewczynka duża,
Janeczek pewnie misie swe zarzucił.
W ogródku jedna, pozostała róża
Czeka wciąż na mnie.

A dziś wśród cytryn i gajów oliwnych
Zyję, lecz myślą ciągle jestem z Wami
W nawale pracy i w zadań ogromie.
Nie oddzielona przyszłymi latami.
Lecz wiem co w pracy dodaje mi siły
Wiem, jaka gwiazda przewodnia mi lśni
Wiem, że powrócę w mój zakątek miły
W ulicę Śląską - 30 i 3.

Bal lalek trwa, zabaweczki tańczą Mis mówi:

Kiedy kur zapieje, do pudełek wrócę
Znow usną na półkach i znow będą śniły.
Dla mnie też przy sobie miejsce zostawiły
Lecz mnie nie namówią, ja do nich nie wrócę
Ja już mojej Pani nigdy nie porzucę.
Pojadę w plecaku, w walizie czy w worku,
Razem z Nią do Polski - rodzinnego Borku.
Ja Mis z pokciku skromny, ubożuchny,
Muszę z Nią pojechać do Jej Mamuchny.
Muszę z Nią pojechać do tego Jej Kraju,
Gdzie miłość ojczyzny jest w krwi i zwyczaju.

Na scenę wchodzi Janek Wędrowniczek - żywe
wspomnienie lat dziecińczych Solenizantki i Jej pierwszej
książeczki do czytania.

Jestem Janek Wędrowniczek
Pisze o mnie Konopnicka,
W życiu swoim już zdobyłem
Serce niejednego dziecka.
Cożem winien Komendantko,
Ze mój zapal do podróży
Ciebie porwał ?
Dziś na półce siedzę cicho
A mój zapal Tobie służy.

Mówisz, że to moja wina,
Ze Cię porwał świat szeroki ...
Dalej - wyżej - poznać, widzieć
Góry - morza - miast widoki.
Nie potrafię się obronić
I wyjaśnić nie potrafię :
Winien Janek Wędrowniczek -
Czy też ~~inna~~ **inna** geografia ?
Nie potrafię się obronić,
Myśl mnie gnębi niespokojna,
W świat daleki - w świat szeroki
Wygnana Cie straszna wojna.

.... powrócisz do Ojczyzny
w gronie swoich ochotniczek -
mocna, zdrowa i szczęśliwa
tak, jak Janek Wędrowniczek.

Taki był wieczór. -----

I znów "przyszędł sam". Wszyscy o nim mówią - nikt nikomu nie przypomina ...

9 listopada 1944 r. zastaje Szkoły Młodszych Ochotniczek w Nazarecie.

Rano, raniusienko składa Komendantce życzenia grono nauczycielskie wszystkich szkół w Jej prywatnym mieszkaniu - w małym pokoiku (ktoś - kiedyś nazwał to "zaczarowane królestwo"). Sensacją był fakt, że wszyscy z grona (a jest tego bractwa dużo), pomieścili się w tym pokoiku. Sprawdziło się przysłowie o rozszerzaniu się ścian....

Po mszy św. odprawionej na intencję Solenizantki, oficjalne składanie życzeń na zbiorce młodzieży i Kadry, w ogromnej sali jadalnej. Drżąc ze wzruszenia młodsze ochotniczki od najstarszych do najmłodszych, wychodzą kolejno jako delegatki swoich kompanii, klas - po dwie - jedna z życzeniami, druga z tradycyjnym snopem - nie ! bukietem róż. Kolejno kompania za kompanią - szkoła za szkołą, potem delegatki organizacji szkolnych: harcerstwo, Sodaliczja Mariańska, Samorząd uczniowski.

Pod wpływem życzeń, wzruszających słów i wspomnień, w serdecznej atmosferze wytwarza się nastrój rozczulenia - upajająca woń róż "fachowo" dopomaga temu.

Solenizantka trzyma się dzielnie, choć oczy Jej niejednokrotnie jaśniej błysnęły, lub mgiełką zaszyły, ale - przecież uśmiech! Ten uśmiech jasny na Jej ustach i w oczach pomaga oprzeć się wzruszeniu.

Obiad żołnierski, podwieczorek w kasynie i wieczorem - przedstawienie. Właściwie były to luźne, uzupełniające się obrazki, urozmaicone bogato tańcem, śpiewem, dekoracją. Pory roku ... Zima, wiosna, lato - dożynki. Barwny korowód młodzieży w strojach ludowych, krakowskich, łowickich, śląskich, góralskich, huculskich - to "żniwiarze", którzy po pracy rocznej na niwie S.M.C. idą z wiankiem do Gospodyni - Komendantki i plon Jej niosą i życzenia serdeczne i radość i pioski i tańce.

Plotą Ci wianeczek

Najmilejsza Pani

Potem od dziewczeczek

Dostaniesz go w dani

Do wianuszka Ci

Plotą serca swe

Aby się złąciły

Wszystkie dzionki Twe

Do wianuszka Ci

Plotą życzeń kwiat

Aby Ci się krasiał -

Świat.

Zyj nam, żyj nam długie lata
Z / częściami niech się dzień Twój splata
Niech Cię wszyscy tak kochają
Jak te, co Ci dziś śpiewają.

Nasza Pani miła

Co masz cztery łany x)

Zbieraj plon obfity

Od Boga zesłany

Za Twój dobry siew

Dziś oddaję plon

Chcemy by za trudy

Zapłacił Ci Jn.

(x/ cztery szkoły w S.M.O.)

Oto znowu rok upłynął. Idzie listopad. 9 listopad 1945. I zastaje Szkołę jeszcze na obczyźnie - daleko od Kraju.

Radzą już uczennice na zebraniach Samorządów klasowych i międzyszkolnych - radzi Kadra Aż tu zderzenie pomysłów i celów świadczące, że między Komendantką a Kadra istnieje nie tylko współpraca, ale i wspólnota myśli i uczuć, której wyraz daje przemówienie komendantki kompanii administracyjnej:

" Dowodem zjednoczonych naszych myśli i uczuć w tym dniu jest ta biblioteczka polskich książek, którą oddajemy Pani do dyspozycji.

Mówię zjednoczonych myśli, bo naprawdę zanim dotarł do nas rozkaz, polecający zbierać książki dla uwolnionych z obozów jenieckich, postanowiłyśmy opodatkować się w tym dniu na ten cel.

I dlatego, gdy się Pani z takim przekonaniem i z takim zapałem zwracała do nas o poparcie tej sprawy, przeżyłyśmy to wspaniałe uczucie zadowolenia, iż tak samo myślimy i czujemy jak Pani, radość zespolenia w całość.

Obyśmy tak zwarcie złączone jedną myślą i jednym sercem dążyły, przetrwały wszelkie przeciwności i doszły do naszego najdroższego celu, Wolnej i Niepodległej Polski! "

Poprzez składanie życzeń i morza róż Sole-
nizantce na placu zbiórki, przed frontem i w gabinecie i w pokoiku prywatnym - przez obiad żołnierski i podwieczorek w kasynie z całą Kadra i gośćmi - Dzień Imienin dosięgnął wieczora. A wieczór - na scenie "Bajka". - Pomyślałby ktoś - patrząc na gotowe za kulisami do występu ptaszki, żabki, grzybki, baby Jagi i elfy i świetliki i inne "dziwadeczka", że to pewnie imieniny małej dziewczynki, jedynaczki. A to - Dzień Imienin najstarszej urzędem w SMO. - Jedynaczki. Ona "Bajki tak lubi ogromnie... "

.... Grały w tej "Bajce" uczennice wszystkich klas i małe i duże, bo wszystkie pragnęły wprowadzić Komendantkę w krainę baśni - rozbawić - ucieszyć i pozwolić w tym Jej dniu zapomnieć o kłopotach - rozkazach - odprawach.

W nowej gmatwaninie przedwyjazdowej, zarysowuje się już ... 9 Listopad - już nurtuje Jego siła magnetyczna wśród całej gromady SMO'ckiej - przebiega przez pokoiki, izby szkolne - biura - gabinety - pracownie i wszystkie zakątki naszego Gmachu.

Niewiadomo, może zechce rozplynać się jak w roku 1942 - w podróży przez lądy i oceany.

W każdym razie my Go Schwytemy - chociaż - by nawet w grudniu.

P.R.O. Bałanduk Maria

